

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**STENDHAL**

**CZERWONE I CZARNE**

**TOM I**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## I. MAŁE MIASTECZKO

Put thousands together  
Less bad,  
But the cage less gay.  
H o b b e s

Miasteczko Verrières może uchodzić za jedno z najładniejszych we Franche-Comté. Białe domy, spadziste dachy z czerwonych dachówek rozsiadły się na zboczu porośłym na wijących się drogach kępami rozłożystych kasztanów. Rzeka Doubs płynie o kilkaset stóp poniżej fortyfikacji, zbudowanych niegdyś przez Hiszpanów, a obecnie zrujnowanych.

Od północy zasłania Verrières duża góra łącząca się z pasmem jurajskim. Okrzesane wierzchołki Verra pokrywają się śniegiem z nastaniem pierwszych październikowych chłódów. Strumień spadający z gór przerywa Verrières, nim utonie w Doubs, i porusza mnogość tartaków; prosty ten przemysł zapewnia niejaki dobrobyt większej części mieszkańców, raczej wieśniaków niż mieszczan. Nie tartaki wszelako wzbogaciły to miasteczko. Fabryka perkalków stworzyła powszechną zamożność, dzięki której od upadku Napoleona przebudowano prawie wszystkie domy w Verrières.

Już wchodzącego do miasta ogłusza turkot hałaśliwej i straszliwej na pozór maszyny. Dwadzieścia ciężkich młotów spadając z hukiem, od którego drży ulica, podnosi się za pomocą koła obracanego wodą potoku. Każdy młot wyrabia co dzień fantastyczną ilość gwoździ. Młode dziewczęta, ładne i świeże, podsuwają pod ciosy tych olbrzymich młotów kawałki żelaza, które w jednej chwili zmieniają się w gwoździe. Ta praca, tak gruba na pozór, zdumiewa najbardziej podróżnego, który zapuszcza się po raz pierwszy w góry dzielące Francję od Szwajcarii. Kiedy wjeżdżając do Verrières zapytacie, do kogo należy ta piękna fabryka gwoździ, ogłuszająca każdego przechodnia idącego główną ulicą, odpowiedzą wam przeciągając z lekka: „Tać do pana burmistrza.”

O ile podróżny bodaj parę chwil zatrzyma się na głównej ulicy w Verrières, która wznosi się od Doubs pod sam szczyt pagórka, można trzymać sto przeciw jednemu, że spotka tam wysokiego mężczyznę z ważną i poważną miną.

Na jego widok odkrywają się natychmiast wszystkie głowy. Włosy ma szpakowate, ubrany jest szaro. Jest kawalerem licznych orderów, ma wydatne czoło, orli nos, rysy na ogół dosyć regularne; na pierwsze wrażenie twarz ta jednoczy nawet godność prowincjonalnego mera ze śladami urody, jakie może jeszcze zachować fizjonomia między czterdziestym ósmym a pięćdziesiątym rokiem. Ale niebawem przykro uderzy paryżanina wyraz zadowolenia z siebie i

tępej zarozumiałości. Czuje się, koniec końców, że talenty tego człowieka sprowadzają się do punktualnego ściągania cudzych należytości i płacenia możliwie najpóźniej własnych.

Taki jest burmistrz Verrières, pan de Rênal. Przeszedłszy poważnym krokiem ulicę wchodzi do merostwa i ginie oczom podróżnego. Ale jeśli ów pójdzie cokolwiek dalej, widzi o sto kroków wyżej dość okazały dom i poprzez otaczające go żelazne sztachety wspaniałe ogrody. Dalej widnokrąg zamknięty pagórkami Burgundii, jakby stworzony dla rozkoszy oka. Widok ten pozwala podróżnemu odetchnąć po atmosferze zapowietrzonych drobnymi pieniężnymi interesami, które zaczynały go już dławić.

Dowiadujemy się, że ta siedziba należy do pana de Rênal. Piękny ten dom zbudowany z ciosu, jeszcze niezupełnie skończony, zawdzięcza pan burmistrz zyskom, jakie mu daje fabryka gwoździ. Rodzina jego, powiadają, jest starożytnego hiszpańskiego pochodzenia i podobno osiadła w okolicy na wiele lat przed podbojem Ludwika XIV.

Od 1815 pan de Rênal rumieni się, że jest przemysłowcem: rok 1815 zrobił go merem Verrières. Murowane terasy tego wspaniałego ogrodu, który piętrami opada aż do Doubs, są również nagrodą inteligencji pana de Rênal w przemyśle żelaznym.

Nie spodziewajcie się znaleźć we Francji malowniczych ogrodów, które otaczają przemyślowe miasta Niemiec: Lipsk, Frankfurt, Norymbergę etc. We Franche-Comté im więcej wznosi ktoś murów, im więcej jeży swą posiadłość spiętrzonymi kamieniami, tym więcej nabywa praw do szacunku sąsiadów. Ogrody pana de Rênal, zapelnione murami, budzą podziw i przez to, że kupił na wagę złota niektóre partie gruntu. Na przykład tartak, który uderzył was przy wjeździe do Verrières swym oryginalnym położeniem i na którym widnieje nad dachem olbrzymimi literami nazwisko SOREL, otóż ten tartak zajmował sześć lat temu przestrzeń, gdzie wznosi się dzisiaj czwarta terasa ogrodów pana de Rênal.

Mimo swej dumy pan mer musiał się sporo nachodzić koło starego Sorela, twardego wieśniaka; musiał mu wyliczyć sporo pięknych ludwików, aby go nakłonić do przeniesienia gdzie indziej fabryczki. Co do p u b l i c z n e g o strumienia, który poruszał piłę, pan de Rênal, dzięki wpływowi, jakich zażywał w Paryżu, uzyskał, że go odwrócono. Uprzejmość ta spadła nań po wyborach w 182\*.

Dał Sorelowi cztery morgi za jeden, o pięćset kroków niżej, nad Doubs. I mimo że to położenie było o wiele korzystniejsze dla handlu deskami i jodłowym drzewem, Sorel znalazł sposób, aby z niecierpliwości i m a n i i p o s i a d a n i a, rozpierającej jego sąsiada, wycisnąć sumę sześciu tysięcy franków.

Prawda, że miejscowi luminarze krytykowali tę transakcję. Jednego razu – było to w niedzielę, cztery lata temu – pan de Rênal, wychodząc z kościoła w uniformie mera, ujrzał z daleka starego Sorela w otoczeniu trzech synów; stary patrząc nań uśmiechał się. Uśmiech ten zaszczerpił złowrogie podejrzenie w duszy pana mera; myśli od tego czasu, że mógł być dobić targu tańszym kosztem...

Aby dojść w Verrières do publicznego szacunku, główna rzecz jest, aby wnosząc wiele murów nie przejąć wszelako jakiegoś pomysłu przywiezionego z Włoch przez murarzy, którzy na wiosnę ciągną przez Jura do Paryża. Takie nowatorstwo ściągnęłoby na nieopatrnego budownika wiekuiłą reputację p o m y l o n e j g ł o w y: byłby na zawsze zgubiony w oczach roztropnych i umiarkowanych ludzi, którzy rozstrzygają o poważaniu we Franche-Comté.

W gruncie, owi roztropni ludzie uprawiają tam najnudniejszy w świecie d e s p o t y z m; toteż z przyczyny tego brzydkiego słowa pobyt w małym miasteczku nieznośny jest dla kogoś, kto żył w wielkiej republice nazwanej Paryżem. Tyrania opinii – i co za opinii! – jest równie g ł u p i a w małych miasteczkach Franche-Comté, co w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

## II. MER

Znaczenie! Panowie, alboż to nic?  
Szacunek kupców, podziw dzieci,  
zazdrość bogaczy, wżgarda mędrca.  
B a r n a v e

Szczęściem dla sławy pana de Rênal jako administratora, w promenadzie publicznej, biegnącej z boczem o jakie sto stóp nad Doubs, okazało się potrzebne olbrzymie podmurowanie. Temu cudownemu położeniu zawdzięcza ta promenada jeden z najbardziej malowniczych widoków Francji. Ale co wiosnę deszcze orały bruzdy, żłobiły wyrwy i czyniły to miejsce przechadzki niepodobnym do użytku. Niedogodność ta, która dokuczyła wszystkim, dała panu de Rênal szczęśliwą sposobność unieśmiertelnienia swych rządów murem na dwadzieścia stóp wysokim, a długim na trzydzieści lub czterdzieści sążni.

Parapet ten – dla którego pan de Rênal musiał trzy razy jeździć do Paryża, przedostatni bowiem minister spraw wewnętrznych okazał się śmiertelnym wrogiem promenady w Verrières – otóż parapet wznosi się obecnie na cztery stopy nad ziemią. I jakby na urągowisko wszystkim obecnym i przeszłym ministrom zdobi się go w tej chwili płytami z ciosu.

Ileż razy, dumając o świeżo porzuconych zabawach paryskich, z piersią opartą o te wielkie bloki siniego kamienia, tonąłem spojrzeniem w dolinie Doubs! W dali po lewej stronie wije się kilka dolinek, w których oko wyraźnie rozróżnia małe strumyki. Kręcą się, tworząc raz po raz nikłe siklawy, aby wreszcie utonąć w Doubs! Słońce jest w tych górach bardzo skwarne; skoro dopieka zbyt silnie, zaduma wędrowca znajduje schronienie na tej terasie, w cieniu wspaniałych jaworów. Swój szybki wzrost oraz piękną zieloność z odcieniem prawie niebieskim drzewa te zawdzięczają nawiezionej ziemi, którą pan mer pomieścił za swoim olbrzymim podmurowaniem: wbrew opozycji bowiem rady gminnej rozszerzył promenadę przeszło o sześć stóp. (Mimo że mer jest u l t r a, ja zaś jestem liberałem, pochwalam mu ten czyn, dzięki któremu, w opinii samego mera oraz w opinii pana Valenod, szczęśliwego dyrektora przytułku w Verrières, terasa ta może wytrzymać porównanie z terasą w Saint-Germain-en-Laye.)

Co do mnie, znajduję jedną rzecz do zganienia w tej A l e i W i e r n o ś c i (to oficjalne miano można wyczytać kilkanaście razy na murowanych tablicach, które zyskały panu de Rênal jeden order więcej); mianowicie barbarzyński sposób, w jaki władza każe obcinać i strzyc do żywego te bujne jawory. Miast upodabniać się swymi niskimi, okrągłymi i spłaszczonymi głowami do najpospolitszej jarzyny, byłyby z ochotą przybrały owe wspaniałe

kszały, jakie widuje się w Anglii. Ale wola pana mera jest despotyczna; dwa razy na rok wszystkie drzewa gminne ulegają bezlitosnej amputacji. Miejscowi liberałowie twierdzą (przesadzają!), że ręka oficjalnego ogrodnika stała się o wiele surowsza, odkąd ksiądz wikariusz Maslon przyjął zwyczaj zagarniania dla siebie produktów tych postrzyżyn.

Młody ten duchowny przybył przed kilku laty z Besançon, przysłany dla nadzorowania księdza Chélan i paru innych proboszczów. Stary chirurg, pułkownik włoskiej armii, który osiadł w Verrières (zdaniem pana mera razem jakobin i bonapartysta), ośmielił się jednego dnia krytykować to systematyczne kaleczenie pięknych drzew.

– Lubię cię – odparł pan de Rênal z nutą wyższości, naturalnej w rozmowie z felczerem, kawalerem Legii Honorowej. – Lubię cię, każę tedy przycinać m o j e drzewa, iżby dawały cię, i nie rozumiem, aby drzewo służyć mogło do czego innego, chyba że, jak pożyteczny orzech, p r z y n o s i d o c h ó d y.

Oto wielkie słowo, które rozstrzygają o wszystkim w Verrières: p r z y n o s i ć d o c h ó d; streszcza ono stałą myśl trzech czwartych ludności.

P r z y n o s i ć d o c h ó d – oto argument rozstrzygający o wszystkim w miasteczku, które zdało się wam tak powabne. Obcy, zachwycony świeżością i urodą głębokich dolin, które je otaczają, wyobraża sobie zrazu, że mieszkańcy jego wrażliwi są na p i ę k n o; mówią aż zbyt często o piękności okolicy – nie można zaprzeczyć, że przywiązują do niej wagę, ale to dlatego, że ściągają cudzoziemców, których sakiewka wzbogaca oberżystów, co znowu siłą mechanizmu podatkowego p r z y n o s i d o c h ó d miastu.

W piękny jesienny dzień pan de Rênal przechadzał się po Alei Wierności pod rękę z żoną. Słuchając męża, który rozprawiał z poważną miną, pani de Rênal ściagała niespokojnym okiem ruchy trzech chłopców. Najstarszy, może jedenastoletni, zbliżał się za często do parapetu z wyraźną chęcią wdrapania się na mur. Łagodny głos upominał wówczas małego Adolfa i dziecko odstępowało od ambitnego zamiaru. Pani de Rênal wyglądała na lat trzydzieści, ale była jeszcze dość ładna.

– Może łatwo tego pożałować ów fircyk paryski – mówił pan de Rênal wzburzony, z twarzą bleśną jeszcze niż zazwyczaj. – Ostatecznie mam parę życzliwych osób na dworze...

Ale mimo że zamierzam przez dwieście stronic mówić o prowincji, nie posunę się do tego okrucieństwa, aby wam kazać słuchać mdłych i rozwlekłych prowincjonalnych rozmów.

F i r c y k p a r y s k i, tak antypatyczny merowi Verrières, był to niejaki Appert, który dwa dni wprzódę zdołał się wcisnąć nie tylko do więzienia i przytułku, ale i do szpitala, gdzie bezinteresownie władali mer oraz główni miejscowi właściciele.

– Ale – rzekła nieśmiało pani de Rênal – cóż tobie może wadzić ten paryżanin, skoro zarządzasz mieniem ubogich najskrupulatniej?

– Przyjeżdża tylko po to, aby wydziwiać na wszystko, a potem zamieścić artykuł w liberalnych dziennikach.

– I tak ich nie czytujesz.

– Ale ludzie gadają o tych jakobińskich artykułach: to nas niepokoi i p r z e s z k a d z a n a m w c z y n i e n i u d o b r e g o<sup>1</sup>. Nie, co do mnie, nigdy tego nie wybaczę proboszczowi.

---

<sup>1</sup> Historyczne.

### III. MIENIE UBOGICH

Zacny i z dala od intryg stojący  
proboszcz jest opatrnością wioski.  
Fleury

Trzeba wiedzieć, że proboszcz z Verrières, starzec osiemdziesięcioletni, ale zawdzięczający ożywczemu powietrzu gór zdrowie i charakter z żelaza, miał prawo odwiedzać o każdej porze więzienie, szpital, a nawet przytułek. Pan Appert, polecony z Paryża proboszczowi, umyślnie przybył do ciekawego miasteczka o szóstej rano i natychmiast udał się na plebanię.

Przeczytawszy list margrabiego de la Mole, para Francji i najbogatszego właściciela w okolicy, ksiądz Chélan zadumał się.

– Jestem stary, kochają mnie tutaj – rzekł do siebie – nie śmieliby!

Następnie obrócił się ku paryżaninowi z oczami, w których mimo podeszłego wieku błyszczał ów święty ogień, zrodzony przyjemnością spełnienia dobrego uczynku połączonego z pewnym niebezpieczeństwem.

– Chodź pan ze mną, drogi panie; ale w obecności dozorca więzienia, a zwłaszcza przytułku, chciej nie wyrażać sądu o rzeczach, które będziemy widzieli.

Pan Appert zrozumiał, że ma do czynienia z dzielnym człowiekiem; udał się za czcigodnym proboszczem, zwiedził więzienie, areszt, zadał wiele pytań i mimo dziwnych odpowiedzi nie pozwolił sobie na najmniejszą krytykę.

Zwiedzanie trwało kilka godzin. Proboszcz zaprosił pana Appert na obiad, ale ten wymógł się pilną korespondencją; nie chciał bardziej jeszcze narażać swego szlachetnego towarzysza. Około trzeciej poszli dokończyć inspekcji przytułku, następnie wrócili do więzienia. Zastali w progu dozorcę, olbrzyma o sześciu stopach wzrostu i kabłąkowatych nogach: nikczemna jego fizjonomia stała się wstrętą pod wpływem strachu.

– Proszę dobrodzieja – rzekł na widok proboszcza – czy ten pan, który przyszedł z księdzem proboszczem, to nie pan Appert?

– A o co chodzi? – spytał proboszcz.

– Ano bo wczoraj otrzymałem najściślejszy rozkaz – od pana prefekta, zandarm pędził galopa całą noc! – aby nie wpuszczać pana Appert do więzienia.

– Oświadczam panu, panie Noiroud – rzekł proboszcz – że ten podróżny, który mi towarzyszy, to właśnie pan Appert. Czy uznajesz, że mam prawo wchodzić do więzienia o każdej porze dnia i nocy, wprowadzając, kogo mi się podoba?



– Tak, księże proboszczu – odparł dozorca ciszej, spuszczać głowę jak buldog przed kitem. – Tylko że, proszę księdza, ja mam żonę i dzieci; skoro mnie ktoś zdradzi, wypędzą mnie, a to miejsce to całe moje utrzymanie.

– I mnie byłoby przykro stracić swoje – odparł dobry proboszcz wzruszony.

– Cóż za różnica! – odparł żywo dozorca – toć wiadomo, że ksiądz ma osiemset funtów renty, ładny kawałek ziemi...

Oto fakty, które komentowane, powiększane na dwadzieścia sposobów, poruszały od dwóch dni zięjące nienawiścią namiętności małego miasteczka. One to właśnie stanowiły treść rozmowy państwa de Rênal. Tego rana w towarzystwie pana Valenod, dyrektora przytułku, mer udał się do proboszcza, aby mu wyrazić najżywsze niezadowolenie. Ksiądz Chélan nie miał protektorów, rozumiał całą doniosłość tych słów.

– Dobrze więc, panowie, będę trzecim proboszczem, którego w osiemdziesiątym roku życia usuną z tej okolicy. Jestem tu od pięćdziesięciu lat; ochrzciłem prawie wszystkich mieszkańców miasta, które było lichą wioszczyną, kiedy przybyłem. Daję co dzień ślubu młodym, których dziadkom dawałem ślub niegdyś. Verrières to moja rodzina; ale powiedziałem sobie widząc tego przybysza: „Ten paryżanin może być w istocie liberałem; mamy ich nazbyt wielu; ale co może złego zrobić naszym biednym więźniom?”

Gdy wymówki mera, a zwłaszcza pana Valenod, dyrektora przytułku, stawały się coraz żywsze, stary proboszcz wykrzyknął drżącym głosem:

– Więc dobrze, panowie, usuńcie mnie! I tak zostanę w tych stronach. Wiadomo, że przed czterdziestu laty odziedziczyłem kawałek ziemi przynoszący osiemset funtów; będę żył z tego. Nie robię oszczędności na swojej posiadzie, panowie, dlatego może nie jestem zbyt przerażony groźbą jej utraty.

Pan de Rênal żył bardzo dobrze z żoną; ale nie wiedząc, co odpowiedzieć na jej nieśmiałą uwagę: „Cóż ten pan z Paryża może złego zrobić więźniom?”, był już gotów wybuchnąć na dobre, kiedy pani wydała krzyk. Średni syn wdrapał się na parapet i biegł po nim, mimo że mur wznosił się na dwadzieścia metrów nad winnicą. Bojąc się przestraszyć syna i przyprawić go o upadek, pani de Rênal nie śmiała wyrzec słowa. Wreszcie dzieciak, uszczęśliwiony z takiego aktu dzielności, spojrzawszy na matkę ujrzał jej błądność, zeskoczył i podbiegł ku niej. Wyłajano go porządnie.

To drobne wydarzenie zmieniło bieg rozmowy.

– Trzeba bezwarunkowo wziąć do domu młodego Sorela, syna tracza – rzekł pan de Rênal – będzie dozorował dzieci, które, jak dla nas, robią się nadto wielkie zabijaki. Ten młody księżyk czy kleryk, dobry przy tym łacinnik, potrafi pokierować chłopcami; mówił mi proboszcz, że to tęgi charakter. Dam mu trzysta franków i życie. Miałem skrupuły co do jego moralności, był bowiem beniaminkiem starego felczera, kawalera Legii, który pod pozorem pokrewieństwa odnajmował izdebkę z wiktem u Sorelów. Ten człowiek mógł w gruncie bardzo łatwo być po prostu tajnym agentem liberałów; powiadał, że górskie powietrze dobrze mu robi na astmę, ale ostatecznie to nie żaden dowód. Przeżył wszystkie kampanie B u o n a p a r t e g o w e Włoszech, a nawet, jak powiadają, podpisał swego czasu protest przeciw wprowadzeniu Cesarstwa. Ten liberał uczył po trosze łaciny młodego Sorela i zostawił mu książki, które przywiózł z sobą. Toteż nigdy nie przyszłoby mi do głowy brać tego syna cieśli do naszych dzieci; ale proboszcz właśnie w wilię sceny, która poróżniła nas na zawsze, powiedział mi, że Sorel studiuje od trzech lat teologię z zamiarem wstąpienia do seminarium; nie jest zatem liberałem, a umie po łacinie.

– Kombinacja ta ma różne dobre strony – ciągnął pan de Rênal spoglądając na żonę z miną dyplomaty. – Valenod jest bardzo dumny z pary cugowych normandów, które kupił, ale nie ma korepetytora.

– Żeby go nam tylko nie odmówił.

– Pochwalasz więc mój projekt? – rzekł pan de Rênal dziękując uśmiechem żonie za szczęśliwą myśl. – Zatem rzecz postanowiona.

– Ach, Boże! Mężu, jak ty się szybko decydujesz!

– Bo ja mam charakter; proboszcz przekonał się o tym. Nie ma co owijać w bawełnę, jesteśmy tu otoczeni liberałami. Wszyscy ci fabrykanci perkalików zazdroszczą mi, wiem; paru z nich zbiło ładny majątek, dobrze tedy! niech widzą synów pana de Rênal idących na przechadzkę z p r e c e p t o r e m. To imponuje. Dziadek opowiadał nam często, że w młodości miał preceptora. Będzie mnie to kosztowało sto talarów, ale można je wciągnąć w rubrykę wydatków reprezentacyjnych.

To nagle postanowienie pogrążyło panią de Rênal w zadumie. Była to wysoka, kształtna kobieta, już jako panna znana w okolicy z urody. Miała w sobie jakąś prostotę, coś młodego w ruchach: w oczach paryżanina ten naiwny wdzięk pełen niewinności i życia zbudziłby może obrazy pełne słodkiej rozkoszy. Gdyby pani de Rênal mogła się domyślać triumfu tego rodzaju, uczułaby się z pewnością bardzo zawstydzona. Ani zalotność, ani mizdrzenie się nie zagościły nigdy w jej sercu. Szeptano, że Valenod, bogaty dyrektor przytułku, zalecał się do niej swego czasu, ale na próżno, co rzucało osobliwy blask na cnotę pani de Rênal; Valenod bowiem, słuszny młody człowiek o atletycznej budowie, z rumianą twarzą i bujnymi czarnymi bokobrodami, był z typu owych grubych i hałaśliwych brutalów, którym na prowincji daje się miano „przystojnych mężczyzn”.

Panią de Rênal, osobę nader nieśmiałą, z pozoru bardzo nierówną, razila zwłaszcza ustawiczna ruchliwość i donośny głos pana Valenod. Niechęć do tego, co w Verrières nazywa się wesołością, zyskała jej reputację osoby bardzo dumnej ze swego urodzenia. Nie czyniła tego rozmyślnie, ale była bardzo rada, że mieszkańcy Verrières rzadziej ją odwiedzają. Nie będziemy ukrywali, iż w oczach miejscowych pań uchodziła za głupią, ponieważ nie uprawiała wobec męża żadnej polityki, przepuszczała najlepsze sposobności zdobycia ładnych kapeluszy z Paryża lub z Besançon. Byle jej pozwolono błędzić samotnie po ogrodzie, nie skarżyła się nigdy.

Była to naiwna dusza, która nigdy nie odważyła się sądzić męża i przyznać sama przed sobą, że ją nudzi. Nie uświadamiając sobie tego jasno, przypuszczała, że stosunki między mężem a żoną nie bywają miłsze. Lubiła zwłaszcza, kiedy jej mówił o przyszłości synów, z których jednego przeznaczył do wojska, drugiego do urzędu, a trzeciego na księdza. Ogółem wzięwszy, pan de Rênal wydawał się jej o wiele mniej nudny niż wszyscy mężczyźni, jakich znała.

Ten małżeński sąd był dość racjonalny. Burmistrz zawdzięczał reputację dowcipu, a zwłaszcza dobrego tonu, kilkunastu anegdotom odziedziczonym po wuju. Stary kapitan de Rênal służył przed rewolucją w pułku księcia Orleańskiego i kiedy bawił w Paryżu, miał wstęp na salony księcia. Poznał tam panią de Montesson, sławną panią de Genlis, pana Ducret, twórcę Palais-Royal. Osobistości te powtarzały się aż nazbyt często w anegdotach pana de Rênal. Ale z czasem wywoływanie wspomnień rzeczy tak subtelnych stało się dlań pracą; toteż od pewnego czasu jedynie w ważnych okolicznościach wydobywał swoje anegdoty o r l e a ń s k i e. Ponieważ był zresztą bardzo grzeczny (z wyjątkiem, gdy chodziło o pieniądze), uchodził słusznie za najdystygowańszą osobistość w całym Verrières.

## IV. OJCIEC I SYN

E sera mia colpa,  
se cosi è?  
M a c h i a v e l l i

– Moja żona ma, doprawdy, rozum – powiadał sobie nazajutrz o szóstej rano burmistrz, schodząc ku tartakowi starego Sorela. – Nie przyznałem jej tego dla zachowania wyższości, jaka mi przynależy; niemniej nie pomyślałem o tym, że jeśli nie wezmę tego księżyka, który podobno mówi po łacinie jak anioł, dyrektor przytułku, ten zachłanny człowiek, mógłby łatwo wpaść na tę samą myśl i sprzątnąć mi go. Z jaką by on arogancją mówił o swoim p r e c e p t o r z e !... Hm! Czy ten chłopiec, skoro już będzie u mnie, zechce nosić sutannę?

Pan de Rênal rozważał tę wątpliwość, kiedy ujrzał z dala rosłego chłopca, miał chyba ze sześć stóp, który od świtu zdawał się wielce zajęty mierzeniem drzewa złożonego wzdłuż rzeki na jezdnej drodze. Człowiek ten nie był zbyt uszczęśliwiony z widoku mera; kloce zawały gościniec i znajdowały się tam wbrew przepisom.

Stary Sorel (on to był bowiem) był bardzo zdziwiony, a jeszcze bardziej rad z osobliwej propozycji, jaką pan de Rênal uczynił mu co do syna. Mimo to wysłuchał z markotną i obojętną miną, jaką mieszkańcy owych stron tak dobrze umieją osłaniać swą przebiegłość. Przebywszy długi czas pod jarzmem hiszpańskim, zachowali jeszcze ten rys egipskich fellahów.

Odpowiedź Sorela była zrazu jakby na pamięć wyuczoną formułą szacunku. Podczas gdy powtarzał te czcze słowa z niepewnym uśmiechem, potęgującym wrodzony jego fizjonomii wyraz fałszu i niemal hultajstwa, czynny umysł starego wieśniaka silił się odgadnąć, co za powód może mieć człowiek tak znaczny, aby brać do domu jego ladaco-synalka. On sam był bardzo niezadowolony z Juliana. I oto pan de Rênal ofiarowuje zań nieoczekiwaną pensję trzystu franków rocznie, z życiem, a nawet ubraniem! Pan de Rênal przyjął ten ostatni warunek, który ojciec Sorel sformułował w lot z genialną przytomnością umysłu.

Pretensja ta uderzyła mera. – Skoro Sorel nie jest (jak by powinien być) uszczęśliwiony i zachwycony moją propozycją, jasne jest – rzekł sobie mer – iż musiał go już nagabywać kto inny; a któżby, jeśli nie Valenod? – Próżno pan de Rênal przyciskał Sorela, aby zaraz dobił targu; chytry stary bronił się uparcie. Musi, powiadał, poradzić się syna. Jak gdyby na prowincji bogaty ojciec radził się, inaczej niż dla formy, syna, który nie ma nic!

Podstawą tartaku jest buda nad strumieniem. Dach wznosi się na belkowaniu, które znów spoczywa na czterech słupach. Na wysokości ośmiu lub dziesięciu stóp pośrodku szopy

widać piłę, która porusza się pionowo, bardzo zaś prosty mechanizm popycha ku tej pile sztukę drzewa. Koło obracane wodą spełnia tę podwójną robotę.

Zbliżając się do swej budy Sorel zawołał Juliana stentorowym głosem; nikt nie odpowiedział. Ujrzał jedynie starszych synów, młodych olbrzymów, którzy, zbrojni siekierami, ociosywali pnie przeznaczone pod piłę. Bacząc pilnie na czarną linię wykreśloną wzdłuż bala, odlupywali za każdym uderzeniem olbrzymie szczapy. Nie słyszeli głosu ojca. Wszedł do środka i na próżno szukał Juliana w jego zwykłym miejscu obok piły. Siedział o kilka stóp wyżej okraciem na belce; miast nadzorować czynności mechanizmu chłopiec czytał. Nic bardziej nie drażniło staroego: przebaczyłby może Julianowi jego szczupłą postać, mało sposobną do ciężkiej pracy i tak różną od starszych braci, ale ta mania czytania była mu wstrętą: on sam nie umiał czytać.

Daremnie wołał kilka razy. Hałas piły, ale bardziej jeszcze uwaga, z jaką chłopiec utonął w książce, nie pozwoliły mu słyszeć straszliwego głosu ojca. Wreszcie mimo swego wieku stary wskoczył lekko na piłowane drzewo, a stamtąd na poprzeczną belkę podtrzymującą dach. Gwałtowne uderzenie posłało w strumień książkę, którą Julian miał w ręku, drugi cios, równie silny, wymierzony na odlew w głowę chłopca, przyprawił go o utratę równowagi. Byłby się potoczył o dziesięć lub piętnaście stóp niżej, między miażdżące tryby, ale ojciec przytrzymał go lewą ręką.

– A, leniu, wiesz, będziesz czytał swoje przeklęte książki, gdy masz pilnować roboty?! Czytaj wieczór, wówczas gdy tracisz czas darmo u proboszcza; wtedy owszem.

Julian, mimo iż ogłuszony uderzeniem i zlany krwią, udał się na swój posterunek koło piły. Miał łzy w oczach nie tyle z bólu, ile z powodu straty uwielbianej książki.

– Złaż, ciemnego, mam z tobą do pomówienia! – Hałas nie pozwolił Julianowi dosłyszeć tego rozkazu. Ojciec, który już zeszedł, nie chcąc powtórnie gramolić się na rusztowanie, wziął żerdź do strącania orzechów i trącił go w ramię. Ledwie Julian znalazł się na ziemi, stary pognął go przed sobą do domu. – Bóg wie, co mnie tam czeka! – myślał chłopiec. Po drodze spoglądał smutno na strumień, w który wpadła jego książka; była to najulubieńsza ze wszystkich: *Pamiętnik z Wyspy Św. Heleny*.

Policzki miał purpurowe, oczy spuszczone. Był to nieduży chłopiec osiemnasto- lub dwiętnastoletni, dość wątyły; rysy miał nieregularne, ale delikatne, nos orli. Wielkie czarne oczy, które w chwilach spokoju błyszczały zapałem i inteligencją, w tej chwili wyrażały najdzikszą nienawiść. Ciemnokasztanowate włosy nad niskim czołem dawały, w chwili gniewu, twarzy jego zły wyraz. Pośród niezliczonych odmian fizjonomii ludzkich niełatwo spotkałoby się wyrazistszą. Smukła kibić zdradzała więcej lekkości niż siły. Od wczesnego dzieciństwa wyraz szczególnej zadumy oraz uderzająca bladeść chłopca wyrobiły w ojcu mniemanie, że nie będzie żył lub stanie się rodzinie ciężarem. Będąc przedmiotem wzgardy całego domu, Julian nienawidził braci i ojca; w niedzielę podczas zabaw zawsze był ofiarą.

Od roku blisko ładna jego twarzyczka zaczynała mu zyskiwać sympatię młodych dziewcząt. Lekceważony przez wszystkich jako istota słaba, Julian uwielbiał owego staroego felczera, który ośmielił się raz zagadnąć mera w kwestii jaworów.

Felczer ów płacił niekiedy Sorelowi dzienną robociznę za syna, aby go uczyć łaciny i historii, to znaczy tego, co wiedział z historii: kampanii włoskiej z 1796. Umierając zapisał mu swój Krzyż Legii, zaległość swej emerytury oraz kilkadziesiąt tomów, z których najcenniejszy skąpał się właśnie w s t r u m i e n i u p u b l i c z n y m odwróconym dzięki stosunkom pana mera.

Wszedłszy do domu Julian uczuł na ramieniu potężną dłoń ojca; drżał spodziewając się nowych razów.

– Odpowiadaj bez łgarstwa! – zakrzyczał mu w ucho twardy głos staroego chłopca, gdy ręka ojca kręciła nim jak dziecko ołowianym żołnierzem. Wielkie czarne oczy Juliana, napełnione

łzami, znalazły się na wprost szarych oczków cieśli, który zdawał się czytać w samym dnie jego duszy.

## V. UKŁADY

Cunctando restituit rem.

E n n i u s

– Odpowiadaj bez łgarstwa, jeśli potrafisz, hyclu jeden: skąd znasz panią de Rênal? Kiedyś z nią mówił?

– Nigdy nie mówił – odparł Julian – widziałem ją tylko w kościele.

– Aleś patrzył na nią, bezwstydne ładaco?!

– Nigdy! W kościele widzę tylko Boga – dodał Julian z obłudną miną stanowiącą w jego mniemaniu tarczę przeciw nowym uderzeniom.

– Coś w tym siedzi – mruknął chytry kmiotek i zamilkł na chwilę – ale z ciebie nic nie wycisnę, obłudniku przeklęty! Mniejsza z tym, uwolnię się od ciebie, a tartak tylko skorzysta. Pozyskałeś sobie proboszcza czy innego diabła, który ci się wystarał o ładną posadę. Idź spakować rzeczy, zaprowadzę cię do pana de Rênal, gdzie będziesz nauczycielem przy dzieciach.

– Cóż za to dostanę?

– Życie, ubranie i trzysta franków rocznie.

– Ja nie chcę być lokajem.

– Tumanie, kto mówi o lokaju? czy ja bym pozwolił, aby mój syn był lokajem?

– Ale z kim będę jadał?

Pytanie to zbiło z tropu starego, uczul, że mówiąc więcej mógłby strzelić bąka; uniósł się na Juliana, którego zasypał obelgami wyrzucając mu łakomstwo, po czym odszedł, aby się naradzić z synami.

Julian ujrzał niebawem, jak wsparci na siekierach skupili się w poufnej rozmowie. Przyglądał się im długo, ale widząc, iż nic nie zdoła odgadnąć, przeszedł na drugą stronę tartaku, aby go nikt nie zaskoczył. Chciał dumać nad tą niespodzianą nowiną, która zmieniała jego losy, ale czuł się niezdolny do jakiegokolwiek uwagi; wyobraźnia jego cała utonęła w rojeniach o tym, co ujrzy w pięknym domu pana de Rênal.

– Raczej się go wyrzec – myślał – niż jadać ze służbą. Ojciec zechce mnie zmusić: prędzej zginę. Mam oszczędzonych przeszło piętnaście franków, drapnę tej nocy; w trzy dni bocznymi drogami, gdzie mnie żaden żandarm nie dosięgnie, będę w Besançon. Zaciągnę się do wojska i jeśli będzie trzeba, przekradnę się do Szwajcarii. Ale wówczas przepadła kariera, przepadła ta piękna sukienka kapłańska, która wiedzie do wszystkiego.

Ten wstręt do jadania ze służbą nie był u Juliana wrodzony; aby w y p ł y n ą ć, zgodziłby się na rzeczy o wiele cięższe. Odrażę tę wzbudziły w nim *Wyznania* Russa: jedyna książka, z której czerpał pojęcie o świecie. *Biuletyny Wielkiej Armii* oraz *Pamiętnik z wyspy Św. Heleny* uzupełniały jego Koran. Dałby się zabić za te trzy dzieła; nie wierzył w żadne inne. Na wiarę starego chirurga, wszystkie książki uważał za cygaństwa pisane przez szalbierzy dla kariery.

Obok płomiennej duszy Julian posiadał zdumiewającą pamięć, tak często zresztą zdarzającą się u ludzi skądinąd miernych. Aby sobie zjednać księdza Chélan, rozumiejąc, iż od niego zależy jego los, nauczył się na pamięć Nowego Testamentu po łacinie; znał też na wylot książkę *O papieżu* pana de Maistre, ale równie mało wierzył w jedno, jak i drugie.

Jakby za wspólną zgodą Sorel i jego syn unikali tego dnia rozmowy. Wieczorem Julian udał się na lekcję do proboszcza, ale nie uważał za właściwe wspomnieć o niezwykłej propozycji, którą zrobiono jego ojcu. – Może to pułapka – myślał – trzeba udać, że zapomniał o wszystkim.

Nazajutrz wczesnym rankiem pan de Rênal posłał po starego Sorela, który – dawszy na siebie czekać dobrą godzinę – przybył w końcu, przepraszając od drzwi wśród mnóstwa ukłonów. Zagadując o tym i owym Sorel wyrozumiał, że syn będzie jadał z państwem, w dniu zaś, gdy będą goście, sam z dziećmi. Wciąż mnożąc trudności, w miarę jak widział niecierpliwość mera, zresztą pełen nieufności i zdumienia, stary zażądał, aby mu pokazano sypialnię. Był to duży, przyzwoicie umeblowany pokój, do którego przenoszono właśnie łóżka chłopców.

Okoliczność ta była błyskiem światła dla starego wieśniaka; pewniejszym już głosem zażądał, aby mu pokazano ubranie syna. Pan de Rênal otworzył biurko i wyjął sto franków.

– Syn pański uda się z tą kwotą do pana Durand, sukiennika, i sprawi sobie kompletne czarne ubranie.

– A gdybym go odebrał – rzekł chłop zapominając nagle o czołobitności – czy odzież zostanie przy nim?

– Oczywiście.

– Zatem – rzekł Sorel rozwlekłym głosem – zostaje tylko jedno: porozumieć się co do pensji, którą mu pan przeznaczasz.

– Jak to! – wykrzyknął pan de Rênal, oburzony. – Zgodziliśmy się przecie wczoraj: daję trzysta franków, zdaje mi się, że to dużo, może za dużo.

– Tyle pan proponował, nie przeczę – rzekł stary jeszcze wolniej, po czym z genialną intuicją, zdolną zdziwić jedynie tych, którzy nie znają chłopów z Franche-Comté, dodał patrząc w oczy panu de Rênal: – D a j ą n a m w i ę c e j.

Na te słowa mer zmienił się na twarzy. Przyszedł wszelako do siebie: po wytrawnej rozmowie trwającej dobre dwie godziny, gdzie ani jedno słowo nie padło lekko, przebiegłość chłopca wzięła górę nad przebiegłością bogacza, dla którego ona nie jest kwestią życia. Ustalono punkty regulujące egzystencję Juliana: nie tylko pensję podniesiono do czterystu franków, ale miała być płatna z góry, z początkiem każdego miesiąca.

– Więc dobrze, wręczę mu trzydzieści pięć franków – rzekł pan de Rênal.

– Dla okrągłości, taki bogaty i hojny pan jak nasz mer – rzekł chłop przymilnie – da już trzydzieści sześć.

– Niech będzie – rzekł pan de Rênal – ale skończmy już.

Tym razem gniew nadał jego słowom stanowczość. Chłop zrozumiał, że nie można iść dalej. Z kolei pan de Rênal zaczął robić trudności. Stanowczo nie zgodził się wręczyć płacy za pierwszy miesiąc staremu, który skwapliwie chciał ją odebrać za syna. Panu de Rênal przyszło na myśl, że będzie musiał zdać sprawę żonie z tej negocjacji.

– Oddajcie mi sto franków, które wam dałem – rzekł z podrażnieniem. – Durand jest mi coś tam winien; pójdę sam z Julianem zamówić ubranie.

Wobec tego wysokoku energii Sorel cofnął się ostrożnie w formuły czolobitności, które zajęły dobry kwadrans. Wreszcie widząc, że już stanowczo nie ma nic do wytargowania, odszedł. Ostatni ukłon zakończył słowami:

– Zaraz przyślę syna do pałacu.

W ten sposób p o d d a n i pana mera nazywali jego dom, kiedy chcieli mu sprawić przyjemność.

Wróciwszy do tartaku Sorel na próżno szukał syna. Niepewny, co się zdarzy, Julian wymknął się w nocy – chciał ubezpieczyć swoje książki i Krzyż Legii. Przeniósł wszystko do młodego handlarza drzewem, nazwiskiem Fouqué, swego przyjaciela, który mieszkał na zboczach góry nad Verrières.

Skoro się Julian zjawił, stary rzekł:

– Bóg to wie, przeklęty leniuchu, czy będziesz miał kiedy tyle sumienia, aby mi zwrócić to, co na ciebie łożę od tylu lat! Bierz swoje lachy i idź do pana mera.

Julian zdziwiony, że się obeszło bez bicia, ruszył czym prędzej. Ale ledwie zeszedł z oczu groźnemu ojcu, zwolnił kroku. Pomyślał, iż z korzyścią dla jego hipokryzji będzie wstąpić do kościoła.

Dziwi was to słowo? Nim doszło do tego ohydneho słowa, dusza młodego wieśniaka musiała przebiec wiele drogi.

W dzieciństwie widział, jak dragoni szóstego pułku<sup>2</sup>, w długich białych płaszczach, w kaskach z czarną włosianą kiścią, wracając z Włoch, wiązali konie do zakratowanego okna ojcowskiego domu; widok ten obudził w nim szaloną namiętność do wojska. Później słuchał z upojeniem o bitwach pod Lodi, Arcole, Rivoli, o których opowiadał mu stary chirurg. Widział płomienie w oczach starca, kiedy spoglądał na swój Krzyż.

Ale kiedy Julian miał czternaście lat, zaczęto budować w Verrières kościół, który – jak na małe miasteczko – można było nazwać wspaniałym. Oko Juliana uderzyły zwłaszcza cztery marmurowe kolumny; stały się sławne w okolicy przez śmiertelną nienawiść, jaką wznieciły między sędzią pokoju a młodym wikarym, przysłanym z Besançon i uchodzącym za szpiega Kongregacji. Sędzia pokoju omal nie stracił miejsca, przynajmniej tak powszechnie mówiono. Ośmielił się wejść w zatarg z księdzem, który prawie co dwa tygodnie bywał w Besançon, gdzie, powiadano, widywał samego biskupa!

Wówczas to sędzia pokoju, ojciec licznej rodziny, wydał kilka wyroków rażących swą niesprawiedliwością: wszystkie godziły w obywateli czytujących dziennik *Constitutionnel*. Dobra sprawa triumfowała. Chodziło, co prawda, tylko o sumy kilkufrankowe; jedna z tych grzywien dosięgła pewnego gwoździarza, chrzestnego ojca Juliana. Oburzony, człowiek ów wykrzyknął: „Cóż za zmiana! I powiedzieć, że od dwudziestu z górą lat sędzia uchodził za uczciwego człowieka!”

Stary chirurg, przyjaciel Juliana, nie żył już wówczas.

Naraz Julian przestał mówić o Napoleonie i oznajmił, że pragnie zostać księdzem. Widywano go stale w tartaku, jak uczył się na pamięć łacińskiej Biblii pożyczonej od proboszcza. Dobry staruszek, zachwycony postępami chłopca, trawił całe wieczory kształcąc go w teologii... Julian objawiał w jego obecności same pobożne uczucia. Któż by mógł zgadnąć, że ta dziewczęca twarzyczka, tak blada i słodka, kryje niewzruszone postanowienie zrobienia kariery za wszelką cenę?

Dla Juliana kariera to było przede wszystkim opuścić Verrières: nienawidził rodzinnego miasta; wszystko tam mroziło jego wyobraźnię.

Od wczesnego dzieciństwa miewał momenty egzaltacji. Myślał wówczas z rozkoszą, że kiedyś pozna piękne panie paryskie, potrafi ściągnąć na siebie uwagę jakim świetnym czynnem. Czemu jedna z nich nie miałaby go pokochać, tak jak Napoleona, jeszcze wówczas biedaka, pokochała świetna pani de Beauharnais? Od wielu lat nie minęła może godzina w życiu

---

<sup>2</sup> Autor był podporucznikiem w 6 pułku dragonów w 1800.



Juliana, w której by sobie nie powtarzał, że Bonaparte, ubogi i nieznan podporucznik, zdobył królestwo świata ostrzem szpady. Myśl ta była mu pociechą w nieszczęściach, które zdawały mu się wielkie, a zdwajała jego radość, kiedy miał ją.

Budowa kościoła i wyroki sędziego pokoju oświeciły go nagle; idea, która nim owładnęła, oszołomiła go na kilka tygodni, wreszcie zaś ogarnęła go z całą potęgą pierwszej myśli, którą płomienna dusza uważa za swój wynalazek.

– Kiedy zaczęto się zajmować Bonapartem, Francja była pod grozą najazdu; cnoty wojskowe były potrzebne i modne. Dziś czterdziestoletni księża mają po sto tysięcy franków pensji, to znaczy trzy razy tyle co słynni wodzowie napoleońscy. Oto nasz sędzia pokoju, zdolny, tak uczciwy dotąd, stary, poświęca honor, aby się nie narazić trzydziestoletniemu wikariuszowi. Trzeba zostać księdzem.

Raz, w pełni neofityzmu pobożności – mijały już dwa lata, jak Julian studiował teologię – zdradził Juliana nagły wybuch ognia pożerającego jego duszę. Było to u księdza Chélan; przy obiedzie, przed którym dobry proboszcz przedstawił go innym księżom jako cud nauki, zdarzyło mu się odezwać z uwielbieniem o Napoleonie! Przywiązał sobie prawe ramię do piersi, powiedział, że wytknął rękę podważając drzewo, i wytrwał dwa miesiące w tej niewygodnej pozycji. Wycierpiawszy tę dotkliwą karę, przebaczył sobie. Takim był ów młodzieniec osiemnastoletni, ale wąty z pozoru i wyglądający najwyżej na lat siedemnaście, który niosąc zawiniątko pod pachą wszedł do wspaniałego kościoła w Verrières.

Kościół był ciemny i pusty. Z powodu jakiejś uroczystości okna zasłonięte karmazynową materią; wnikające promienie tworzyły olśniewającą grę światła, wspaniałą i mistyczną zarazem. Julian zadrżał. Był sam; usiadł w najwspanialszej ławce, zdobnej herbem pana de Rênal.

Na klęczniku Julian zauważył kawałek drukowanego papieru, rozłożony jakby umyślnie. Spojrzał i przeczytał: „Szczegóły egzekucji i ostatnich chwil Ludwika Jenrel, straconego w Besançon...”

Reszty brakowało. Na drugiej stronie widniały tylko pierwsze słowa: P i e r w s z y k r o k.

– Kto mógł rzucić ten papier? – pomyślał Julian. – Biedny człowiek! – dodał z westchnieniem. – nazwisko brzmi podobnie do mojego...

I zmiął papier.

Wychodząc Julian miał wrażenie, że widzi koło kropielnicy krew: rozlana święcona woda w odbłasku czerwonych zasłon przybrała kolor krwi.

Po chwili Julian zawstydył się swego tajemnego lęku.

– Byłbym tchórzem? – szepnął. – D o b r o n i !

To słowo, powtarzające się tak często w opowieściach starego chirurga, miało dla Juliana dźwięk bohaterski. Wstał i skierował się szybko ku domostwu pana de Rênal.

Mimo tych pięknych postanowień o dwadzieścia kroków od celu ogarnęła go straszliwa nieśmiałość. Żelazna brama (wydała mu się czymś wspaniałym) była otwarta; trzeba było wejść.

Nie tylko sam Julian wylękniony był swym przybyciem. Panią de Rênal, istotę nadzwyczaj nieśmiałą, niepokoila myśl o tym obcym, który mocą swego stanowiska wiecznie się będzie znajdował między nią a dziećmi. Przywykła, iż chłopcy sypiali w jej pokoju, spłakała się tego rana widząc, jak przenoszą łóżeczka do pokoju preceptora. Daremnie prosiła męża, aby jej zostawiono choć najmłodszego.

Pani de Rênal posiadała delikatność kobiecą rozwiniętą w wysokim stopniu. Tworzyła sobie najgorszy obraz pospolitego i rozczochranego osobnika, mającego z urzędu łąać jej dzieci jedynie dlatego, że zna łacinę, barbarzyński język, za który jej synowie będą brali chłostę.

## VI. NUDA

Non so più cosa son,  
Cosa faccio.  
M o z a r t, *Figaro*

Z żywością i wdziękiem, które były jej wrodzone, kiedy się czuła z dala od męskich spojrzeń, pani de Rênal wychodziła oszklonymi drzwiami do ogrodu. Spostrzegła u bramy młodego wieśniaka, dziecko niemal, z twarzą bardzo bladą i noszącą ślady łez. Był w czystej koszuli, pod pachą zaś miał schludny surducik drelichowy.

Cera chłopca była tak biała, oczy tak słodkie, iż w romantycznym nieco umyśle pani de Rênal poczęła się zrazu myśleć, że to może być przebrana dziewczyna, przychodząca prosić pana mera o jakąś łaskę. Uczuła litość dla nieboraka, który stał jak wryty i widocznie nie śmiał pociągnąć dzwonka. Pani de Rênal zbliżyła się, zapominając na chwilę o trosce, jaką budziła w niej myśl o preceptorze. Julian, wpatrzony w bramę, nie widział pani de Rênal. Zadrżał, kiedy łagodny głos ozwał się tuż nad jego uchem:

– Czego sobie życzysz tutaj, dziecko?

Julian obrócił się żywo; uderzony pełnym wdzięku spojrzeniem pani de Rênal zapomniał o swej nieśmiałości. Niebawem, zdumiony jej urodą, zapomniał wszystkiego, nawet po co przyszedł. Pani de Rênal powtórzyła pytanie.

– Zgodziłem się za nauczyciela, proszę pani – rzekł wreszcie, zawstydzony łzami, które starał się otrzeć ukradkiem.

Pani de Rênal zatrzymała się w zdumieniu; mogli się sobie przyjrzeć z bliska. Julian nie widział nigdy istoty tak ładnie ubranej ani zwłaszcza z tak olśniewającą cerą; w dodatku przemawiała doń tak łagodnie! Pani de Rênal patrzyła na duże łyzy toczące się po bladych wprzód, tak różowych obecnie policzkach chłopca. Niebawem zaczęła się śmiać z szaloną, dziewczęcą pustotą, śmiała się z siebie, nie mogła się nacieszyć swoim szczęściem. Jak to! To jest ów nauczyciel, którego wyobrażała sobie jako brudnego i źle odzianego klechę, mającego łąać i bić jej dzieci!

– Jak to, to pan – rzekła wreszcie – pan umie po łacinie?

To słowo p a n oszołomiło Juliana, który zacukał się na chwilę.

– Tak, pani – rzekł nieśmiało.

Pani de Rênal czuła się tak szczęśliwa, iż odważyła się spytać:

– Nie będzie pan bardzo łąał biednych malców?

– Ja, pani? – rzekł Julian zdziwiony. – Dlaczego?

– Nieprawdaż – dodała po chwili z rosnącym wzruszeniem – będzie pan dobry dla nich, przyrzeka mi pan?

Po raz drugi ta pięknie ubrana dama nazywała go zupełnie poważnie p a n e m ! To przechodziło wszelkie oczekiwania Juliana. W najśmielszych zamkach na lodzie, jakie budowała jego młodość, nie spodziewał się, aby prawdziwa dama raczyła doń przemówić słowo, zanim będzie w pięknym uniformie. Panią de Rênal znowuż zupełnie zwiódła piękna cera, duże czarne oczy i ładne włosy chłopca, które kręciły się bardziej niż zwykle, ponieważ pragnąc się ochłodzić umaczał głowę w studni. Ku wielkiej radości ów nieszczęsny preceptor, którego srogiej i odrażającej miny tak się lękała dla dzieci, wyglądał na nieśmiałą młodą dziewczynę. Dla spokojnej duszy pani de Rênal kontrast między jej obawami a rzeczywistością był wielkim wydarzeniem. Ochłonęła wreszcie, zarazem uczuła się zdziwiona, iż stoi tak pod bramą z młodym chłopcem, ledwie że ubranym, i tak blisko niego!

– Proszę, chciej pan wejść – rzekła lekko zakłopotana.

W życiu swoim nie doznała tak głębokiej i szczerzej przyjemności; jakież lube zjawisko po dręczących obawach! Zatem te śliczne, tak przez nią wypiełgowane dzieci nie dostaną się w ręce niechlujnego i zgryźliwego klechy. Wszedłszy do sieni obejrzała się na Juliana, który kroczył za nią nieśmiało. Jego zdumienie na widok tak ładnego domu przydało mu jeszcze wdzięku w oczach pani de Rênal. Nie wierzyła własnym oczom. Wyobrażała sobie zwłaszcza, że preceptor musi być ubrany czarno.

– Więc to prawda – rzekła przystając jeszcze i drżąc, aby to, co ją przepęniało takim szczęściem, nie okazało się omyłką – że pan umie po łacinie?

Słowa te uraziły dumę Juliana i rozproszyły czar, pod którym żył od kwadransa.

– Tak, pani – odparł starając się przybrać oziębłą minę – umiem po łacinie równie dobrze jak ksiądz proboszcz; czasami nawet ksiądz Chélan raczy uznawać, że lepiej.

Pani de Rênal wydało się w tej chwili, że Julian ma minę bardzo surową. Podeszła doń i rzekła:

– Nieprawdaż, w pierwszych dniach nie będzie pan bił chłopców, choćby nawet nie umieli lekcji?

Słodki, prawie błagalny głos pięknej pani sprawił, że Julian zapomniał nagle o swej reputacji łacinnika. Twarz pani de Rênal była tuż przy jego twarzy; uczuł – cóż za wrażenie dla biednego kmiotka! – zapach letnich sukien kobiecych. Julian zarumienił się, odetchnął głęboko i rzekł drżącym głosem:

– Niech się pani nie lęka, zrobię wszystko, co pani każe.

W tej chwili dopiero, skoro minęła wszelka obawa o dzieci, uderzyła panią de Rênal nadzwyczajna uroda Juliana. Kobięca niemal delikatność rysów oraz wyraz zakłopotania nie wydały się zgoła śmieszne istocie również niezmiernie lękliwej. Wyraz męskości, uważany powszechnie za podstawę urody, byłby ją wystraszył.

– Ile pan ma lat? – spytała.

– Niedługo dziewiętnaście.

– Mój najstarszy ma jedenaście – odparła pani de Rênal, zupełnie już uspokojona – będzie prawie pana kolegą, przemówi mu pan do rozsądku. Raz ojciec chciał go wybić, dziecko odchorowało to blisko tydzień, choć skończyło się na klapsie.

– Cóż za różnica! – pomyślał Julian. – Wczoraj jeszcze ojciec mnie zbił. Jacy ci bogacze szczęśliwi!

Pani de Rênal już była wrażliwa na najlżejsze odcienie tego, co się działo w duszy preceptora, wzięła ten odruch smutku za nieśmiałość, chciała mu dodać odwagi.

– Jak panu na imię? – rzekła z wdziękiem, którego, mimo iż bezwiednie, Julian odczuł cały urok.

– Zowię się Julian Sorel; z drzeniem przestępuję pierwszy raz w życiu próg obcego domu, trzeba mi pani dobroci, trzeba, aby mi pani wiele wybaczyła w pierwszych dniach. Nie posyłało mi do szkół, byłem za biedny, nie rozmawiałem z nikim prócz krewniaka mego, chirurga polowego, kawalera Legii, oraz księdza Chélan. Proboszcz da pani o mnie dobre świadectwo. Bracia bili mnie zawsze; proszę im nie wierzyć, kiedy będą źle mówili o mnie, i niech mi pani daruje, jeśli co źle zrobię, bo to z pewnością nieumyślnie.

Julian ochłonął podczas tej przemowy; przyglądał się pani de Rênal. Oto skutek doskonałego wdzięku, wówczas kiedy jest wrodzony i naturalny; Julian, który znał się dobrze na urodzie kobiecej, byłby przysiągł w tej chwili, że pani de Rênal ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Powziął śmiałą myśl, aby ją pocałować w rękę, niebawem uląkł się tej myśli, w chwilę potem rzekł sobie:

– Byłoby tchórzostwem nie spełnić zamiaru, który może mi dopomóc i zmniejszyć wzdarcie tej pięknej pani dla biednego drwala!

Od pół roku Julian słyszał czasem w niedzielę, jak dziewczęta nazywały go *l a d n y m c h ł o p c e m*; może to mu dodało odwagi? Gdy przechodził te wewnętrzne walki, pani de Rênal udzielała mu wskazówek co do pierwszego zbliżenia z dziećmi. Pod wpływem tych zmagania Julian znowu pobladł; rzekł zmienionym głosem:

– Przysięgam pani wobec Boga, że nigdy nie podniosę ręki na jej dzieci.

Mówiąc to odważył się ująć dłoń pani de Rênal i podnieść ją do ust. Gest ten zdziwił ją w pierwszej chwili, potem nawet uraził. Ponieważ było bardzo gorąco, miała pod szalem ramiona zupełnie nagie – Julian, podnosząc rękę do ust, odsłonił je całkowicie. Po chwili pani de Rênal uczuła gniew na siebie samą: zdało się jej, że oburzenie nie przyszło dość szybko.

Słyszając głosy pan de Rênal wyszedł z gabinetu; tym samym majestatycznym i ojcowskim tonem, jaki przybierał w merostwie wobec nowożeńców, rzekł do Juliana:

– Muszę z tobą pomówić, nim przyjdą dzieci.

Wpuścił Juliana do pokoju i zatrzymał żonę, kiedy chciała ich zostawić samych. Zamknąwszy drzwi pan de Rênal usiadł z powagą.

– Proboszcz polecił mi cię jako dobrego chłopca, wszyscy będziemy cię tu traktowali uczciwie i jeśli mi się nadasz, pomogę ci w przyszłości znaleźć jaką posiadkę. Nie życzę sobie, abyś odtąd widywał twoich krewnych i przyjaciół; ich ton nie może być właściwy dla moich dzieci. Oto trzydzieści sześć franków za pierwszy miesiąc, lecz dasz mi słowo, że ani grosza z tej sumy nie dasz ojcu.

Pan de Rênal czuł złość do starego Sorela, że w tej sprawie okazał się chytrzejszy od niego.

– A teraz, proszę *p a n a* (z mego rozkazu wszyscy będą cię tu nazywali *p a n e m*, ocenisz całą korzyść pobytu w przyzwoitym domu), nie przystoi, aby dzieci widziały cię w bluzie. Czy służba widziała go? – rzekł pan de Rênal do żony.

– Nie, nie – odparła z wyrazem głębokiej zadumy.

– Doskonale! Włóż pan to – rzekł do zdumionego chłopca, podając mu własny surdut. – Chodźmy teraz do pana Durand, sukiennika.

W dobrą godzinę pan de Rênal wrócił z nowym preceptorem ubranym czarno; zastał żonę siedzącą na tym samym miejscu. Obecność Juliana uspokajała ją: przyglądając mu się, zapomniała o swoich obawach. Julian nie myślał o niej; mimo swej nieufności do losu i ludzi był w tej chwili w duszy jedynie dzieckiem; miał wrażenie, iż przeżył lata całe od chwili, kiedy przed trzema godzinami wchodził z drzeniem do kościoła. Zauważył lodowaty wyraz pani de Rênal – zrozumiał, iż gniewa się o to, że ośmielił się ją pocałować w rękę. Ale uczucie dumy z przyczyny stroju, tak odbijającego od jego zwykłej odzieży, rozpierało go do nieprzytomności; tak bardzo zaś pragnął ukryć swą radość, iż kręcił się niespokojnie, jak szalony. Pani de Rênal przyglądała mu się ze zdziwieniem.

– Więcej powagi, radzę panu – rzekł pan de Rênal – jeśli chcesz wzbudzić szacunek w dzieciach i służbie.

– Państwo wybaczą – rzekł Julian – czuję się nieswój w tym nowym stroju; ja, biedny wieśniak, nosiłem dotąd jedynie bluzę. Jeśli państwo pozwolą, pójdę na chwilę do siebie.

– Jakże ci się wydaje nowy nabytek? – spytał pan de Rênal żony.

Instynktownym niemal odruchem, z którego z pewnością sama sobie nie zdała sprawy, pani de Rênal ukryła swe prawdziwe uczucie.

– Nie podzielam twego zachwytu – rzekła. – Względy twoje przewrócą chłopcu w głowie, tak iż nie minie miesiąc, a będziemy zmuszeni odesłać go z powrotem.

– Więc cóż! to go się odprawi, będzie mnie to kosztowało jakieś sto franków, a Verrières przyzwyczai się do widoku preceptora dzieci pana de Rênal. Gdybym go zostawił w odzieży robotnika, cel byłby chybiony. Jeśli go oddalę, zatrzymam, rozumie się, czarny garnitur, który zamówiłem u sukienika. Zostawię mu tylko to, co znalazłem gotowego u krawca i w co go oblekłem na razie.

Godzina, którą Julian spędził w swoim pokoju, wydała się pani de Rênal chwilą. Dzieci, którym oznajmiono nowego preceptora, zasypywały matkę pytaniami. Wreszcie zjawił się Julian. Był to nowy człowiek. Powiedzieć, że był poważny, to mało – był wcieloną powagą. Przedstawiono go dzieciom, przemówił do nich tonem, który zdziwił nawet pana de Rênal.

– Jestem tutaj, panowie – rzekł kończąc – aby was nauczyć łaciny. Wiecie już, co znaczy wydawać lekcje. Oto Pismo święte – rzekł pokazując małą książeczkę w czarnej oprawie. – Jest tu oddzielnie historia Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa, część, którą nazywamy Nowym Testamentem. Ja was będę często przesłuchiwał, przesłuchajcie i wy mnie.

Adolf, najstarszy, wziął książkę.

– Proszę otworzyć w dowolnym miejscu – rzekł Julian – i podać mi pierwsze słowo pierwszego wiersza. Wyrecytuję na pamięć tę świętą księgę, najszczytniejszy wzór naszego życia, póki mnie nie zatrzymacie.

Adolf otworzył książkę, poddał słowo, Julian zaś wyrecytował całą stronicę tak swobodnie, jakby mówił po francusku. Pan de Rênal spojrział na żonę z triumfem. Dzieci widząc zdumienie rodziców otworzyły szeroko oczy. Julian wciąż mówił po łacinie i kiedy zjawił się w drzwiach służący, stanął w pierwszej chwili nieruchomo, następnie znikł. Niebawem zbliżyły się do drzwi pokojówka i kucharka; Adolf otwierał już książkę w szóstym miejscu, a Julian recytował wciąż z tą samą łatwością.

– Och, Boże! Jaki śliczny księżyk – rzekła głośno kucharka, poczciwa i nabożna dziewczyna.

Pan de Rênal uczył się zaniepokojony w miłości własnej; zamiast egzaminować Juliana szukał uporczywie w pamięci paru słów łacińskich, wreszcie wyjął jakiś wiersz z Horacego. Julian znał po łacinie tylko Biblię; odparł tedy marszcząc brew:

– Święte powołanie, do którego się sposobie, zabrania mi czytać tak świeckiego poety.

Pan de Rênal przytoczył sporą ilość mniemanych wierszy Horacego. Objął dzieciom, kto był Horacy, ale chłopcy, przejęci podziwem, nie zwracali na to uwagi. Patrzyli na Juliana.

Ponieważ służba ciągle stała w drzwiach, Julian uważał za stosowne przedłużyć próbę.

– Teraz – rzekł do najmłodszego – niech pan Stanisław także wskaże mi jaki ustęp.

Mały Staś, przejęty dumą, wysylabizował pierwsze słowo, Julian zaś wygłosił całą stronicę. Iżby nic nie brakowało do triumfu pana de Rênal, podczas gdy Julian recytował, weszli pan Valenod, posiadacz pięknej pary normandów, oraz podprefekt, pan Charcot de Maugiron. Scena ta zjednała Julianowi tytuł p a n a : nawet służba nie śmiała mu go odmówić.

Wieczorem całe Verrières cisnęło się do pana de Rênal, aby ujrzeć to cudo. Julian odpowiadał wszystkim z miną chmurną, która trzymała z dala. Sława jego rozeszła się po mieście tak szybko, że w kilka dni potem pan de Rênal, lękając się, by mu go nie odmówiono, zaproponował podpisanie umowy na dwa lata.

– Nie, proszę pana – odparł chłodno Julian. – Gdyby mnie pan zechciał odprawić, zmuszony byłbym opuścić dom. Umowa, która wiąże mnie, nie zobowiązuje pana do niczego, nie jest równa, nie mogę jej przyjąć.

Julian umiał się tak postawić, iż w niespełna miesiąc sam pan de Rênal musiał go szanować. Ponieważ proboszcz poróżnił się z panem de Rênal i Valenod, nikt nie mógł zdradzić dawnego kultu Juliana dla Napoleona: on sam mówił o swym bożyszczu jedynie ze wstrętem.

## VII. POWINOWACTWO Z WYBORU

Nie umieją tknąć serca, aby go nie urazić.  
*Contemporain*

Dzieci ubóstwiały go, on ich nie lubił; myśl jego była gdzie indziej. Cokolwiek te smarkacze wyprawiały, nie niecierpliwił się nigdy. Chłodny, sprawiedliwy, niewzruszony, a mimo to kochany, ponieważ przybycie jego wypędziło poniekąd nudę, Julian był dobrym nauczycielem. On sam odczuwał jedynie nienawiść i wstręt do wyższego towarzystwa, gdzie go dopuszczano, co prawda do szarego końca stołu, co tłumaczy może jego niechęć i wstręt. Zdarzały się wystawne obiady, w czasie których ledwie mógł wstrzymać nienawiść do wszystkiego, co go otaczało. Raz, w dzień świętego Ludwika, gdy pan Valenod rozprawiał w domu państwa de Rênal, Julian omal się nie zdradził; wymknął się do ogrodu pod pozorem poszukiwania dzieci.

– Cóż za pochwały uczciwości! – wykrzyknął. – Powiedziałby kto, że najwyższa cnota, a równocześnie co za szacunek, co za uniżoność dla człowieka, który najoczywiściej podwoił i potroił majątek od czasu, jak zarządza mieniem ubogich! Założyłbym się, że zarabia nawet na funduszach podrzutków, biedaków, których nędza świętsza jest od innej! Och, potwory, potwory! I ja także jestem jakby podrzutkiem, znieawidzonym przez ojca, braci, rodzinę.

Na kilka dni przed świętym Ludwikiem Julian przechadzając się i odmawiając brewiarz w lasku nad Aleją Wierności, na próżno starał się uniknąć braci, których ujrzał z daleka na ścieżce. Piękne czarne ubranie, schludny wygląd młodszego brata, wzgarda wreszcie, jaką im okazywał, obudziły zawiść w tych gruboskórnych robotnikach; zbili Juliana tak, iż legł na drodze zemdlony i zlany krwią. Pani de Rênal, przechadzając się z panem Valenod i podpretektem, zaszła przypadkowo do lasku; ujrzała Juliana na ziemi, sądziła, że nie żyje. Wzruszenie jej obudziło zazdrość w panu Valenod.

Niepokój jego był przedwczesnym. Julian podziwiał urodę pani de Rênal, ale nienawidził jej za jej piękność, była to pierwsza rafa, o którą omal nie rozbił się jego los. Jak najmniej odzywał się do niej, aby zatrzeć w jej pamięci wzruszenie, które pierwszego dnia kazało mu ją pocałować w rękę.

Eliza, pokojówka pani de Rênal, zakochała się w młodym preceptorze, natrącała o nim często pani. Miłość panny Elizy ściągnęła na Juliana nienawiść służącego. Jednego dnia Julian słyszał, jak mówił do Elizy:

– Nie chcesz ze mną gadać, od czasu jak ten śmierdzący bakałarz wszedł do domu.

Julian nie zasługiwał na tę obelgę; mimo to, czując się ładnym chłopcem, podwoił dbałość o swoją osobę. Niechęć pana Valenod wzrosła również – odzywał się publicznie, że taka kokieteria nie przystała młodemu klerykowi: oprócz sutanny bowiem strój Juliana był niemal księży.

Pani de Rênal zauważyła, że Julian częściej niż zwykle rozmawia z panną Elizą; dowiedziała się, iż przyczyną tych rozmów były niedostatki garderoby chłopca. Miał tak mało bielizny, iż często zmuszony był dawać ją do prania poza domem, Eliza pomagała mu w tych kłopotach. To krańcowe ubóstwo, którego się nie domyślała, wzruszyło panią de Rênal; byłaby chętnie wyekwipowała chłopca, ale nie śmiała: ta wewnętrzna rozterka była pierwszym przykrym przeżyciem związanym z osobą Juliana. Dotąd imię Juliana spływało się dla niej z uczuciem czystej, na wskroś uduchowionej radości. Dręczona myślą o ubóstwie Juliana, pani de Rênal poddała mężowi myśl, aby mu sprawić bieliznę.

– Cóż za niepraktyczność! – odparł. – Jak to! Dawać podarki człowiekowi, z którego jesteśmy zupełnie zadowoleni i który dobrze spełnia obowiązki? A, gdyby się zaniedbywał, wówczas trzeba by podsyć jego zapał.

Takie poglądy urażały delikatność pani de Rênal; przed przybyciem Juliana nie zwróciłaby na to uwagi. Widząc nadzwyczajną, bardzo prostą zresztą, schludność młodego kleryka, myślała w duchu: – Biedny chłopiec, jak on sobie radzi!

Niebawem wszystkie braki Juliana, miast ją razić, budziły w niej współczucie.

Pani de Rênal należała do gatunku tych mieszkanek prowincji, które w pierwszych tygodniach znajomości mogą uchodzić za głupie. Nie знаła zupełnie życia i nie siliła się rozprawić. Miała duszę delikatną i dumną oraz zmysł szczęścia wrodzony wszystkim istotom, co sprawiało, że po największej części nie zwracała uwagi na postęпки gruboskórców, wśród których los ją pomieścił.

Przy jakim takim wykształceniu żywość i naturalność jej umysłu wyszłyby niechybnie na jaw; ale jako posażną pannę wychowano ją u zakonnic żywiących namiętny kult Serca Jezusowego i przejętych nienawiścią dla społeczeństwa wrogiego jezuitom. Pani de Rênal miała tyle zdrowego rozsądku, aby zapomnieć niebawem wszystkich absurdów, jakich się nauczyła w klasztorze, ale nie wstawiła nic na to miejsce i w końcu nie umiała nic. Przedwczesne pochlebstwa, którymi ją otaczano jako bogatą dziedziczkę, oraz wybitna skłonność do dewocji stworzyły w niej nawyk do życia w sobie. Przy pozorach doskonałej uległości, wyrzeczenia się swej woli (które mężowie w Verrières stawiali za przykład żonom, ku wielkiej pysze pana de Rênal), zachowanie jej było w istocie wynikiem dumy. Niejedna księżniczka, głośna ze swej pychy, nieskończenie więcej zwraca uwagi na to, co robi jej dwór, niż ta kobieta, tak łagodna, tak skromna na pozór, zważała na wszystko, co robił lub mówił jej mąż. Do przybycia Juliana zajmowały ją naprawdę tylko dzieci. Ich choroby, ich drobne strapienia i radości zaprzętały całą wrażliwość tej duszy, która w życiu swoim uwielbiała jedynie Boga, wówczas gdy była w Sacré-Coeur.

Nie zważając się z tym nikomu, każdy napad gorączki któregoś z synów odczuwała tak, jakby dziecko już umarło. Kiedy w pierwszych latach, wiedzioną potrzebą zwierzeń, chciała się podzielić tym z mężem, odpowiedzią był zawsze rubaszny śmiech, wzruszenie ramion i jakaś trywialna uwaga o niedorzeczności kobiet. Tego rodzaju żarciki, zwłaszcza gdy chodziło o chorobę dzieci, przeszywały sztyłem serce pani de Rênal. Oto co znalazła zamiast obleśnych pochlebstw jezuickiego klasztoru, w którym spędziła młodość. Wychowaniem jej stało się cierpienie. Zbyt dumna, aby mówić o tego rodzaju zgryzotach nawet swojej przyjaciółce, pani Derville, wyobraziła sobie, że wszyscy mężczyźni są tacy jak jej mąż, jak Valenod i podprefekt Charcot de Maugiron. Gruboskórność oraz najbrutalniejsza nieczułość na wszystko, co nie jest kwestią pieniądza, awansu lub orderu, ślepa nienawiść do wszelkiej myśli, będącej im nie na rękę, wydawały się jej przyrodzoną właściwością tej płci, podobnie jak filcowy kapelusz i buty.



Po wielu latach pani de Rênal nie przyzwyczała się jeszcze do tych groszorbów, wśród których przyszło jej żyć.

Stąd przyjaźń jej do młodego wieśniaka, do Juliana. W sympatii tej szlachetnej i hardej duszy znajdowała słodczy pełne nowości. Wybaczała mu jego rażącą nieświadomość, która stanowiła jeden wdzięk więcej, oraz nieokrzeseanie, z którego zdołała go poprawić. Słuchała go z uwagą nawet wówczas, gdy chodziło o najpospolitsze rzeczy, nawet o biednego psa przejechanego przez wóz chłopski. Obraz ten wywołał gruby śmiech męża, gdy piękne czarne i sklepienie brwi Juliana zmarszczyły się. Z wolna zdało się jej, że szlachetność, wzniosłość, ludzkość są tylko w nim jednym. Czuła dlań całą sympatię, a nawet podziw, jaki te cnoty budzą w duszach z czystego kruszcu.

W Paryżu stosunek Juliana i pani de Rênal uprościłby się niebawem, ale w Paryżu miłość jest córą romansów. Młody preceptor i jego nieśmiała chlebobawczyni znaleźliby wyjaśnienie swego położenia w pierwszej lepszej powieści, piosence nawet. Powieść wyznaczyłaby im rolę, wskazała wzór do naśladowania i wcześniej czy później, mimo że bez przyjemności, może z niechęcią, próżność skłoniłaby Juliana do pójścia za tym wzorem.

W okolicy Aveyron lub Pirenejów, w ognistym klimacie, najmniejszy przypadek spowodowałby przełom. Pod naszym chłodniejszym niebem młody człowiek może widywać co dzień trzydziestoletnią kobietę, szczerze cnotliwą, zajęta dziećmi i nie czerpiącą zgoła wzoru w romansach. Na prowincji wszystko idzie wolniej, wszystko spełnia się pomalą, życie płynie naturalniej.

Często myśląc o ubóstwie młodego preceptora, pani de Rênal rozczulała się do łez. Jednego dnia Julian zastał ją płaczącą na dobre.

– Co pani? Stało się jakie nieszczęście?

– Nie, panie Julianie – odparła – niech pan zawoła dzieci, chodźmy się przejść.

Ujęła jego ramię i oparła się o nie w sposób, który wydał się Julianowi szczególnie. Pierwszy raz nazwała go p a n e m J u l i a n e m.

Pod koniec przechadzki Julian zauważył, że pani de Rênal rumieni się często. Zwolniła kroku.

– Słyszał pan zapewne – rzekła nie patrząc nań – że jestem spadkobierczynią bardzo bogatej ciotki w Besançon. Obsypuje mnie podarkami... Chłopcy nasi robią postępy... tak zadziwiająco, że chciałabym prosić, aby pan przyjął mały upominek jako znak mej wdzięczności. Ot, po prostu kilka ludwików... aby pan mógł sobie sprawić bieliznę. Ale... – dodała rumieniąc się jeszcze bardziej i zamilkła.

– Co takiego, pani? – spytał Julian.

– Nie ma potrzeby – ciągnęła spuszczać głowę – mówić o tym mężowi.

– Jestem ubogi, pani, ale nie jestem podły – odparł Julian zatrzymując się z oczyma błyszczącymi od gniewu i prostując się – nad tym się pani nie zastanowiła. Byłbym czymś poniżej lokaja, gdybym był zmuszony ukrywać przed panem de Rênal cokolwiek, co tyczy m o i c h p i e n i ę d z y.

Pani de Rênal zmartwiła.

– Pan mer – ciągnął Julian – wręczył mi pięć razy po trzydzieści sześć franków od czasu, jak jestem w tym domu; gotów jestem pokazać swoje rachunki panu de Rênal i każdemu, nawet panu Valenod, który mnie nienawidzi.

Po tym wybuchu pani de Rênal szła obok Juliana blada i drżąca; do końca przechadzki żadne nie znalazło pretekstu do nawiązania rozmowy. W dumnym sercu Juliana miłość do pani de Rênal stawała się coraz większym niepodobieństwem: ona zaś szanowała go, podziwiała: skrzyczała ją! Pod pozorem, że chce naprawić mimowolne upokorzenie, na jakie go naraziła, otoczyła go najserdeczniejszą tkliwością. Ta nowa faza stała się na cały tydzień źródłem szczęścia dla pani de Rênal. Julian udobruchał się trochę; w głowie mu nie pozostało, że na dnie tego mógł tkwić odcień żywszego uczucia.

– Oto bogacze – mówił sobie – upokarzają, a potem zdaje się im, że wszystko naprawią trochę mizdrzenia.

Serce pani de Rênal było zbyt wezbrane, a jeszcze zbyt niewinne, aby mimo postanowień mogła zataić przed mężem propozycję, jaką uczyniła Julianowi, i sposób, w jaki ją odrzucił.

– Jak to! – rzekł de Rênal, oburzony – I ty mogłaś ścierpieć odmowę ze strony służącego?

Gdy zaś pani de Rênal okrzyknęła się na to, dodał:

– Mówię, moja droga, jak nieboszczyk książe de Condé przedstawiając młodej małżonce szambelanów: „w s z y s c y c i l u d z i e, rzekł, t o n a s i s ł u ż ą c y.” Czytałem ci z pamiętników Besenvala ten ustęp, bardzo godny uwagi, w przedmiocie etykiety. Każdy nie-szlachcic, który jest w twoim domu i otrzymuje zapłatę, jest twoim służącym. Powiem parę słów temu panu Julianowi i dam mu sto franków.

– Och, mężu – rzekła pani de Rênal, drżąca – ale chociaż nie przy służbie.

– Tak, mogliby być zazdrośni, i słusznie – rzekł mąż oddalając się i wążąc w myślach wysokość sumy.

Pani de Rênal padła na krzesło wpółomdlała z bólu. Ten człowiek upokorzył Juliana, i to z jej winy! Uczuła wstręt do męża, zasłoniła sobie twarz. Przyrzekła sobie nie zwierzać się nigdy z niczym.

Ujrzawszy Juliana drżała jeszcze, w piersiach czuła taki ucisk, że nie mogła wyrzec słowa. W zakłopotaniu ujęła go za ręce i ścisnęła je.

– I cóż, panie Julianie – rzekła wreszcie – czy pan rad z mego męża?

– Jakżeby nie był rad? – odparł z gorzkim uśmiechem. – Dał mi sto franków.

Popatrzyła nań niepewnie.

– Niech mi pan poda ramię – rzekła wreszcie z akcentem determinacji, jakiej Julian nigdy u niej nie widział.

Odważyła się iść do miejscowej księgarni, mimo że księgarz zażywał reputacji okropnego liberała. Wybrała za dziesięć ludwików książek i dała je chłopcom, ale były to książki, o których wiedziała, że Julian ich pragnie. Kazała zaraz w sklepie każdemu z synów podpisać książki, które mu przypadły. Podczas gdy pani de Rênal poila się zadośćuczynieniem, na które się zdobyła wobec Juliana, ten zdumiewał się ogromną ilością książek w księgarni. Nigdy nie ośmielił się wejść do tak wyklętego miejsca; serce mu biło. Nie domyślając się tego, co się działo w sercu pani de Rênal, dumał głęboko nad sposobem, w jaki on, biedny student teologii, mógłby zdobyć niektóre z tych książek. Wreszcie wpadł na pomysł, iż przy pewnej zręczności można by podsunąć panu de Rênal, jako temat wypracowań dla synów, życiorysy wybitnych ludzi z okolicznej szlachty. Po miesiącu starań Julian dopiął celu; w jakiś czas później ośmielił się poddać panu merowi krok jeszcze cięższy dla tego d o b r z e m y ś l ą c e g o człowieka: chodziło mianowicie o zubożenie liberała przez wzięcie abonamentu w księgarni. Pan de Rênal uznawał, że byłoby racjonalne dać starszemu synowi bliższe pojęcie o wielu dziełach, o których będzie słyszał, gdy się znajdzie w szkole wojskowej; mimo to nie chciał się posunąć dalej. Julian czuł jakąś tajemną przyczynę, ale nie mógł jej odgadnąć.

– Zastanawiałem się, proszę pana – rzekł raz – że byłoby bardzo niewłaściwe, aby dobre szlacheckie nazwisko jak pańskie miało figurować w plugawych rejestrach księgarni (czoło pana de Rênal rozjaśniło się). Byłoby również złym świadectwem – ciągnął Julian pokorniej – dla biednego studenta teologii, gdyby ktoś odkrył jego nazwisko na liście wypożyczalni. Liberałowie mogliby mnie obwinić o czytanie najbezpieczniejszych książek, kto wie nawet, może wypisałiby tytuły tych ohydnych dzieł obok mego nazwiska.

Ale Julian wszedł na fałszywy trop. Fizjonomia mera przybrała wyraz zakłopotania i niechęci.

– Mam go – rzekł sobie.

W kilka dni potem, skoro najstarszy chłopiec zagadnął w obecności pana de Rênal o książkę oznajmioną w *Quotidienne*, młody preceptor rzekł:

– Aby uchylić wszelki pozór triumfu jakobinów, a mimo to dać możność objaśnienia pana Adolfa, można by wziąć abonament na imię kogoś ze służby.

– Niezła myśl! – rzekł pan de Rênal, widocznie uradowany.

– Ale trzeba by zastrzec – rzekł Julian owym poważnym i stroskanym niemal tonem, który umieją przybrać niektórzy ludzie, kiedy wiedzą, iż sprawy przybierają z dawna upragniony obrót – trzeba zastrzec, że służący nie będzie miał prawa brać romansów. Wcisnąwszy się do domu, te niebezpieczne książki mogłyby zepsuć garderobianą pani, a nawet lokajów.

– Zapomina pan o pamfletach politycznych – dodał pan de Rênal wyniosłe. Chciał ukryć podziw, jaki w nim obudził mądry półśrodek preceptora.

Życie Juliana składało się tedy z drobnych spraw, a powodzenie ich zaprzętało go o wiele więcej niż wyraźna sympatia, którą byłby mógł z łatwością wyczytać w sercu pani de Rênal.

W domu mera znów Julian wszedł w rolę, w jakiej tkwił przez całe życie. I tu, jak w ojcowskim tartaku, głęboko pogardzał ludźmi, z którymi się stykał, oni zaś płacili mu nienawiścią. Słuchając rozmów podprefekta, pana Valenod i innych o rzeczach, na które patrzył razem z nimi, czuł, jak ich pojęcia odległe są od rzeczywistości. Niechby mu się jakiś postępek wydał wspaniały, u nich z pewnością spotkałby się z naganą. Raz po raz wykrzykiwał w duchu: – Cóż za potwory! albo: co za głupcy! – Zabawne jest, że przy całej tej wyniosłości często nie rozumiał tego, co mówiono.

W życiu swoim rozmawiał szczerze jedynie ze starym chirurgiem; to trochę, co wiedział, odnosiło się do włoskich kampanii Bonapartego albo do chirurgii. Jego młodzieńcza odwaga lubowała się w szczegółowym opowiadaniu o najboleśniejszych operacjach.

– Ja bym ani drgnął! – powiadał sobie.

Pierwszy raz, kiedy pani de Rênal próbowała nawiązać z nim rozmowę poza tematem wychowania, zaczął mówić o operacjach: zbladła i prosiła, aby przestał.

Poza tym nie wiedział nic. Toteż ilekroć znalazł się sam z panią de Rênal, zapadało osobliwe milczenie. W salonie, mimo jego skromności, pani de Rênal widziała w oczach Juliana błysk wyższości intelektualnej wobec innych gości. Skoro zostali sami, czuła, że jest zakłopotany. Niepokoiło ją to, instynktem kobiecym odgadywała, że to zakłopotanie nie ma bynajmniej podkładu tkliwości.

Wedle pojęć przejętych od starego chirurga o wykwinnym towarzystwie – takim, jak się przedstawiało staremu wiarusowi – Julian czuł się upokorzony, ilekroć zapanowało milczenie w obecności damy, tak jakby ono wyłącznie było jego winą. Wrażenie to było jeszcze sto razy dotkliwsze sam na sam. Wyobraźnia jego, napelniona przesadnie romantycznymi pojęciami o tym, co powinien rzec mężczyzna, kiedy się znajdzie sam z kobietą, podsuwała mu niemożliwe pomysły. Dusza jego bujała w obłokach, mimo to nie umiał się wyrwać z upokarzającego milczenia. Okrutne męki, jakie przechodził w czasie długich przechadzek z panią de Rênal i z dziećmi, pogłębiały surowość wyrazu jego twarzy. Gardził sobą straszliwie, jeżeli zaś, nie szczęściem, zmusił się do mówienia, plótł brednie. Na domiar nieszczęścia widział i przesadzał jeszcze swą niedorzeczność; ale czego nie widział, to wyrazu swoich oczu: były tak piękne i zwiastowały tak płomienną duszę, iż podobne dobrym aktorom, dawały niekiedy urocze znaczenie czemuś, co go wcale nie miało. Pani de Rênal zauważyła, że będąc z nią sam, jedynie wtedy zdołał powiedzieć coś do rzeczy, kiedy, zaskoczony czymś nieprzewidzianym, nie silił się na wyskoki dworności. Ponieważ przyjaciele domu nie przekarmiali jej nowymi i świetnymi myślami, syciła się z rozkoszą błyskami umysłu Juliana.

Od upadku Napoleona wszelki cień płochoci wygnany jest z życia prowincji. Każdy lęka się stracić posadę. Hultaje szukają poparcia w Kongregacji; obłuda rozwinęła się nawet wśród liberałów. Nuda wzrasta. Jedyne przyjemności, jakie zostały, to czytanie i gospodarstwo.

Pani de Rênal, bogata dziedziczka nabożnej ciotki, wyszedłszy w szesnastym roku za przyzwoitego szlachcica, w całym życiu nie doświadczyła ani nie widziała nic, co by było choć trochę podobne do miłości. Jedyne zacny ksiądz Chélan mówił jej o miłości z okazji

zalotów pana Valenod i nakreślił tak ohydny obraz, iż słowo to wcielało dla pani de Rênal najwstrętniejszą rozpustę. Miłość taką, jaką znalazła w paru powieściach, które przypadkiem wpadły jej w ręce, uważała za wyjątek lub za fakt zgoła nienaturalny. Dzięki tej nieświadomości pani de Rênal, zupełnie szczęśliwa, zajęta Julianem bez przerwy, nie czuła najlżejszych wyrzutów.

## VIII. DROBNE WYPADKI

Then there were sighs, the deeper lor suppression,  
And stolen glances, sweeter for the theft,  
And burning blushes, though for no transgression.  
*Don Juan*, p. I. strofa 74

Anielską słodycz pani de Rênal, płynącą z charakteru i z jej obecnego szczęścia, mąciła jedynie myśl o pokojówce Elizie. Dziewczyna ta odziedziczyła mały spadek, poszła się wypowiadać do księdza Chélan i zwierzyła mu się z zamiarami na Juliana. Proboszcz ucieszył się szczerze szczęściem młodego przyjaciela, toteż zdumiał się bardzo, kiedy Julian oznajmił stanowczo, że propozycja panny Elizy zgola mu nie odpowiada.

– Rozpatrz się, dziecko, w sercu – rzekł proboszcz marszcząc brwi – wiesz, że ci twego powołania, jeśli to tylko ono skłania cię do wzgardzenia losem aż nadto wystarczającym. Z górą pięćdziesiąt lat jestem proboszczem w Verrières; i tak, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, usuną mnie. Martwi mnie to, a wszakże mam osiemset franków renty! Mówię ci to, iżbyś sobie nie robił złudzeń co do widoków w zawodzie kapłańskim. Jeśli zechcesz zabiegać o łaskę tych, którzy dzierżą władzę, zguba twoja wieczna jest pewna. Możesz zrobić los, ale trzeba by krzywdzić nędzarzy, schlebiać podprefektowi, merowi, ludziom wpływowym, iść na rękę ich namiętnościom. Postępowanie to, zwane powszechnie *u m i e j ę t n o ś c i ą ż y c i a*, może dla człowieka świeckiego nie być absolutnie sprzeczne z drogą zbawienia, ale w naszym stanie trzeba wybierać: chodzi o triumf na tym świecie albo na tamym – nie ma środka. Idź, drogie dziecko, zastanów się i wróć za trzy dni dać mi odpowiedź. Ze smutkiem widzę w tobie jakąś posepną żarliwość, nie zwiastującą umiarkowania ani doskonałego wyrzeczenia się ziemskich korzyści, które jest konieczne u księdza. Mam wysokie pojęcie o twoich zdolnościach, ale pozwól sobie powiedzieć – dodał zacny proboszcz ze łzami – że w stanie kapłańskim drzę o twoje zbawienie.

Julian wstydził się swego wzruszenia; pierwszy raz w życiu czuł, że go ktoś kocha; płakał z rozkoszą i poszedł ukryć łzy w lasach nad Verrières.

– Czego ja się tak wzruszam – rzekł wreszcie – czuję, że dałbym życie za tego pocziwinę Chéłana, który mi dowiódł, że jestem tylko głupcem. Jego przede wszystkim powinien bym oszukać, a on mnie przejrzał. Ów tajemny żar, o którym mówi, to moje postanowienie wybić się. Uważa mnie za niegodnego kapłaństwa, gdy ja sobie wyobrażałem, że wyrzeczenie się tysiąca franków renty da mu najwyższe wyobrażenie o mej pobożności i moim powołaniu.

– Na przyszłość – ciągnął Julian – będę polegał na sobie tylko o tyle, o ile się wypróbuje. Kto by powiedział, że znajdę przyjemność w wylewaniu łez, że będę kochał tego, kto mi udowodni, że jestem dudkiem!

W trzy dni potem Julian znalazł pozór, do którego powinien się był uciec od razu; pozór ten był potwarzą, ale cóż to znaczy? Po wielu omawianiach wyznał księdzu, że przyczyna, której nie może odsłonić, ponieważ zaszkodziłaby osobie trzeciej, oddała go od tego małżeństwa. Znaczyło to rzucić cień na Elizę. Ksiądz Chélan ujrzał w tym postępowaniu pobudki zgoła świeckie, bardzo różne od tych, które powinny by ożywiać młodego lewite.

– Mój chłopcze – rzekł jeszcze raz – bądź raczej zacnym, uczciwym i światłym rolnikiem, niżbyś miał być księdzem bez powołania.

Julian odpowiedział na to bardzo wymownie, gdy chodzi o słowa: znalazł wyrazy, jakich by użył młody i gorliwy seminarzysta; ale jego ton, zaledwie powściągany ogień tryskający z jego oczu zaniepokoiły księdza Chélan.

Nie trzeba nadto źle wróżyć o przyszłości Juliana: posługiwał się wzorowo językiem przemysłnej obłudy. Jak na jego wiek, było to niezłe. Co się tyczy tonu i gestów, trzeba mieć na uwadze, że wyrósł on wśród chłopów, nie mając przed oczami pierwszorzędnymi wzorów. W dalszym życiu, skoro tylko mu było dane zbliżyć się do elity, cudownie opanował tak gesty, jak słowa.

Pani de Rênal dziwiła się, że Eliza tak mało jest ucieszona spadkiem; dziewczyna wciąż wymykała się do proboszcza i wracała ze łzami w oczach; wreszcie zwierzyła się pani ze swych małżeńskich planów.

Pani de Rênal miała uczucie, że jest chora; trawiła ją jakby gorączka, bezsenność, żyła jedynie wówczas, gdy widziała w pobliżu pokojówkę albo Juliana. Nie była zdolna myśleć o niczym innym jak tylko o nich, o ich przyszłym szczęściu. To skromne gospodarstwo, na którym na wszystko miało starczyć pięćdziesiąt ludwików renty, przedstawiało się jej w czarujących barwach. Julian mógłby wszak zostać adwokatem w Bray, powiatowym mieście o dwie mile od Verrières; wówczas widywałaby go niekiedy.

Pani de Rênal szczerze myślała, że zwariuje; powiedziała to mężowi i w końcu rozchorowała się. Tego samego dnia, gdy Eliza kręciła się po pokoju, zauważyła, że dziewczyna popłakuje. W tej epoce nie znosiła Elizy i właśnie połażała ją za coś; przeprosiła ją. Eliza rozplakała się na dobre; prosiła pani, aby jej pozwoliła zwierzyć się ze swym nieszczęściem.

– Mów – rzekła pani de Rênal.

– Otóż, proszę pani, nie chce mnie, niegodziwcy nagadali mu coś o mnie i on wierzy.

– Kto cię nie chce? – spytała pani de Rênal ledwie mogąc oddychać.

– A któż by, proszę pani? Pan Julian – odparła dziewczyna szlochając. – Ksiądz proboszcz nie mógł go przekonać, ksiądz proboszcz uważa, że nie powinien odtrącać uczciwej dziewczyny, dlatego tylko, że była pokojówką. Toć ostatecznie ojciec pana Juliana jest drwalem, a on sam, jak zarabiał na życie, nim się dostał do jaśnie państwa?

Pani de Rênal nie słuchała już, nadmiar szczęścia niemal pozbawił ją rozumu. Kazała sobie kilka razy powtórzyć, że Julian odmówił w sposób stanowczy, wykluczający nadzieję, aby się dał zwrócić na rozsądniejszą drogę.

– Spróbuję ostatniego sposobu – rzekła – pomówię z nim.

Nazajutrz po śniadaniu pani de Rênal sprawiła sobie tę nieopisaną rozkosz, aby przemawiać za swoją rywalką i patrzeć, jak przez godzinę Julian niewzruszenie odtrąca rękę i majątek Elizy.

Stopniowo Julian przestał ważyć słowa i z żywością odpowiadał na przedłożenia pani de Rênal. Nie mogła się oprzeć strumieniowi szczęścia, który zalewał jej duszę po tylu dniach rozpacz. Zrobiło się jej słabo. Kiedy przyszła do siebie i spoczęła wygodnie w swoim pokoju, oddaliła wszystkich. Była zdumiona.

– Czyżbym kochała Juliana? – rzekła w duchu.

Odkrycie to, które w innej chwili stałoby się źródłem wyrzutów i głębokiego wstrząsu, było dla niej czymś dziwnym, ale obojętnym. Dusza jej, wyczerpana ostatnimi przejściami, jak gdyby stępiała, straciła wrażliwość.

Pani de Rênal chciała się czymś zająć, ale zapadła w głęboki sen; kiedy się obudziła, czuła się mniej strwożona, niżby należało. Była nadto szczęśliwa, aby się czymś troskać. Ta poczciwa parafianka, naiwna i niewinna, nie umiała się dręczyć po to, aby z siebie wycisnąć jakiś nowy odcień uczucia lub cierpienia. Zupełnie pochłonięta przed przybyciem Juliana ogromem zatrudnień, który na prowincji zaprzęta gospodynię i matkę rodziny, pani de Rênal myślała o namiętnościach jak my o loterii: pewne oszukaństwo, szczęście, za którym upędzają się szaleńcy.

Rozległ się dzwon na obiad. Pani de Rênal zaczerwieniła się usłyszawszy głos Juliana rozmawiającego z dziećmi. Od czasu jak kochała, stała się zřeczniejsza, aby usprawiedliwić rumieniec, użaliła się na straszny ból głowy.

– Oto kobiety! – wykrzyknął pan de Rênal z rubasznym uśmiechem. – Zawsze coś tam jest do naprawy w tej maszynie.

Mimo że przywykła do tego rodzaju dowcipów, ton męża uraził panią de Rênal. Dla zatarcia wrażenia spojrzała na Juliana; gdyby był najszeptniejszy w świecie, w tej chwili podobałby się jej.

Pilnie naśladowując obyczaje dworu, z początkiem wiosny pan de Rênal przeniósł się do Vergy: była to owa wioska wślawniona tragiczną przygodą Gabrieli. O kilkaset kroków od malowniczych ruin gotyckiego kościoła pan de Rênal posiadał stary zamek z czterema wieżami i ogród na wzór tuileryjskiego, z alejami kasztanowymi, strzyżonymi dwa razy do roku. Sąsiednie pole, zasadzone jabłoniemi, służyło za miejsce przechadzki. Na końcu sadu rosło z dziesięć wspaniałych orzechów; pyszne ich gałęzie wznosiły się może na osiemdziesiąt stóp.

– Każdy z tych przeklętych orzechów – mawiał pan de Rênal, kiedy żona zachwycała się nimi – kosztuje mnie pół morgi zbiorów: zboże nie rodzi się w ich cieniu.

Widok wsi uderzył panią de Rênal, jak gdyby był dla niej czymś nowym; nie posiadała się z uniesienia. Uczucie, jakie ją ożywiało, tchnęło w nią inteligencję i energię. Kiedy w dwa dni po przybyciu do Vergy sprawy urzędowe powołały pana de Rênal do miasta, sama najęła na swój koszt robotników. Julian poddał myśl wykopania ścieżki, która, wysypana piaskiem, wiłaby się po sadzie i wśród orzechów, tak aby dzieci mogły uganiać od rana nie rosząc bucików. Myśl tę wprowadzono w czyn w niespełna dwadzieścia cztery godziny. Pani de Rênal spędziła wesoło z Julianem cały dzień, doglądając roboty.

Wróciwszy z miasta pan mer zdziwił się mocno widząc aleję. Również panią de Rênal zdziwiło przybycie męża – zapomniwała o jego istnieniu. Dwa miesiące odzywał się cierpko o śmiałości, z jaką bez naradzenia się z nim podjęto w k ł a d tak doniosły: pocieszało go trochę to, że pani de Rênal dokonała go swoim kosztem.

Całe dni spędzała z dziećmi w sadzie, uganiając za motylami. Sporządzono siatki z białej gazy, w które chwymano te biedne l e p i d o p t e r y. To barbarzyńskie miano usłyszała pani de Rênal z ust Juliana; sprowadziła z Besançon piękne dzieło Godarda i Julian opowiadał jej o szczególnych obyczajach tych zwierzątek.

Przyszpilano je bez litości w tekturowym pudle, też sporządzonym przez Juliana.

Wreszcie był między panią de Rênal a Julianem temat do rozmowy; nie przechodził już straszliwych mąk, o jakie przyprawiały go chwile milczenia.

Rozmawiali bez ustanku z zainteresowaniem, mimo że o rzeczach bardzo niewinnych. To czynne, zatrudnione i wesołe życie przypadło do smaku wszystkim z wyjątkiem Elizy, która utyskiwała na nadmiar roboty. „Nigdy, nawet w karnawale – mówiła – w epoce balów w Verrières, pani nie dbała tak o strój; zmienia suknie po dwa i trzy razy dziennie.”

Ponieważ nie mamy zamiaru schlebiać nikomu, nie będziemy taić, że pani de Rênal, która miała pyszne ciało, kazała sobie suknie skroić w ten sposób, iż gors i ramiona były mocno odstonięte. Była doskonale zbudowana i ten sposób ubierania podkreślał jej urodę.

„Nigdy pani n i e b y ł a t a k m ł o d a”, powiadali przyjaciele domu, gdy zjawili się na obiad w Vergy. (Próbka miejscowego stylu.)

Rzecz osobliwa i trudna wręcz do wiary – to iż pani de Rênal rozwijała te starania bez wyraźnej intencji. Znajdowała w tym przyjemność. Nie zastanawiając się bliżej, o ile nie ugaśniała za motylami z dziećmi i z Julianem, trawiła czas z Elizą na sporządzaniu toalet. Jediną wyprawę do Verrières spowodowały nowe suknie letnie, które nadeszły z Miluzy.

Przywiozła do Vergy młodą kobietę, swoją kuzynkę. Od zamążpójścia pani de Rênal żyła w przyjaźni z panią Derville, koleżanką z Sacré-Coeur.

Pani Derville serdecznie się bawiła tym, co nazywała s z a l e n i s t w a m i kuzynki. – Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło – mówiła. Sama z mężem pani de Rênal wstydziła się tych wyskoków; obecność pani Derville dodawała jej odwagi. Zwierzała się jej zrazu nieśmiało; im dłużej obydwie panie pozostawały same, pani de Rênal stopniowo ożywiła się i długi poranek mijał jak chwilka wśród wesołości obu przyjaciółek. Tym razem rozsądna pani Derville znalazła kuzynkę o wiele mniej wesołą, a o wiele szczęśliwszą.

Julian od czasu pobytu na wsi żył jak dziecko; ugaśniał za motylami równie szczęśliwy jak jego uczniowie. Po takim nakładzie przymusu i obłudy, sam, z dala od ludzkich oczu, instynktownie czując się swobodny wobec pani de Rênal, wśród najpiękniejszych gór w świecie, oddawał się tak naturalnej w tym wieku rozkoszy istnienia.

Skoro przybyła pani Derville, Julian miał uczucie, że to jest jego przyjaciółka; skwapliwie pokazywał jej widok z końca nowej alei spod wielkich orzechów; widok, jeżeli nie ładniejszy, to równy wszystkiemu, co Szwajcaria i włoskie jeziora mają najpiękniejszego. Wdrapawszy się na zbocze zaczynające się o parę kroków wyżej, dochodzi się niebawem do urwisk porośniętych dębina, ciągnących się prawie do rzeki. Na te okrzesane wierchołki Julian, szczęśliwy, wolny, a nawet coś więcej – król domu, zaprowadził obie przyjaciółki i cieszył się ich zachwytem.

– To dla mnie niby muzyka Mozarta – powiadała pani Derville.

Zawiść braci, bliskość ojca despoty i gburą zbrzydzyły Julianowi okolice Verrières. W Vergy nie czyhały nań te gorzkie wspomnienia; pierwszy raz w życiu nie czuł w pobliżu wroga. Kiedy pan de Rênal był w mieście, co mu się często zdarzało, Julian ośmielał się czytać. Zamiast czytać w nocy, i to kryjąc lampę pod doniczką, mógł się wysypiać, za to w dzień, po lekcji, chronił się w te skały z książką, jedyną busolą swego postępowania i przedmiotem zachwyty. Znajdował w niej zawsze szczęście, upojenie i pociechę w chwilach zniechęcenia.

Niektóre zdania Napoleona o kobietach, uwagi o romansach modnych za jego czasu obudziły w Julianie pierwszy raz myśli, które każdy z jego rówieśników miałby zapewne od dawna.

Przyszły upały. Wieczory spędzano pod lipą o kilka kroków od domu. Panowała tam głęboka ciemność. Jednego wieczora Julian rozprawiał żywo; upajał się przyjemnością własnej wymowy, i to wobec młodych kobiet. Gestykulując dotknął ręki pani de Rênal wspartej o poręcz ogrodowego krzesła.

Ręka cofnęła się szybko; Julian zaś pomyślał, że o b o w i ą z k i e m jego jest uzyskać, aby pani de Rênal nie cofała tej ręki, gdy jej dotknie. Myśl o tym nałożonym sobie obowiązku, o śmieszności lub raczej o poniżeniu, jeśli tego nie dokona, zniweczyła natychmiast w jego sercu wszelką rozkosz.



## IX. WIECZÓR NA WSI

Dydoną pana Guérin, cóż za uroczy szkic!

S t r o m b e c k

Nazajutrz Julian spoglądał na panią de Rênal dziwnym wzrokiem; obserwował ją jak nieprzyjaciela przed bitwą. Spojrzenia te, tak różne od wczorajszych, zmieszały panią de Rênal: była dlań dobra, a on zdawał się zagniewany! Nie mogła oderwać ócz od jego oczu.

Obecność pani Derville pozwalała Julianowi mniej mówić, a więcej oddawać się myślom. Przez cały dzień silił się umocnić czytaniem natchnionej książki, w której hartował duszę.

Skrócił znacznie lekcje; następnie pod wpływem obecności pani de Rênal, podniecającej jego ambicję, postanowił, że tego wieczora ręka jej bezwarunkowo musi pozostać w jego ręce.

Skoro z zachodem słońca zbliżył się stanowczy moment, serce Juliana zaczęło bić gwałtownie. Zapadła noc; zauważył, że będzie bardzo ciemna; olbrzymi ciężar spadł mu z piersi. Niebo pokryte chmurami, które przeganiał bardzo ciepły wiatr, zwiastowało burzę. Przyjaciółki przechadzały się do późna. Zachowanie ich tego wieczora zdawało się Julianowi bardzo dziwne: rozkoszowały się tą aurą, która dla delikatnych dusz pomnaża niejako rozkosz kochania.

Usiadły wreszcie; pani de Rênal obok Juliana, pani Derville koło przyjaciółki. Julian, pochłonięty swym zamiarem, milczał, rozmowa nie kleiła się.

– Czy będę równie drżący i nieszczęśliwy przy pierwszym pojedynku? – myślał; zbyt podejrzliwy był wobec siebie i drugich, aby nie widzieć stanu swojej duszy.

Odczuwał tak nieznośny lęk, że wołałby raczej wszelkie inne niebezpieczeństwo. Ileż razy pragnął, aby panią de Rênal odwołała jakaś sprawa! Gwałt, jaki sobie zadawał, odbił się w zmienionym głosie Juliana. Niebawem głos pani de Rênal zaczął drżeć również, ale Julian nie zauważył tego; straszliwa walka o b o w i ą z k u z nieśmiałością pochłaniała go całkowicie. Trzy kwadransy na dziesiątą wybiły na zamkowym zegarze, a on jeszcze nie odważył się na nic. Oburzony własnym tchórzostwem, rzekł sobie:

– Z uderzeniem dziesiątej spełnię, com postanowił, albo też pójdę do siebie i strzelę sobie w łeb.

Jeszcze moment oczekiwania i lęku, w ciągu którego Julian był prawie nieprzytomny ze wzruszenia. I dziesiąta wybiła na zegarze nad jego głową. Każde uderzenie nieszczęsnego młota rozlegało mu się w piersi: czuł je niemal fizycznie.

Wreszcie, gdy ostatni dźwięk drżał jeszcze w powietrzu, wyciągnął rękę i ujął dłoń pani de Rênal, która cofnęła się szybko. Julian, nie bardzo wiedząc, co czyni, chwycił ją na nowo. Mimo że sam był bardzo wzruszony, uderzył go lodowaty chłód ręki, którą ścisnął konwulsyjnie. Ręka uczyniła jeszcze ostatni wysiłek, aby się wydrzeć, ale w końcu została w jego dłoni.

Fala szczęścia zalała duszę Juliana; nie iżby kochał panią de Rênal, ale okropna męczarnia ustała. Sądził, że trzeba coś mówić dla odwrócenia uwagi pani Derville, głos jego brzmiał donośnie i silnie. Głos pani de Rênal, przeciwnie, zdradzał takie wzruszenie, że przyjaciółka zlekka się, iż jest niezdrowa, i zaproponowała powrót. Julian uczuł niebezpieczeństwo:

– Jeśli pani de Rênal wróci do salonu, popadnę znów w katusze, w jakich spędziłem cały dzień. Zbyt krótko trzymałem tę rękę, abym mógł to uważać za zdobyty przywilej.

W chwili gdy pani Derville ponawiała propozycję, Julian ścisnął silnie rękę zwisającą w jego dłoni. Pani de Rênal, która już wstawała, siadła z powrotem mówiąc omdlewającym głosem:

– Czuję się w istocie nieco cierpiąca, ale świeże powietrze orzeźwi mnie.

Słowa te potwierdziły szczęście Juliana, które w tej chwili odczuwał w całej pełni. Zaczął mówić, zapomniał o udawaniu, oczarował obie przyjaciółki. Ale było jeszcze nieco tchórzostwa w tym potoku wymowy. Obawiał się śmiertelnie, aby pani Derville, spłoszona wiatrem, który się zerwał przed burzą, nie zechciała sama wrócić. Zostałby wówczas sam na sam z panią de Rênal. Zdobył się, prawie przypadkiem, na ślepą odwagę, która wystarcza do działania, ale czuł, że nie byłby zdolny wyrzec słowa do pani de Rênal. Wymówka z jej strony, choćby najłżejsza, znalazłaby go bezbronnym; owoc zwycięstwa byłby stracony.

Szczęściem, tego wieczoru jego gorąca wymowa znalazła łaskę w oczach pani Derville, której zazwyczaj wydawał się dziecinnie niezręczny i nudny. Pani de Rênal, z dłonią w dłoni Juliana, nie myślała o niczym: żyła! Godziny spędzone pod lipą zasadzoną, wedle podania, przez Karola Śmiałego, były dla niej epoką szczęścia. Słuchała z rozkoszą szumu wiatru w gęstwinie oraz szelestu kropel spadających na liście. Julian nie zauważył okoliczności, która byłaby mu znacznie dodała otuchy: pani de Rênal, która cofnęła rękę, aby pomóc kuzynce podnieść obaloną wiatrem doniczkę, siadłszy z powrotem oddała mu na nowo dłoń prawie bez trudności, jak gdyby to już była rzecz umówiona.

Północ wybiła od dawna; trzeba było wreszcie opuścić ogród. Rozstali się. Pani de Rênal, upojona rozkoszą kochania, w naiwności swojej nie czyniła sobie prawie wyrzutów. Szczęście odjęło jej sen. Julian natomiast, śmiertelnie znużony walką, jaka cały dzień toczyła się w jego sercu między nieśmiałością i dumą, spał jak zabity.

Nazajutrz zbudzono go o piątej i – rzecz, która zabolalaby okrutnie panią de Rênal, gdyby to wiedziała – zaledwie pomyślał o niej. Spełnił s w ó j o b o w i ą z e k; i t o o b o w i ą z e k h e r o i c z n y. Przejęty szczęściem tego uczucia, zamknął się na klucz i utonął z nową przyjemnością w opisie przygód swego bohatera.

Skoro rozległ się dzwonek na śniadanie, Julian, zatopiony w Biuletynach Wielkiej Armii, zapomniał wszystkich triumfów dnia poprzedniego. Schodząc do salonu szepnął sobie: – Trzeba powiedzieć tej kobiecie, że ją kocham.

Miał przepojonych rozkoszą spojrzeń, których się spodziewał, ujrzał surową fizjonomię pana de Rênal, który, przybywszy od dwóch godzin z Verrières, nie ukrywał swego niezadowolenia, iż Julian cały ranek nie zatroszczył się o dzieci. Nic szpetniejszego, jak ten człowiek przejęty swą ważnością, czujący się w prawie dać uczuć swój niehumor.

Każde cierpkie słowo męża przeszywało serce pani de Rênal. Julian był tak oszołomiony, tak jeszcze pełen wielkich czynów, które przez kilka godzin przesuwaly się przed jego oczami, iż w pierwszej chwili ledwie raczył zauważyć wymówki pana de Rênal. W końcu odparł dość ostro:

– Byłem niezdrow!

Ton odpowiedzi byłby uraził człowieka nawet o wiele mniej drażliwego niż pan de Rênal. W pierwszej chwili chciał go wypędzić bez zwłoki; powściągnęła go tylko zasada, iż nie należy się nigdy śpieszyć w interesach.

– Ten smarkacz – pomyślał sobie – zyskał dzięki memu domowi pewną reputację: pójdzie do Valenoda albo ożeni się z Elizą i tak czy tak będzie sobie drwił ze mnie.

Mimo tej przezornej refleksji pan de Rênal dał upust niezadowoleniu w szorstkich słowach, które w końcu rozdrażniły Juliana. Pani de Rênal omal się nie rozpląkała. Zaraz po śniadaniu poprosiła Juliana, aby jej podał ramię i przeszedł się z nią trochę; wspierała się na nim przyjacielsko. Na wszystko, co mówiła, Julian zdołał tylko szepnąć:

– O t o b o g a c z e !

Pan de Rênal szedł tuż za nimi; obecność jego wzmagала gniew Juliana. Uczuł nagle, iż pani de Rênal wspiera się znacząco na jego ramieniu; zdjęty nagłym wstrętem, odepchnął ją gwałtownie i wyrwał ramię.

Szczęściem pan de Rênal nie widział tego nowego zuchwalstwa, zauważyła je tylko pani Derville; przyjaciółka jej załapała się łzami. W tej chwili pan de Rênal zaczął pędzić precz kamieniami małą wieśniaczkę, która szła niedozwoloną drogą, skracając, przez sad.

– Panie Julianie, przez litość – szepnęła pani Derville – niech się pan uspokoi, pomyśl pan, wszyscy miewamy swoje humory.

Julian zmierzył ją zimno oczami, w których malowała się najwyższa wzgarda.

Spojrzenie to zdumiało panią Derville, a byłoby ją zdziwiło o wiele bardziej, gdyby odgadła jego istotną treść: wyczytałaby w nim mętą nadzieję najokrutniejszej zemsty. Bez wątpienia takie upokorzenia tworzyły Robespierów.

– Twój Julian jest bardzo gwałtowny, przeraża mnie – szepnęła do przyjaciółki.

– Ma prawo do urazy – odparła. – Przy tak zadziwiających postępach, jakie chłopcy robią, cóż znaczy, że przez jeden ranek nie zajmował się nimi. Trzeba przyznać, że mężczyźni są bardzo bezwzględni.

Pierwszy raz w życiu pani de Rênal uczuła jakby chęć zemsty na mężu. Bezgraniczna nienawiść do bogaczy, jaka kipiała w Julianie, miała wybuchnąć. Szczęściem pan de Rênal przywołał ogrodnika i zaczął z nim grodzić cierniem niedozwoloną ścieżkę. Julian nie odpowiadał ani słowa na uprzejmość pań. Ledwie pan de Rênal się oddalił, przyjaciółki utrzymując, że są zmęczone, poprosiły go obie o ramię.

Między tymi dwiema kobietami, splonionymi z zakłopotania, twarz Juliana, pokryta wyniosłą bladością, posępna i stanowcza, tworzyła osobliwy kontrast. Czulił wzgardę dla tych kobiet i dla wszystkich tkliwych uczuć.

– Ha! – myślał. – Ani pięciuset franków renty dla dokończenia studiów! Och, jakże bym plunął na nich!

Pochłonięty tymi ponurymi myślami, ledwie raczył słuchać obu pań; każde słowo raziło go jako niedorzeczne, głupie, mdłe, słowem – k o b i e c e.

Paplać byle co dla podtrzymania rozmowy, pani de Rênal wspomniała, że mąż przybył z Verrières, ponieważ zamówił u jednego z dzierżawców kukurydzaną słomę (w tych stronach używa się kukurydzanej słomy do wypychania sienników).

– Mąż nie wróci – dodała – zajęty jest z ogrodnikiem i służącym zmienianiem słomy w siennikach w całym domu. Rano załatwili się z pierwszym piętnem, teraz poszli na drugie.

Julian zbladł, spojrzał znacząco na panią de Rênal i przyspieszając kroku odciągnął ją na stronę. Pani Derville puściła ich przodem.

– Ratuj mnie, pani! – wykrzyknął. – Pani jedna to może. Wie pani, że lokaj nienawidzi mnie śmiertelnie. Muszę się przyznać: w sienniku w moim łóżku schowany jest portret.

Na te słowa pobladła z kolei pani de Rênal.

– Pani jedna może w tej chwili wejść do mego pokoju; niech pani sięgnie tak, aby nikt nie widział, do siennika w rogu blisko okna, znajdzie tam pani czarne pudierko.

– W nim portret... – rzekła pani de Rênal, ledwie mogąc utrzymać się na nogach.

Julian spostrzegł jej wzruszenie i skorzystał z niego w lot.

– Mam panią prosić o drugą łaskę: błagam, aby pani nie oglądała portretu, to moja tajemnica.

– Tajemnica! – powtórzyła pani de Rênal gasnącym głosem.

Ale mimo iż wzrosła między ludźmi dumnymi z majątku i wrażliwymi jedynie na pieniądze, dusza jej wyszlachetniała już przez miłość. Okrutnie zraniona, pani de Rênal zdobyła się wszelako na akcent szczerego poświęcenia, zadając Julianowi parę niezbędnych pytań.

– Zatem – rzekła odchodząc – okrągłe pudełko z czarnego kartonu?

– Tak, pani – odrzekł Julian z owym twardym wejrzeniem, jaki przybierają mężczyźni w chwilach niebezpieczeństwa.

Weszła na drugie piętro, blada, jak gdyby szła na śmierć. Na domiar nieszczęścia czuła, iż bliska jest omdlenia, ale chęć ratowania Juliana dodała jej siły.

– Muszę mieć to pudełko – rzekła przyśpieszając kroku.

Usłyszała, jak mąż mówił coś do służącego – byli w pokoju Juliana; szczęściem przeszli do pokoju dzieci. Podniosła materac i zanurzyła rękę w sienniku tak gwałtownie, że sobie podrapała palce. Ale mimo że bardzo wrażliwa na ból, nie czuła zgoła nic, gdyż w tej chwili zmacała pudełko. Chwyliła je i wyszła.

Ledwie znalazła się poza niebezpieczeństwem, zrobiło się jej słabo.

Julian zakochany! To portret kobiety, którą kocha!

Osunąwszy się na krzesło w przedpokoju, pani de Rênal przechodziła wszystkie męki zazdrości. Znowu naiwność przysła jej z pomocą: zdumienie paraliżowało ból. Julian wszedł, chwycił pudełko nie dziękując, bez słowa; pobiegł do swego pokoju, rozniecił ogień i spalił je w jednej chwili. Był blady, bez tchu; przesadzał rozmiar minionego niebezpieczeństwa.

– Portret Napoleona – mówił potrząsając głową – u człowieka, który popisuje się taką nawiścią do u z u r p a t o r a ! Gdyby go dostał w ręce pan de Rênal, taki klerykał i taki wściekły na mnie! W dodatku z odwrotnej strony kilka wierszy kreślonych moją ręką, nie zostawiających żadnej wątpliwości co do bezmiarów mego uwielbienia! I każdy z tych wybuchów miłości nosi datę! Ostatni z przedwczoraj.

Cała moja reputacja obalona, obrócona wniwecz w jednej chwili! – powtarzał Julian patrząc na płonące pudełko. – A moja reputacja to całe moje mienie, żyję tylko nią... a i to jeszcze co za życie, wielki Boże!

W godzinę później znużenie i litość dla samego siebie nastroiły go tkliwie. Spotkał panią de Rênal, ujął jej rękę i ucałował szczyt jej palca. Zarumieniła się ze szczęścia i prawie w tej samej chwili odepchnęła Juliana w paroksyzmie gniewu i zazdrości. Duma Juliana, tak świeżo zraniona, sprawiła, że postąpił jak głupiec. Widział w pani de Rênal jedynie bogaczkę; puścił jej rękę ze wzgardą i oddalił się. Zadumany, przechadzał się po ogrodzie; niebawem gorzki uśmiech wykwitł na jego wargach.

– Przechadzam się tutaj spokojnie, jak człowiek rozrządzający swoim czasem! Nie zajmuję się dziećmi! Narażam się na słuszne zniewagi pana de Rênal.

Poszedł do chłopców. Pieszczoty najmłodszego, którego bardzo lubił, ukołysły nieco piekący ból.

– Ten nie pogardza mną jeszcze – myślał Julian. Ale niebawem zaczął sobie wyrzucać to roztkliwienie, nowy objaw słabości. – Te dzieci pieszczą mnie tak, jakby pieściły młodego psa, którego mają od wczoraj.

## X. WIELKIE SERCE I MAŁA DOLA

But passion most dissembles, yet betrays,  
Even by its darkness; as the blackest sky  
Foretells the heaviest tempest.  
*Don Juan, I, 75*

Pan de Rênal obszedłszy wszystkie pokoje wrócił do sypialni dzieci ze służbą, która odnosiła sienniki. Widok jego był dla Juliana kroplą wody, która przelała naczynie.

Ponury, bledszy niż zwyczajnie, rzucił się ku niemu. Pan de Rênal zatrzymał się, spojrzał na służących.

– Panie – rzekł Julian – czy pan przypuszcza, że z każdym nauczycielem dzieci zrobiłyby takie postępy? A jeżeli nie – ciągnął nie pozwalając panu de Rênal dojść do słowa – jak pan śmie wyrzucać mi, że je zaniedbuję?

Pan de Rênal, ochłonawszy z przestachu, wywnioskował z dziwnego tonu młodego korepetytora, że ma w kieszeni korzystniejszą propozycję i że go opuści. Gniew Juliana wzrastał, w miarę jak mówił.

– Dam sobie radę bez pana – dodał.

– Doprawdy bardzo mi przykro, że pan się tak przejmuje – odparł pan de Rênal zająkując się nieco. (Służący ślali łóżko tuż koło nich.)

– To mi nie wystarcza, proszę pana – ciągnął Julian niemal bezprzytomny – proszę sobie przypomnieć, w jaki ohydny sposób odzywał się pan do mnie, i to wobec kobiet!

Pan de Rênal rozumiał aż nadto dobrze, czego żąda Julian, i ciężka walka toczyła się w jego duszy. Przypadkowo Julian, w istocie oszalały z gniewu, wykrzyknął:

– Wiem, dokąd się udać, skoro opuszczę pański dom.

Na te słowa pan de Rênal ujrzał go już u pana Valenod.

– Zatem, proszę pana – rzekł w końcu z westchnieniem i z miną taką, jakby wzywał chirurga dla bolesnej operacji – godzę się. Od pojutrze, to znaczy od najbliższego miesiąca, daję panu pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Julian miał ochotę się śmiać, stanął osłupiały: cały gniew znikł.

– Nie dość gardziłem bydlęciem – rzekł sobie. – Oto zapewne szczyt zadośćuczynienia, na jakie może się zdobyć dusza tak podła.

Dzieci, które słuchały tej sceny z szeroko otwartymi ustami, pobiegły do ogrodu powiedzieć matce, że pan Julian bardzo się gniewał, ale że będzie miał pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Julian z przyzwyczajenia udał się za nimi, nie spojrzawszy nawet na pana de Rênal, którego zostawił w stanie silnego podrażnienia.

– Hm! – mówił sobie mer – ten Valenod kosztuje mnie sto sześćdziesiąt osiem franków. Muszę mu powiedzieć parę ciepłych słów w sprawie jego dostaw do podrzutków.

W chwilę potem Julian znów stanął przed panem de Rênal.

– Potrzebuję w sprawach mego sumienia widzieć się z księdzem Chélan; mam zaszczyt uprzedzić, że przez kilka godzin będę nieobecny.

– Ależ, drogi panie Julianie – rzekł mer śmiejąc się nieszczerze – cały dzień, jeśli pan chce, i cały jutrzejszy. Niech pan weźmie konia od ogrodnika, aby pojechać do Verrières.

– Aha – pomyślał – idzie dać odpowiedź panu Valenod; nic mi nie przyrzekł, ale trzeba dać ochłonąć tej gorącej głowie.

Julian wymknął się szybko i zapuścił się w lasy, którymi można się dostać z Vergy do Verrières. Nie chciał zbyt szybko przybyć do księdza Chélan: nie pilno mu było do nowej sceny obłudy. Potrzebował rozpatrzeć się jasno w swej duszy, dać głos przeróżnym uczuciom, jakie nim miotają.

– Wygrałem bitwę – rzeki znalazłszy się w lesie z dala od spojrzeń ludzkich – wygrałem bitwę!

Słowo to odmalowało mu jego położenie w pięknych kolorach i uspokoiło go nieco.

– Mam tedy pięćdziesiąt franków miesięcznie. Musi pan de Rênal mieć tęgiego stracha. Ale przed czym?

Dociekanie, co mogło przestraszyć szczęśliwego i potężnego człowieka, na którego przed godziną jeszcze wrzał cały gniewem, do reszty rozpogodziło Juliana. Przez chwilę czuł się niemal upojony czarem cudnego lasu. Olbrzymie złomy skał zwały się tu niegdyś z gór. Wielkie buki wznosiły się prawie tak wysoko jak skały, których cień dawał rozkoszny chłód na parę kroków od miejsc palonych nieznośnym żarem.

Julian wytechnął chwilę, po czym zaczął piąć się na nowo. Niebawem, idąc wąską, ledwie widzialną ścieżką wydeptaną przez pasterzy, znalazł się na szczycie turni, z poczuciem przestrzeni dzielącej go od świata. Uśmiechnął się; stanowisko to było symbolem pozycji, jaką tak żarliwie pragnął osiągnąć. Czyste górskie powietrze wlało pogodę, nawet radość w jego duszę. Burmistrz był wprawdzie ciągle w jego oczach wcieleniem bogaczy i gnębicieli, ale Julian czuł, że nienawiść jego nie ma mimo swej gwałtowności nic osobistego. Gdyby stracił z oczu pana de Rênal, w ciągu tygodnia zapomniałby o nim, o jego zamku, psach, dzieciach i całej rodzinie.

– Zmusiłem go, sam nie wiem jak, do najcięższej ofiary. Jak to, więcej niż pięćdziesiąt talarów rocznie?! Chwilę przedtem ocaliłem się z największego niebezpieczeństwa. Oto dwa zwycięstwa w ciągu dnia – drugie nie jest moją zasługą, trzeba by odgadnąć jego sprężyny. Ale do jutra z mędrkowaniem!

Stojąc na wysokiej skale Julian spoglądał w niebo gorejące sierpniowym słońcem. W polu, poniżej, śpiewały koniki polne; skoro milkły, wszystko dokoła stawało się ciszą. Widział u swoich stóp okolicę na dwadzieścia mil wokoło. Spomiędzy skał wzbijał się nad jego głową jastrząb i zakreślał w milczeniu olbrzymie koła. Oko Juliana gonilo machinalnie drapieżnego ptaka. Uderzały go jego spokojne i potężne ruchy; zazdrościł tej siły, zazdrościł tej samotności.

To był los Napoleona; czy będzie kiedy jego losem?

## XI. WIECZÓR

Yet Julia's very coldness still was kind,  
And tremulously gentle her small hand  
Withdrew itself from his, but left behind  
A little pressure, thrilling' and so bland  
And slight, so very slight that to the mind  
'Twas but a doubt.  
*Don Juan, I, 71*

Ale trzeba pokazać się w Verrières. Szczęśliwym trafem, wychodząc z plebanii, Julian spotkał pana Valenod, któremu opowiedział skwapliwie o podwyżce pensji.

Wróciwszy do Vergy Julian zszedł do ogrodu aż z zapadnięciem nocy. Dusza jego była zmęczona nawałem gwałtownych wzruszeń tego dnia. – Co ja im powiem? – pytał z niepokojem, myśląc o paniach. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie dusza jego znajduje się na poziomie drobnych okoliczności, którymi zazwyczaj interesują się kobiety. Często Julian był zagadką dla pani Derville, a nawet dla jej przyjaciółki, i nawzajem on sam na wpół tylko rozumiał to, co one doń mówiły. Przyczyną tego była siła i, jeśli wolno się tak wyrazić, rozpięcie namiętności, jakie poruszały duszę ambitnego chłopca. W tym dziwnym sercu co dzień szalała burza.

Wchodząc tego wieczoru do ogrodu, Julian skłonny był dostroić się do tonu ładnych kuzynek. Czekwały go niecierpliwie. Usiadł na zwykłym miejscu, obok pani de Rênal. Niebawem zapadła głęboka ciemność. Chciał ująć białą rękę, którą od dawna widział blisko siebie opartą o poręcz. Ręka zawahała się chwilę, wreszcie cofnęła się z gestem niezadowolenia. Julian gotów był pogodzić się z losem i dalej wieść wesołą rozmowę, kiedy usłyszał kroki pana de Rênal.

Chłopak miał jeszcze w uszach obelżywe słowa usłyszane rano. – Czyżby to nie był – rzekł sobie – wspaniały sposób zadrwienia z tego człowieka, tak obsypywanego darami fortuny, trzymać za rękę jego żonę właśnie w jego obecności? Tak, ja to uczynię, ja, z którym obszedł się tak wzgardliwie.

Spokój Juliana, tak obcy jego charakterowi, pierzchnął, całą duszę jego wypełniło zaprawne lękiem pragnienie, aby pani de Rênal zechciała mu dać swą rękę.

Pan de Rênal, silnie poirytowany, zaczął mówić o polityce: chodziło o paru przemysłowców, którzy, wyrósłszy mu ponad głowę majątkiem, próbowali pokrzyżować wybory. Pani

Derville słuchała. Julian, podrażniony tymi wywodami, przysunął krzesło do pani de Rênal. Ruchy jego ginęły w ciemności. Odważył się oprzeć rękę tuż przy ładnym ramieniu, które wychylało się obnażone z sukni. Zamęt jakiś ogarnął jego myśli, nie wiedział, co robi: zbliżył policzek do tego pięknego ramienia, ośmielił się położyć na nim wargi.

Pani de Rênal zadrżała. Mąż był o cztery kroki. Czym prędzej dała rękę Julianowi odpychając go równocześnie nieco. Gdy pan de Rênal miotał dalej zniewagi na bogacących się chłystków i jakobinów, Julian okrywał dłoń jego żony namiętymi pocałunkami – takimi wydawały się przynajmniej pani de Rênal. A jednak tegoż nieszczęsnego dnia biedna kobieta miała dowód, że człowiek, którego ubóstwiała nie przyznając się do tego przed sobą, kocha inną! Przez cały czas nieobecności Juliana była pastwą straszliwej boleści, która pobudziła ją do zastanowienia.

– Jak to, czyżbym kochała? – mówiła sobie. – Miałaby to być miłość? Ja, kobieta zameżna, byłabym zakochana? Ależ – mówiła sobie – nigdy mąż nie budził we mnie tego dzikiego szału, który sprawia, że nie mogę oderwać myśli od Juliana. W gruncie rzeczy to dziecko pełne szacunku dla mnie! To szaleństwo minie. Cóż obchodzą mego męża uczucia moje dla tego chłopca? Jego zdzudziłyby rozmowy, jakie prowadzę z Julianem o rzeczach duchowych, on myśli tylko o interesach. Nie krzywdzę go w niczym dla Juliana.

Ani cień obłudy nie mącił tej czystej, naiwnej duszy, zbłąkanej nie znaną dotąd namiętnością. Błądziła, ale bezwiednie: cnota jej wszelako wzdrygała się instynktownie. Takie walki toczyły się w pani de Rênal, kiedy Julian zjawił się w ogrodzie. Usłyszała jego głos; równocześnie prawie chłopiec usiadł przy niej. Duszą jej owładnęło owo błogie szczęście, które od dwóch tygodni bardziej jeszcze zdumiewało ją, niż pociągało. Wszystko było dla niej niespodzianką. Po chwili jednak rzekła sobie: – Wystarczy tedy obecność Juliana, aby zmasać wszystkie jego winy? – Przelekła się: wówczas cofnęła rękę.

Namiętne pocałunki, jakich nie znała dotąd, zatarły w jej pamięci myśl, że on może kocha inną kobietę. Niebawem przestał być winnym w jej oczach. Dotkliwy ból, zrodzony podejrzeniem, znikł wobec szczęścia, o jakim pani de Rênal nawet nie marzyła; ogarnął ją szal miłości i wesela. Wieczór ten był uroczy dla wszystkich z wyjątkiem pana mera, który nie mógł strawić zbogaconych przemysłowców. Julian zapomniał o swej posępnej ambicji, o projektach tak trudnych do wykonania. Pierwszy raz w życiu uległ czarowi piękności. Zatopiony w mglistym i słodkim marzeniu, tak obcym jego naturze, przyciskając łagodnie tę śliczną rękę, słuchał z roztargnieniem szumu liści poruszanych lekkim wiatrem oraz dalekiego szczekania psów.

Ale wzruszenie to było rozkoszą, nie miłością. Idąc do swego pokoju myślał tylko o jednym szczęściu, mianowicie: aby wrócić do swej ulubionej książki – w dwudziestym roku myśli o świecie i o czekającej w nim roli przeważa wszystko.

Niebawem jednak odłożył książkę. W miarę jak wgłębiał się w zwyczajstwa Napoleona, ujrzał coś podobnego w swoim własnym. – Tak, wygrałem bitwę – rzekł – trzeba zmiażdżyć pychę tego szlachetki, gdy się cofa. To najczystsza metoda napoleońska. Muszę go poprosić o trzy dni urlopu dla odwiedzenia mego przyjaciela. Jeśli odmówi, dam mu jeszcze raz wóz albo przewóz; ale on ustąpi!

Pani de Rênal nie mogła zmrużyć oka. Zdawało się jej, że nie żyła do tej chwili. Nie mogła się oderwać od rozkosznej myśli o płomiennych pocałunkach, jakimi Julian okrywał jej rękę.

Naraz błysło jej okropne słowo: cudzołóstwo. Wszystko, czym najohydniejsza rozpusta może pokalać pojęcie fizycznej miłości, nasunęło się jej wyobraźni. Myśli te siliły się zaćmić tkliwy i boski obraz Juliana oraz szczęście kochania go. Przyszłość jawiła się jej w straszliwych barwach. Czuła się nędznicą.

Był to straszny moment; dusza jej wchodziła w nieznanne kraje. W wilię zakosztowała nie znanego wprzód szczęścia; obecnie zanurzyła się w okrutnej męczarni. Nie miała najmniejszego pojęcia o takich cierpieniach; odchodziła od zmysłów. Przez chwilę przyszło jej do



głowy wyznać mężowi, że się boi pokochać Juliana. W ten sposób mówiłaby choć o nim! Szczęściem przypomniała sobie przestrożę ciotki w dzień ślubu, aby się nigdy nie zwierzać mężowi, który ostatecznie jest p a n e m. W bezmiarze bóleści pani de Rênal łamała ręce.

Szarpały ją okrutne i sprzeczne obrazy. To lękała się, że Julian jej nie kocha, to dręczyło ją straszliwe poczucie zbrodni, jak gdyby nazajutrz miała się znaleźć pod pręgierzem, na placu, z napisem objaśniającym pospólstwo o cudzołóstwie, którego się dopuściła.

Pani de Rênal nie miała pojęcia o życiu; nawet na jawie i w pełni rozumu nie dostrzegłaby różnicy między winą w obliczu Boga a piętnem powszechnej wzgardy.

Kiedy ochłonęła nieco z myśli o wiarołomstwie i o hańbie, jaką w jej pojęciu zbrodnia ta wlecze za sobą, kiedy zatoneła w marzeniach o słodczy niewinnego życia obok Juliana jak wprzód, naraz ogarniała ją straszliwa myśl, że Julian kocha inną. Widziała jeszcze jego bladłość na myśl, że postrada j e j portret lub też narazi ją, wydając go obcym spojrzeniom. Pierwszy to raz ujrzała lęk na tej spokojnej i szlachetnej twarzy. Nieznośny ból doszedł do nasilenia, w którym duszy ludzkiej niepodobna go udźwignąć. Bezwiednie pani de Rênal wydała krzyk, który obudził pokojową. Naraz ujrzała koło łóżka błysk światła i poznała Elizę.

– Ciebie kocha?! – wykrzyknęła nieprzytomnie.

Pokojówka, zdumiona stanem swej pani, nie zwróciła na szczęście uwagi na to szczególne pytanie. Pani de Rênal zrozumiała swą nierozwagę.

– Mam gorączkę – rzekła – zdaje się trochę maligny; zostań przy mnie.

Rozbudzona i zmuszona panować nad sobą, uczuła się mniej nieszczęśliwą; rozsądek odzyskał władzę postradaną w tym półsennym stanie. Aby się uwolnić od wzroku pokojówki, kazała jej czytać gazetę. Przy dźwięku jednostajnego głosu dziewczyny czytającej długi artykuł z *Quotidienne* pani de Rênal powzięła cnotliwe postanowienie, aby skoro ujrzy Juliana, zachować najzupełniejszą obojętność.

## XII. PODRÓŻ

W Paryżu znajdują się ludzie elegancy, na prowincji mogą się znaleźć ludzie z charakterem.

S i é y è s

Nazajutrz o piątej rano, nim pani de Rênal pojawiła się, Julian uzyskał u mera trzydniowy urlop. Wbrew swemu oczekiwaniu Julian pragnął ją widzieć, myślał o jej pięknej ręce. Zeszedł do ogrodu, gdzie pani de Rênal dała długo na siebie czekać. Ale gdyby Julian kochał, byłby ją ujrzał za uchyloną żaluzją na piętrze, z czołem przylepionym do szyby. Patrzała nań. Wreszcie mimo postanowień zesłała do ogrodu. Zwykła jej bladość ustąpiła miejsca żywym kolorom. Ta kobieta, tak pełna prostoty, wyraźnie była wzburzona; uczucie przymusu, a nawet gniewu mąciło wyraz pogody, jak gdyby unoszącej się ponad pospolitymi interesami życia i dającej tyle uroku tej niebiańskiej twarzy.

Julian zbliżył się żywo; podziwiał piękne ramiona widniejące spod narzuconego naprędce szala. Chłód poranku podnosił jeszcze blask cery, którą przejścia tej nocy czyniły tym czulszą na wszelkie wrażenia. Ta skromna i wzruszająca piękność, pełna myśli, których nie spotyka się w gminie, ujawniła niejako Julianowi nie znaną dotąd stronę własnej jego duszy. Pochłonięty wdziękami i pożerając je chciwym okiem, nie myślał zgoła o życzliwym przyjęciu, którego był pewny. Tym bardziej uderzył go lodowaty chłód, jaki pani de Rênal siliła się okazać; zdawało mu się nawet, że dostrzega intencję osadzenia go w miejscu.

Luby uśmiech zamarł mu na ustach; przypomniał sobie stanowisko swoje w społeczeństwie, zwłaszcza w oczach bogatej szlachcianki. W tej chwili twarz jego odbijała jedynie dumę i złość na siebie. Wściekły był, że opóźnił podróż po to, aby doznać upokarzającego przyjęcia.

– Tylko głupiec – powiedział sobie – wpada w gniew na innych: kamień spada, bo jest ciężki. Czy zawsze będę dzieckiem? Kiedyż wreszcie nauczę się dawać ze swej duszy ludziom tylko tyle, ile się im należy za ich pieniądze? Jeśli chcę, aby mnie szanowali i abym ja szanował sam siebie, trzeba im pokazać, że to ubóstwo moje pakuje z ich bogactwem, ale że serce moje jest o tysiąc mil od ich buty i przebywa w sferze zbyt wysokiej, aby je mogły dosięgnąć drobne oznaki wzgardy lub łaski.

Gdy te uczucia cisnęły się tłumnie w duszy młodego preceptora, żywa jego fizjonomia przybrała wyraz obolałej dumy i okrucieństwa. Pani de Rênal zmieszana się. Cnotliwy chłód, jaki chciała nadać powitaniu, ustąpił miejsca wyrazowi życzliwości i zdumienia z powodu

naglej przemiany, na którą patrzyła. Banalne słowa, jakie się wymienia co rano na temat zdrowia, pogody, zastygły obojgu na ustach. Julian, którego myśli nie mąciło uczucie, umiał zaznaczyć wobec pani de Rênal, że swój stosunek do niej uważa za bardzo daleki; nie wspominał nic o zamierzonej podróży, skłonił się i odszedł.

Gdy spoglądała za nim, zmiażdżona posępną dumą, którą czytała w tym tak ujmującym wczoraj spojrzeniu, najstarszy chłopiec nadbiegając z ogrodu rzekł ściskając matkę:

– Mamy wolne, pan Julian jedzie.

Na te słowa pani de Rênal uczuła śmiertelny chłód; cierpiała okrutnie w swym poczuciu moralnym, bardziej jeszcze w poczuciu swej słabości.

Nowe to wydarzenie zaprzątnęło całą jej wyobraźnię; zapomniała o rozsądnych postanowieniach powziętych tej straszliwej nocy. Nie chodziło już o to, aby się opierać temu lubemu chłopcu, ale aby go nie stracić na zawsze!

Nadeszło śniadanie. Na domiar męki pan de Rênal i pani Derville mówili cały czas o wyjeździe Juliana. Mer zauważył coś niezwykłego w tonie preceptora, gdy prosił o urlop.

– Ten chłopak ma z pewnością w kieszeni czyjąś propozycję. Ale temu komuś, choćby to był Valenod, zrzędzie mina, skoro usłyszy, że trzeba wyłożyć sześćset franków rocznie. Wczoraj w Verrières zażądano od niego trzydniowej zwłoki dla namysłu; dziś rano, aby nie być zmuszony odpowiedzieć mi, panicz puszcza się w góry. Liczyć się z lada bezczelnym chłystkiem, wyrobnikiem! Oto, do czegośmy doszli!

– Skoro mąż, który nie wie, jak głęboko zranił Juliana, przypuszcza, że on nas opuści, cóż ja dopiero mam myśleć? – rzekła w duchu pani de Rênal. – Och, wszystko przepadło!

Aby móc przynajmniej płakać w spokoju i nie odpowiadać na pytania pani Derville, udała ból głowy i poszła się położyć.

– Och, te kobiety! – powtórzył pan de Rênal. – Zawsze jest coś nie w porządku w tej skomplikowanej maszynerii.

I odszedł dowcipkując.

Gdy pani de Rênal przechodziła burzę straszliwej namiętności, w jaką zawikłał ją przypadek, Julian wędrował ochoczo wśród najpiękniejszych górskich widoków. Trzeba mu było przebyć łańcuch gór na północ od Vergy. Ścieżka wznosząc się pomału w bukowym lesie tworzy liczne skręty na zboczu góry zamykającej od północy dolinę. Niebawem spojrzenia wędrowca, biegnąc nad pagórki określające bieg rzeki od południa, utonęły w żyznych równinach Burgundii i Beaujolais. Mimo iż dusza ambitnego młodzieńca niezbyt była tkliwa na te wrażenia, nie mógł się wstrzymać, aby nie przystanąć od czasu do czasu, ogarniając okiem rozległy i wspaniały krajobraz.

Wreszcie dosięgnął szczytu wysokiej góry, wkoło której trzeba było się przewinać, aby dotrzeć do samotnej doliny, gdzie mieszkał jego przyjaciel, młody handlarz drzewa. Julianowi nie było spieszno ujrzeć go, jak w ogóle żadnej ludzkiej istoty. Ukryty niby drapieżny ptak wśród nagich skał wieńczących górę, mógł z dala dojrzeć każdego, kto by się przybliżył. Odkrył w prostopadłej niemal skale małą grotę – puścił się ku niej, niebawem znalazł się w tym schronieniu. – Tutaj – rzekł z błyszczącymi radością oczami – ludzie nie zdołają mi uczynić nic złego. – Skusiła go rozkosz spisania swoich myśli; wszędzie gdzie indziej rzecz tak niebezpieczna! Graniasty kamień posłużył mu za pulpit. Pióro jego pomykało, nie widział nic dokoła siebie. W końcu spostrzegł, iż słońce kryje się za górami, het, daleko za Beaujolais.

– Czemu nie miałbym spędzić tutaj nocy? – rzekł – mam chleb i j e s t e m w o l n y ! – Na dźwięk tego wielkiego słowa dusza jego wezbrała radością: obłuda jego sprawiała, że nie był wolny nawet u Fouquégo. Z głową wspartą na rękach Julian trwał w tej grocie, szczęśliwszy niż kiedykolwiek, kołysany marzeniami i pijaństwem wolności. Nie myśląc o tym patrzył, jak gasną kolejno płomienie zachodzącego słońca. W tej olbrzymiej ciemności dusza jego tonęła w obrazach tego wszystkiego, co sobie wyobrażał, że kiedyś ujrzy w Paryżu. Przede wszystkim – kobieta, o wiele piękniejsza, świetniejsza niż wszystkie, które mógł spotkać na

provincji. Kochał ją namiętnie, posiadał jej wzajemność. Jeśli się rozłączał z nią na chwilę, to jedynie po to, aby się okryć chwałą i zasłużyć na więcej miłości.

Każdy inny młodzieniec, nawet z wyobraźnią Juliana, lecz wychowany pośród smutnych prawd paryskiego życia, obudziłby się w tym punkcie romansu pod ukłuciem zimnej ironii. Znikłyby wielkie czyny i nadzieje, aby ustąpić miejsca znanej maksymie: „Kto rozstaje się z kochanką, naraża się niestety na to, że go zdradzi parę razy dziennie”. Młody kmiotek nie widział nic, co by go dzieliło od najbardziej heroiczych czynów; nic, prócz braku sposobności.

Ale zapadła już głęboka noc, a do sioła, w którym mieszkał Fouqué, były jeszcze dwie mile. Nim opuścił grocie, Julian rozniecił ogień i spalił troskliwie wszystko, co napisał.

Zdumiał mocno przyjaciela pukając do jego drzwi o pierwszej z rana. Fouqué siedział przy rachunkach. Był to wysoki młody człowiek, dość niezręczny, o grubych, twardych rysach i nieskończenie długim nosie. Pod tym odpychającym pozorem fizjonomia jego kryła wiele dobroduszości.

– Pokłóciłeś się z merem, że spadasz tak niespodziewanie?

Julian opowiedział wczorajsze wypadki, przekształcając je odpowiednio.

– Zostań ze mną – rzekł Fouqué – widzę, że znasz de Rênala, pana Valenod, podprefekta, proboszcza, przeniknąłeś charaktery i słabości tych ludzi, mógłbyś stawać przy licytacjach. Rachujesz lepiej ode mnie, będziesz mi prowadził książki: zarabiam grubo. Niepodobna załatwić wszystkiego samemu, biorąc zaś współnika lękam się, bym nie trafił na hultaja; dlatego co dzień muszę odrzucać doskonałe interesy. Ot, miesiąc temu dałem zarobić sześć tysięcy franków Michaudowi z Saint-Amand, którego nie widziałem od pięciu lat; spotkałem go przypadkiem na licytacji w Pontarlier. Czemu ty byś nie miał zarobić sześciu albo choć trzech tysięcy? Gdybym miał ciebie tego dnia, licytowałbym wyżej i utrzymałbym się przy kupnie. Zostań mym współnikiem.

Propozycja ta zepsuła humor Julianowi i krzyżowała jego szaleństwo. Podczas wieczerzy, którą przyrządzili sami, niby bohaterowie Homera – Fouqué sam prowadził gospodarstwo – druh pokazywał Julianowi rachunki i dowodził, jak bardzo handel drzewem jest rentowny. Fouqué miał wysokie pojęcie o inteligencji i o charakterze Juliana.

Skoro wreszcie chłopiec znalazł się w samotnej izdebce, pomyślał: – Prawda, mogę tu zarobić kilka tysięcy, następnie zaś oblec w lepszych warunkach mundur lub sutannę, wedle tego, jaka moda będzie wówczas we Francji. Trochę uzbieranego grosza usunie drobne trudności. Żyjąc samotnie w tych górach okrzese się trochę z potwornej nieświadomości tyłu rzeczy, stanowiących treść salonów. Ale Fouqué nie ma zamiaru się żenić; powtarza, że samotność mu ciąży. Jasne jest, że jeśli bierze współnika bez kapitału, to w nadziei zyskania towarzysza, który go nie opuści.

– Mamże oszukiwać przyjaciela? – zawołał wzburzony. Ten chłopak, w którym obłuda i bezwzględność stanowiły zwyczajną drogę do celu, nie mógł w tym wypadku znieść myśli o najmniejszej nielojalności wobec człowieka, który go kochał.

Naraz ogarnęła go radość: miał powód, aby odmówić.

– Jak to, miałbym zmarnować nędznie kilka lat! Dobić tak do dwudziestego ósmego roku! Ależ w tym wieku Napoleon dokonał już największych czynów! Kiedy uciułam parę groszy targując wyręby i zabiegając o względy hultajów, któż mi ręczy, czy będę miał jeszcze ten święty ogień, potrzebny, aby zdobyć imię?

Nazajutrz rano Julian odpowiedział spokojnie dobremu Fouqué, który uważał sprawę spółki za ubitą, że powołanie do stanu kapłańskiego nie pozwala mu przyjąć propozycji. Fouqué nie mógł się opamiętać.

– Ależ pomyśl – powtarzał – ja cię biorę za współnika lub jeżeli wolisz, dam ci cztery tysiące franków rocznie i ty chcesz wracać do tego pana de Rênal, który tobą gardzi! Kiedy będziesz miał oszczędzonych dwieście ludwików, któż ci broni wstąpić do seminarium! Po-

wiem więcej, podejmuję ci się wystarać o najpiękniejsze probostwo w okolicy. Toć – dodał Fouqué ciszej – ja dostarczam drzewa na opał panom X, Y, Z... Daję im najlepszą dębinę, za którą płacą jak za zwykłe drwa; ale trudno by o lepszą lokatę pieniędzy.

Nic nie mogło przewyciężyć wokacji Juliana. Fouqué pomyślał w końcu, że on ma źle w głowie. Trzeciego dnia rankiem Julian pożegnał przyjaciela. Spędził dzień wśród skał. Odnalazł grotę, ale nie miał już spokoju w duszy: odebrała mu go propozycja przyjaciela. Jak Herkules znalazł się nie między występkiem a cnotą, ale między miernością dającą pewny dobrobyt a heroicznymi marzeniami młodości.

– Nie mam tedy prawdziwego charakteru – powiadał sobie; i ta wątpliwość bolała go najwięcej. – Nie jestem z kruszcu, z którego wykuwa się wielkich ludzi, skoro się lękam, aby kilka lat poświęconych pracy na chleb nie odebrało mi owej szczytnej energii, która działa cuda.

### XIII. AŻUROWE POŃCZOCHY

Powieść jest to zwierciadło,  
które obnosi się po gościńcu.  
S a i n t - R é a l

Ujrawszy malownicze ruiny starego kościoła w Vergy, Julian zauważył, że od przedwczoraj ani razu nie pomyślał o pani de Rênal. – W dniu kiedy puszczałem się w drogę, ta kobieta przypomniła mi nieskończoną odległość, jaka nas dzieli; potraktowała mnie jak syna wyrobnika. Z pewnością chciała tym wyrazić żal, że pozwoliła mi ścisnąć swą rękę poprzedniego wieczora... Bądź co bądź, śliczna ręka! a co za wdzięk, co za godność!

Możliwość zrobienia majątku przy Fouquéem złagodziła niejako tok myśli Juliana; ubóstwo i własna nicość przestały go tak upokarzać. Spoglądał na świat niby z wyniosłego cypla; wznosił się nad krańcową nędzę oraz nad dostatek, który jeszcze nazywał bogactwem. Nie umiał się zdobyć na filozofię, ale miał tyle jasności spojrzenia, aby się czuć innym po tej wybieczce.

Uderzyło go głębokie wzruszenie, z jakim pani de Rênal wysłuchiwała sprawozdania z podróży, poprosiwszy go o nie.

Fouqué miał na sercu niedoszłe małżeństwo, zawód miłosny; zwierzył się obszernie Julianowi. Dostąpiwszy szczęścia zbyt wcześnie, spostrzegł, że nie on jeden cieszył się względami ukochanej. Zwierzenia te uderzyły Juliana; dowiedział się wielu rzeczy nowych. Jego samotne życie, utkane z marzeń i nieufności, trzymało go z dala od wszystkiego, co by go mogło uświadomić.

Podczas jego nieobecności życie było dla pani de Rênal pasmem udręczeń wręcz nie do zniesienia; była naprawdę chora.

– Przede wszystkim – rzekła do niej pani Derville widząc Juliana z powrotem – nie chodź wieczorem do ogrodu, wilgoć zaszkodziłaby ci.

Pani Derville ujrzała ze zdumieniem, że przyjaciółka, którą mąż lajał zawsze za nadmierną skromność w ubraniu, włożyła ażurowe pończochy i śliczne, sprowadzone z Paryża pantofelki. Od trzech dni jedyną rozrywką pani de Rênal było przykrawanie i szycie z Elizą letniej sukni z ładnej i modnej lekkiej materii. Suknię ukończono tuż po przybyciu Juliana; pani de Rênal włożyła ją natychmiast. Przyjaciółka nie miała już wątpliwości. – Kocha go, nieszczęśliwa! – rzekła sobie pani Derville. Zrozumiała całą tę dziwną chorobę.

Widziała, jak pani de Rênal rozmawiała z Julianem. Bładość zajęła miejsce rumieńca; we wzroku utkwionym w oczach młodego preceptora malował się lęk. Czekala, że powie coś stanowczego, czy zostaje w domu, czy też odchodzi. Julian nie odzywał się ani słowem w tym przedmiocie, nie myślał zresztą o tym. Po straszliwych walkach pani de Rênal ośmieliła się rzecz drżącym głosem, w którym odbijała się cała jej miłość:

– Czy opuści pan swoich uczniów dla innej posady?

Drżący głos i spojrzenie pani de Rênal uderzyły Juliana. – Ta kobieta kocha mnie – pomyślał – ale skoro się upewni, że zostanę, odzyska dawną pychę, pożałuje przelotnej słabości.

W mgnieniu oka ogarnął sytuację i odparł z namysłem:

– Bardzo by mi było przykro opuścić dzieci tak miłe i tak d o b r z e u r o d z o n e, ale może będzie trzeba. Mam obowiązki i względem siebie.

Wymawiając owo d o b r z e u r o d z o n e (jedno z arystokratycznych wyrażań, których nauczył się od niedawna) Julian doznał uczucia wstrętu.

– W oczach tej kobiety ja – mówił sobie – nie jestem dobrze urodzony.

Słuchając go pani de Rênal podziwiała jego inteligencję, urodę; serce się jej ścisnęło na myśl o możliwości rozstania. Znajomi, którzy w nieobecności Juliana przybyli na obiad do Vergy, wieszowali jej, jakby z umysłu, zdumiewającego człowieka, jakiego mąż jej miał szczęście odkryć. Nie znaczy to, aby w czymkolwiek byli zdolni ocenić postępy chłopców. Umiała na pamięć Biblię, i to po łacinie! Ten fakt przejął Verrières podziwem, który przetrwał może wiek.

Julian, który nie rozmawiał z nikim, nie wiedział o tym. Gdyby pani de Rênal miała bodaj trochę przenikliwości, powinszowałaby mu reputacji, jaką sobie zyskał; w ten sposób, zaspokojony w swej dumie, byłby dla niej miły i słodki, tym bardziej iż nowa suknia wydała mu się czarująca. Pani de Rênal, też rada z nowej sukni i z pochwał Juliana, chciała się przejść trochę; wkrótce oznajmiła, że nie jest w stanie iść, przyjęła ramię Juliana, a dotknięcie tego ramienia nie tylko nie dało jej sił, ale odjęło je zupełnie.

Była noc; ledwie usiedli, Julian – korzystając z dawnego przywileju – ośmielił się przytknąć wargi do ramienia pięknej sąsiadki i ująć ją za rękę. Myślał o przedsiębiorczości Fouquégo wobec kochanek, a nie o pani de Rênal. Słowo d o b r z e u r o d z e n i e ciążyły mu jeszcze na sercu. Nawet uścisk dłoni nie sprawił mu żadnej przyjemności. Uczucie, które pani de Rênal zdradzała tego wieczoru aż nazbyt wyraźnie, nie budziło w nim dumy ani wdzięczności; piękność, wykwint, świeżość zostawiały go niemal obojętnym. Czystość duszy, wolna od drgnień nienawiści, przedłuża bez wątpienia młodość. U większości ładnych kobiet twarz starzeje się najwcześniej.

Julian był markotny cały wieczór; dotąd dąsał się jedynie na społeczeństwo; od czasu jak Fouqué ofiarował mu płaski sposób zdobycia dobrobytu, wściekły był na siebie. Zatopiony w myślach, mimo że od czasu do czasu odzywał się parę słów do pań, bezwiednie puścił rękę pani de Rênal. Postępek ten wstrząsnął do głębi biedną kobietą, ujrzała w nim obraz swego losu.

Pewna miłości Juliana, znalazłaby może w cnocie siłę oporu. Drżąc, że go straci na zawsze, w namiętności swej posunęła się tak daleko, że sama ujęła dłoń Juliana, którą w roztarznieniu oparł o poręcz. Postępek ten obudził z zadumy ambitnego chłopaka; byłby chciał, aby jego świadkiem byli wszyscy ci dumni pankowie, którzy przy stole, gdzie siedział na szarym końcu z dziećmi, przyglądali mu się z protekcyjnym uśmiechem. – Ta kobieta nie może mną pogardzać; w takim razie mogę ulec jej piękności; wobec samego siebie mam obowiązek zostać jej kochankiem. – Ta myśl nie przyszłaby mu do głowy przed naiwnymi zwierzeniami przyjaciela.

Postanowienie to sprawiło mu przyjemność. Mówił sobie: – Muszę mieć jedną z tych dwóch kobiet. – Wolałby o wiele starać się o względy pani Derville; nie aby była powabniej-

sza, ale że poznała go już jako szanowanego dla swej wiedzy preceptora, a nie jako chłopaka ciesielskiego w drelichowej bluzie, jak go ujrzała pani de Rênal.

Otóż w pamięci pani de Rênal najwięcej miał uroku wówczas, kiedy jako młody robotnik, zarumieniony stał pod furtką nie śmiejąc zadzwonić.

Rozważając dalej sytuację, Julian osądził, że nie należy myśleć o podboju pani Derville, która zauważyła z pewnością skłonność przyjaciółki. Trzeba wrócić do tamtej. – Co ja wiem o charakterze tej kobiety? – myślał Julian. – Jedyne to: przed mą podróżą ja brałem ją za rękę, ona cofała ją, dziś ja usuwam rękę, ona ujmuje ją i ściska. Ładna sposobność odpłacenia jej wzgardy. Bóg wie, ilu miała kochanków! Wybrała mnie jedynie dla łatwości schadzek.

Oto, niestety, wynik nadmiernej cywilizacji. W dwudziestym roku dusza młodego człowieka, z odrobiną bodaj wykształcenia, odległa jest o tysiąc mil od owego zapału, bez którego miłość bywa jedynie najnudniejszym z obowiązków.

– Tym bardziej jesteś sobie winien – ciągnęła drobna próżność Juliana – zdobyć tę kobietę, iż jeśli kiedyś wypłyniesz i ktoś ci zarzuci podłą kondycję preceptora, będziesz mógł powiedzieć, że to miłość kazała ci przyjąć to miejsce.

Julian znów cofnął rękę, następnie ujął dłoń pani de Rênal i uściśnął ją. Gdy koło północy wracano do salonu, pani de Rênal szepnęła:

– Opuszcza pan nas, jedzie pan?

Julian odparł z westchnieniem:

– Muszę jechać, bo kocham panią bez pamięci; to grzech, i co za grzech dla młodego kleryka.

Pani de Rênal oparła się na jego ramieniu i pochyliła się tak, że uczuła na twarzy ciepło oddechu Juliana.

Noc spłynęła obojgu bardzo różnie. Pani de Rênal upajała się najgórnieszymi wzlotami wyobraźni. Zalotna młoda dziewczyna, przyzwyczajona za młodu do tych wzruszeń miłosnych, później, kiedy dojdzie do wieku prawdziwej namiętności, nie znajduje w niej uroku nowości. Pani de Rênal nie czytywała romansów; wszystkie odcienie szczęścia były dla niej nowe. Żadna smutna prawda nie mroziła jej, nawet widmo przyszłości. W rojeniach swych widziała się równie szczęśliwą za dziesięć lat jak w tej chwili. Myśl o cnocie i wierze małżeńskiej, tak dręcząca przed kilku dniami, próżno nastęrczała się jej duszy; oddalała ją jak natrętnego gościa. – Nigdy nie pozwolę Julianowi posunąć się dalej – myślała. – Będziemy żyć nadal tak, jak żyjemy od miesiąca. Będzie moim przyjacielem.



## XIV. ANGIELSKIE NOŻYCZKI

Szesnastoletnia dziewczyna miała  
różową pleć i używała rózu.  
P o l i d o r i

Propozycja Fouquégo zmaciła szczęście Juliana; nie mógł się zdobyć na postanowienie.

– Może mi brak charakteru; byłbym lichym żołnierzem Napoleona. Ba! stosuneczek z panią domu rozerwie mnie na chwilę.

Szczęściem dla niego, nawet w tym podrzędnym epizodzie wewnątrz jego niezupełnie było zgodne z zuchwalstwem słów. Onieśmiałą go ładna suknia pani de Rênal. Ta suknia była dlań niby awangarda Paryża. Duma jego nie chciała się w niczym poddać przypadkowi i chwili. W myśl zwierzeń Fouquégo oraz mętnych pojęć o miłości zaczerpniętych z Biblii ułożył bardzo szczegółowy plan kampanii. Ponieważ, nie przyznając się do tego przed sobą, był bardzo wzruszony, spisał sobie ów plan.

Nazajutrz rano spotkał się na chwilę z panią de Rênal w salonie.

– Czy pan nie ma innego imienia prócz Julian? – spytała.

Na to pochlebne zapytanie bohater nasz nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie przewidział tej okoliczności w swoim planie. Gdyby nie ten niemądry pomysł, aby s t w o r z y ć p l a n, żywy umysł Juliana znalazłby w tej niespodziance nową podniętę.

Odpowiedział niezdarnie; za chwilę wyrzucał sobie przesadnie swoje niezgrabstwo. Pani de Rênal przebaczyła je szybko. Widziała w nim rys uroczej naiwności, tego zaś właśnie brakło w jej oczach chłopcu, którego talenty tak podziwiano.

– Ten księżyk nie budzi we mnie zaufania – mówiła niekiedy pani Derville. – Robi wrażenie, że wciąż myśli i że działa jedynie z wyrachowania. To filut.

Julian poczuł się głęboko upokorzony, że nie umiał zręcznie odpowiedzieć pani de Rênal.

– Winien to jestem sobie, aby naprawić tę porażkę! – myślał. Jakoż chwytając chwilę, gdy przechodzili do drugiego pokoju, uważał za obowiązek pocałować ją.

Było to w równym stopniu nienaturalne, niesmaczne i nieostrożne zarówno dla niej, jak i dla niego. Omal że ich nie spostrzeżono. Pani de Rênal myślała, że Julian oszalał. Przeraziło ją to, a zwłaszcza zraziło. Osielstwo to przypomniało jej pana Valenod.

– Cóż by było – pomyślała – gdybym się z nim znalazła sam na sam!

Wszystkie skrupuły cnoty wróciły, ponieważ miłość pierzchła na chwilę. Odtąd pani de Rênal starała się, aby któreś z dzieci zawsze było przy niej.

Dzień upłynął Julianowi mdło; najniezgrabniej silił się przeprowadzić uwodzicielskie plany. Każde spojrzenie jego na panią de Rênal miało swoje znaczenie; mimo to – czuł, że nie udaje mu się być ani miłym, ani tym bardziej niebezpiecznym.

Pani de Rênal zdumiona była tym skojarzeniem niezręczności i zuchwalstwa.

– To nieśmiałość serca przy genialnym umyśle! – rzekła sobie wreszcie z niewysłowioną radością. – Byłoby możliwe, że ona, moja rywalka, nigdy go nie kochała!

Po śniadaniu pani de Rênal przeszła do salonu, aby przyjąć podprefekta Bray, pana Charcot de Maugiron. Haftowała coś na wysoko umieszczonych krosienkach; pani Derville siedziała obok. W tej pozycji, w biały dzień, bohater nasz uznał za stosowne wysunąć but i przycisnąć ładną nóżkę pani de Rênal, której ażurowa pończocha i paryski trzewiczek ściągały chciwe spojrzenia dwornego podprefekta.

Pani de Rênal złękła się straszliwie, upuściła nożyczki, kłębek, igły; gest Juliana mógł uchodzić za niezręczną chęć złapania nożyczek. Szczęściem małe angielskie nożyczki zła mały się; pani de Rênal zaczęła ubolewać, że Julian się nie znalazł bliżej. – Spostrzegł pan, że leca, byłby je pan schwycił, gdy tak gorliwość pańska zdała się tylko na to, że mnie pan pokopał. – Wszystko to oszukało podprefekta, ale nie panią Derville. – Ładny chłopiec, ale straszny cham – pomyślała: etykieta prowincjonalna nie przebacza tego rodzaju błędów. Pani de Rênal znalazła chwilę, aby szepnąć Julianowi:

– Proszę być ostrożniejszym, rozkazuję panu!

Julian czuł swoje niezgrabstwo i był wściekły. Długo zastanawiał się, czy ma się obrazić o to: r o z k a z u j ę p a n u. Głuptas rozumował tak: – Mogłaby mi powiedzieć r o z k a z u j ę, gdyby chodziło o wychowanie dzieci, ale odwzajemniając miłość stawia się ze mną na stopie równości. Nie można kochać bez równości...

Tu zapuścił się myślą w komunały o równości. Podrażniony, powtarzał sobie wiersz Corneille'a, który usłyszał parę dni wprzód w ustach pani Derville:

Nie! równości nie szuka miłość, lecz ją stwarza.

Julian siląc się odgrywać Don Juana, mimo że nie miał pojęcia, co to kobieta, zachowywał się cały dzień jak skończony głupiec. Jedną miał tylko szczęśliwą myśl. Znudzony sobą i panią de Rênal, patrzył z lękiem na zbliżanie się wieczoru, kiedy znajdzie się w ogrodzie obok niej i po ciemku. Oświadczył panu de Rênal, że idzie do proboszcza; wyszedł po obiedzie i wrócił aż w nocy.

W Verrières zastał księdza proboszcza Chélan zajętego przenosinami; usunięto go ostatecznie, miejsce jego obejmował wikary Maslon. Julian pomógł zacnemu staruszkowi, po czym wpadł na myśl, aby napisać do Fouquégo. Pisał, iż nieprzewyciężona wokacja służby bożej nie pozwoliła mu przyjąć jego przyjacielskiej ofiary; obecnie jednak, patrząc na jaskrawy przykład niesprawiedliwości, zastanawia się, czy nie będzie korzystniej dla jego zbawienia wyrzec się myśli o stanie duchownym.

Dumny był, że tak sprytnie wyzyskał usunięcie proboszcza, aby sobie zostawić furtkę i wrócić do handlu, o ile w duszy jego mizerna trzeźwość odniesie zwycięstwo nad heroizmem.

## XV. PIANIE KOGUTA

Amour en latin faict amor;  
Or donc provient d'amour la mort,  
Et, par avant, soulcy qui mord.  
Deuil, plours, pieges, forfaitz, remords...  
*Blason d'amour*

Gdyby Julian miał nieco tego sprytu, który sobie tak bezzasadnie przypisywał, byłby najzwyklej dumny z rezultatu swej wycieczki do Verrières. Nieobecność zatarła pamięć jego niezgrabstwa. Cały dzień dąsał się znowu; wieczór zaś strzeliła mu do głowy niedorzeczna myśl, której udzielił pani de Rênal z rzadkim zuchwalstwem.

Ledwie usiedli w ogrodzie, Julian nie czekając, aż się dostatecznie ściemni, zbliżył usta do ucha pani de Rênal i narażając ją straszliwie, rzekł:

– Dziś w nocy o drugiej przyjdę do pani pokoju, mam pani coś do powiedzenia.

Drżał z pragnienia, aby się nie zgodziła; rola uwodziciela ciążyła mu niezmiernie. Chętnie schowałby się na kilka dni, nie pokazując się paniom na oczy. Rozumiał, iż swą uczoną taktyką wczorajszą zniweczył wszystkie piękne pozory z poprzedniego dnia, i doprawdy nie wiedział, z której beczki zacząć.

Pani de Rênal przyjęła tę bezczelną propozycję ze szczerym, wcale nie przesadnym oburzeniem. Julian dopatrzył się wzgardy w jej krótkiej odpowiedzi wyrzeczonej szeptem. Pod pozorem zajrzenia do dzieci wyszedł, za powrotem zaś usiadł koło pani Derville, z dala od pani de Rênal, pozbawiając się możliwości ujęcia jej za rękę. Rozmowa weszła na tory poważne; Julian podtrzymywał ją z powodzeniem, poza paru chwilami milczenia, przez które łamał sobie głowę. – Gdybyż wynaleźć jaki sposób – dumał – aby wymusić na pani de Rênal owe niedwuznaczne objawy czułości, które pozwalały wierzyć trzy dni temu, że jest moją!

Fatalna sytuacja, jaką sam wytworzył, nękała Juliana, ale powodzenie wprawiloby go w jeszcze większy kłopot.

Zostawszy sam o północy, ogarnięty pesymizmem, rozmyślał na ten temat, że pani Derville nim gardzi, przyjaciółka jej zaś też nie lepsze żywi dlań uczucia.

Upokorzony, wściekły, nie mógł zasnąć. Przez myśl mu nie przeszło poniechać wszelkiego udania, taktyki, i ot, żyć z dnia na dzień przy pani de Rênal, zadowolając się jak dziecko szczęściem każdego dnia. Wysilał mózg obmyślaniami uczonych manewrów, które w chwilę

potem zdawały mu się niedorzeczne; był, jednym słowem, bardzo nieszczęśliwy, kiedy na zegarze zamkowym wybiła druga.

Dźwięk ten zbudził go, jak świętego Piotra pianie koguta. Uczuł się w obliczu najprzykrzejszej konieczności. Bezczelną jego propozycję przyjęto tak źle, że nie pomyślał o niej od tej chwili!

– Powiedziałem, że przyjdę o drugiej – rzekł wstając – mogę być nieokrzesany prostak, chłopski syn, jak mi dała do zrozumienia pani Derville, ale przynajmniej nie będę tchórzem.

Julian miał prawo szczić się swym męstwem: nigdy jeszcze nie zadał sobie sroższego przymusu. Otwierając drzwi drżał tak, że kolana ugięły się pod nim, musiał się oprzeć o ścianę.

Był bez trzewików. Zatrzymał się pod drzwiami pana de Rênal, usłyszał regularne chrapanie. Rozpacz! Nie miał już pozorów, aby nie iść. Boże! Co on tam pocznie? Nie miał planu, a gdyby nawet miał, był tak wzruszony, że nie byłby zdolny go wykonać.

Wreszcie, z uczuciem gorszym sto razy, niż gdyby szedł na śmierć, zapuścił się w korytarzyk wiodący do sypialni pani de Rênal. Otworzył drzwi drżącą ręką, czyniąc straszliwy hałas.

W pokoju było światło: lampa nocna stała na kominku. Nie spodziewał się tego nowego nieszczęścia. Na jego widok pani de Rênal zerwała się. – Nieszczęśliwy! – krzyknęła. Nocny jej strój był w nieładzie. Julian zapomniał o swoich czczych planach i wrócił do naturalnych uczuć – niełaska tej uroczej kobiety wydała mu się największym nieszczęściem. Na jej wymówki upadł jej po prostu do nóg, ścisnął jej kolana. Przemawiała doń bardzo surowo, rozplakał się.

Kiedy w parę godzin później Julian wychodził od pani de Rênal, można powiedzieć stylem romansów, że nie zostawało mu nic do życzenia. Zwycięstwo, do którego nie doprowadziłyby go cała niezręczna przemyślność, zawdzięczał miłości pani de Rênal oraz nieprzewidzianemu wrażeniu, jakie na nim zrobiły jej uroki.

Ale w najśłodszych chwilach, party jakąś dziwą ambicją, jeszcze silił się odgrywać rolę zdobywcy kobiet – dokładał niesłychanych wysiłków, aby niszczyć swój naturalny wdzięk. Zamiast chłonać uniesienia kochanki, wyrzuty, które podnosiły ich żywość, on nie tracił ani na chwilę myśli o obowiązku. Lękał się straszliwej zgryzoty i wiekuistej śmieszności, gdyby się odchylił od idealnego wzoru, jaki sobie założył. Słowem, to właśnie, co stanowiło niepolitość Juliana, broniło mu kosztować szczęścia ścielącego mu się pod stopy. Był niby szesnastoletnia dziewczyna, która ma rumieńce, a która idąc na bal szpeci sobie policzki różem.

Śmiertelnie przerażona zjawieniem się Juliana pani de Rênal stała się niebawem pastwą okrutniejszych wzruszeń. Płacze i rozpacz Juliana wnosily głęboki zamęt w jej duszę.

Nawet kiedy już wszystko się stało, odpychała Juliana ze szczerym oburzeniem, następnie zaś rzucała się w jego ramiona. Nie było w tym żadnego planu ani zamiaru. Uważała się za potępioną bez ratunku i siliła się przesłonić sobie obraz piekła, obsypując Juliana pieścizotami. Słowem, niczego by nie brakło do szczęścia naszego bohatera, nawet palących wzruszeń posiadanej kobiety, gdyby umiał sycić się tym szczęściem. Odejście Juliana nie położyło kresu wzruszeniom, walkom i wyrzutom pani de Rênal.

– Mój Boże! Być szczęśliwym, być kochanym, więc to tylko to? – to była pierwsza myśl Juliana, skoro wrócił do swojego pokoju. Ogarnął go stan owego osłupienia oraz dziwnego zamętu, w jaki popada dusza, skoro otrzyma to, czego dawno pragnęła. Przywykła pragnąć, nie ma już czego pragnąć, a nie ma jeszcze wspomnień. Jak żołnierz po powrocie z rewii, Julian z uwagą przechodził szczegóły swego postępowania: – Czy nie uchybiłem w czym samemu sobie? Czy dobrze grałem rolę?

I jaką rolę! Człowieka nawykłego do popisów niezrównanego kochanka.

## XVI. NAZAJUTRZ

He turn'd his lip to hers, and with his hand  
Call'd back the tangles of her wandering hair.  
*Don Juan, I, 170*

Szczęściem dla Juliana pani de Rênal była zbyt wzruszona i nieprzytomna, aby spostrzec śmieszności człowieka, który w ciągu jednej nocy stał się dla niej całym światem.

Nakłaniała go, aby wyszedł, widząc, że świta.

– Och, Boże – mówiła – jeśli mąż słyszał hałas, jestem zgubiona!

Julian, który w wolnych chwilach obmyślał frazesy, przypomniał sobie taki:

– Żałowałabyś życia?

– Och, bardzo w tej chwili! Ale nie żałowałabym, żem ciebie poznała.

Julian uważał za obowiązek swej godności wrócić umyślnie w jasny dzień i bez zachowania ostrożności.

Bacność, z jaką nieustannie obliczał najdrobniejsze uczynki w tej niedorzecznej myśli, aby uchodzić za doświadczonego człowieka, miała tylko jedną korzyść: skoro się spotkał z panią de Rênal przy śniadaniu, zachowanie jego było arcydziełem roztropności.

Ona rumieniała się po białka za każdym spojrzeniem, a nie mogła wytrwać ani chwili, aby nań nie patrzeć; czuła swe pomieszenie, a siląc się je ukryć, mieszała się tym bardziej. Julian raz tylko podniósł na nią oczy. Zrazu pani de Rênal zachwycona była tą ostrożnością, niebawem jednak widząc, że to spojrzenie nie powtarza się, uczuła lęk: – Czyżby mnie już nie kochał? – myślała. – Ach, niestety, za stara jestem dla niego, starsza o dziesięć lat!

Przechodząc z pokoju jadalnego do ogrodu, ścisnęła go za rękę. Zdumiony tym niezwykłym objawem uczucia, spojrzał na nią namiętnie; przy śniadaniu wydała mu się bardzo ładna; mimo że miał spuszczone oczy, cały czas rozbierał w myśli jej wdzięki. Spojrzenie to pocieszyło panią de Rênal; nie stłumiło wszystkich niepokojów, ale w zamian niepokoje te tłumiły zupełnie wyrzuty i myśli o mężu.

Przy śniadaniu mąż nie zauważył nic; pani Derville przeciwnie; ale sądziła, że pani de Rênal jest dopiero nad przepaścią. Przez cały dzień śmiała i energiczna przyjaciółka starała się za pomocą wymownych aluzji malować w okropnych barwach grożące niebezpieczeństwo.

Pani de Rênal płonęła niecierpliwością, aby zostać sama z Julianem; chciała go spytać, czy kocha ją jeszcze. Mimo niezmaconej słodczy charakteru kilka razy omal nie dała uczuć przyjaciółce, jak bardzo jest natrętna.

Wieczorem w ogrodzie pani Derville postarała się usiąść między panią de Rênal a Julianem. Pani de Rênal, która napawała się w myślach rozkoszą ściskania ręki Juliana i tulenia jej do ust, nie mogła się doń nawet odezwać.

Ta przeszkoda wzmożyła jej niepokój, dręczyła ją jedna zgryzota. Tak ostro połajęła Juliana za nieostrożność, jaką popełnił przychodząc do niej poprzedniej nocy, że drżała, iż tej nocy nie przyjdzie. Wcześniej opuściła ogród i poszła czekać na niego w pokoju. Ale nie mogąc opanować niecierpliwości zakradła się pod drzwi Juliana i przyłożyła do nich ucho. Mimo obawy i namiętności, które ją pożerały, nie śmiała wejść: to wydawało się jej zbyt szpetne.

Służba jeszcze nie spała; ostrożność zmusiła wreszcie panią de Rênal do odwrotu. Dwie godziny oczekiwania zdały się jej dwoma wiekami męczarni.

Ale Julian nadto był wierny temu, co nazywał o b o w i ą z k i e m, aby uczynić wyłom w swoim programie. Z uderzeniem pierwszej wysunął się cicho z pokoju, upewnił się, że pan domu śpi, i zjawił się u pani de Rênal. Tego dnia znalazł więcej szczęścia w objęciach kochanki; nie myślał tak ustawicznie o przepisanej roli. Miał oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu. Lamenty pani de Rênal nad jej wiekiem dodały mu nieco pewności.

– Ach, jestem o dziesięć lat starsza od ciebie! Jak możesz mnie kochać?! – powtarzała z całą szczerością, mocując się ustawicznie z tą myślą.

Julian nie pojmował tej troski, ale widział, że jest szczerą, i zbył się prawie zupełnie obawy śmieszności. Niedorzeczna myśl, że jego urodzenie może go poniżyć w oczach tej kobiety, pierzchła również. Uspokojona nieco pieścizotami Juliana, nieśmiała pani de Rênal czuła się lepiej, zarazem odzyskiwała zdolność sądzenia kochanka. Szczęściem tego dnia nie miał zupełnie owej pozy, która sprawiła, że we wczorajszej schadzce znalazł więcej triumfu niż przyjemności. Gdyby spostrzegła w nim grę, smutne to odkrycie zabiłoby w niej na zawsze szczęście. Dopatrzyłaby się w tym tylko smutnych objawów różnicy wieku.

Pani de Rênal nie zastanawiała się nigdy nad teoriami miłości; ale różnica wieku jest, po różnicy majątkowej, najulubieńszym tematem prowincjonalnych konceptów za każdym razem, kiedy jest mowa o miłości.

W krótkim czasie Julian, odzyskawszy cały zapal młodości, zakochał się bez pamięci.

– Trzeba przyznać – myślał – że jest anielsko dobra i śliczna przy tym.

Zapomniał prawie zupełnie o wszelkich rolach. W chwili wylania wyznał jej nawet swoje lęki. Zwierzenie to przepełniło miarę miłości pani de Rênal. – Nie miałam tedy szczęśliwej rywalki – powtarzała sobie z rozkoszą. Odważyła się spytać o portret, do którego przywiązywał taką wagę – Julian przysiągł, że to był portret mężczyzny.

Kiedy pani de Rênal była nieco przytomniejsza i zdolna do zastanawiania się, nie mogła się nadziwić, że takie szczęście istnieje i że nie przeczuwała go nawet.

– Ach – mówiła sobie – gdybym znała Juliana przed dziesięciu laty, kiedy mogłam uchodzić za ładną!

Julian obcy był podobnym myślom. Miłość jego była w znacznej części ambicją; była to radość, że on, nieszczęśliwy, wzgardzony, posiada kobietę tak piękną. Jego uwielbienia, szły na widok powabów kochanki uspokoiły ją w końcu co do różnicy wieku. Gdyby pani de Rênal znała życie, jak je zna kobieta trzydziestoletnia w bardziej cywilizowanych krajach, zadrdzałaby o trwałość uczucia, które podtrzymywała jedynie ciekawość i upojenie miłości własnej.

W momentach zapomnienia o ambicji Julian podziwiał z zapalem nawet kapelusze, nawet suknie pani de Rênal. Nie mógł się nasycić ich zapachem; otwierał szafę i godziny całe podziwiał piękność i ład jej wnętrza. Pani de Rênal, wsparta na nim, patrzyła nań – on patrzył na klejnoty, szmatki, które w wilię zameścia wypełniały koszyk weselny.

– Mogłam być wyjątkiem za takiego człowieka! – myślała niekiedy pani de Rênal. – Cóż za płomienna dusza! Cóż za cudowne życie przy nim!

Julian nigdy nie widział z bliska tych straszliwych przyrządów artylerii kobiecej. – Niepodobna – myślał – aby mogło w Paryżu istnieć coś ładniejszego! Wówczas szczęście jego zdawało mu się bez zarzutu. Często szczerzy podziw i upojenia kochanki pozwalały mu zapomnieć o czcnych teoriach, pod wpływem których był tak sztywny, tak śmieszny niemal w pierwszym okresie. Czasami mimo nałogu obłudy znajdował przyjemność w tym, aby tej wielkiej damie, która go podziwiała, wyznać swą nieświadomość mnóstwa drobnych zwyczajów. Stanowisko kochanki podnosiło go. Pani de Rênal znajdowała znowuż słodycz w tym, aby w zakresie tych drobiazgów oświecać niepospolitego chłopca, któremu wszyscy wróżyli wspaniałą przyszłość. Nawet podprefekt i pan Valenod nie mogli się wstrzymać od podziwu dla Juliana, przez co wydawali się pani de Rênal mniej głupi. Pani Derville nie podzielała tych uczuć. Zrozpaczona tym, czego się domyślała, widząc, że głos rozsądku stał się wstrętny kobiecie, która dosłownie straciła głowę, opuściła Vergy bez wyjaśnień: nikt ich zresztą nie wymagał. Pani de Rênal uroniła parę łez, ale wkrótce uczuła zdwojoną pełnię szczęścia. Dzięki temu wyjazdowi była prawie cały dzień sam na sam z kochankiem.

Julian chętnie zanurzał się w tym słodkim obcowaniu, tym chętniej, że za każdym razem, kiedy został sam, trapiła go nieszczęsna propozycja Fouquégo.

W pierwszych dniach nowego życia chłopak ten, który nigdy jeszcze nie kochał i nie był kochany, znajdował taką rozkosz w szczerości, że omal nie wyznał pani de Rênal ambicji wypełniającej dotąd treść jego istnienia. Chętnie poradziłby się jej nawet co do dziwnej pokusy, jaką budziła w nim propozycja Fouquégo. Ale drobne wydarzenie uniemożliwiło mu wszelką szczerość.

## XVII. PAN WICEMER

O, how this spring of love resembleth  
The uncertain glory of an April day;  
Which now shows all the beauty of the sun,  
And by and by a cloud takes all away!  
*Two gentlemen of Verona*

Jednego wieczora, o zachodzie słońca, siedząc obok kochanki w sadzie, z dala od natrętów, Julian dumiał głęboko. – Czy wiecznie będą trwałe te słodkie chwile? – Duszę jego zaprzętała całkowicie trudność obrania kariery; bolał nad tą niedolą, która kładzie kres dzieciństwu i psuje pierwsze lata niezasobnej młodości.

– Ach – wykrzyknął – jakąż opatrnością dla młodzieży był Napoleon! Któż go zastąpi?! Co zrobią bez niego nieszczęśliwi, nawet bogatsi ode mnie, mający ledwie parę groszy na zdobycie wykształcenia, a nie dość, aby kupić sobie zastępcę w dwudziestym roku i rozpocząć jakąś drogę. Mimo wszystko – dodał z głębokim westchnieniem – to nieszczęsne wspomnienie zatruje nam na zawsze wszelkie szczęście!

Naraz ujrzał, że pani de Rênal marszczy brew; przybrała chłodny i wzdorczywy wyraz, pojęcia te wydawały się jej godne lokaja. Wychowana w poczuciu swego dostatku, uważała za rzecz naturalną, że i Julian go posiada. Kochała go tysiąc razy więcej niż życie, a nie dbała o pieniądze.

Julian nie mógł odgadnąć jej myśli. To zmarszczenie brwi sprowadziło go na ziemię. Był na tyle przytomny, aby się wycofać. Wytłumaczył szlachetnej pani, siedzącej obok na darniowej ławeczce, że powtarzał jedynie słowa, które usłyszał podczas podróży do swego przyjaciela, handlarza drzewa. Ot, majaczenie niedowiarków!

– Nie zadawaj się już z tymi ludźmi – rzekła pani de Rênal zachowując jeszcze odcień chłodu, który nagle ustąpił miejsca tkliwości.

To zmarszczenie brwi lub raczej wyrzut z powodu jego nieostrożności było pierwszym rozdarciem atmosfery złudzeń otaczającej Juliana. Rzekł sobie: – Jest dobra i słodka, jest do mnie szczerze przywiązana, ale wychowała się w nieprzyjacielskim obozie. Ba! oni nikogo się tak nie boją jak zuchów, którzy osiągnąwszy wykształcenie nie mają na tyle pieniędzy, aby się o coś zacześcić. Co by się stało z tymi jaśnie wielmożnymi, gdybyśmy mogli walczyć równą bronią! Ja na przykład, gdybym był merem, człowiekiem dobrej woli, uczciwym, jakim jest w gruncie pan de Rênal, jakbym ja sobie dał rady z wikarym, panem Valenod i



wszystkimi szelmostwami! Jaka sprawiedliwość zapanowałaby w Verrières! To nie są głowy, które by mi mogły stanąć w drodze. Co oni wiedzą? Ot, kręcą się po omacku.

Tego dnia Julian mógł osiąść trwale szczęście, ale nie umiał być szczery. Trzeba było zdobyć się na to, aby wydać bitwę, ale n a t y c h m i a s t. Panią de Rênal zdumiało odezwanie Juliana, ponieważ ludzie z t o w a r z y s t w a powtarzali, że zbytnie wykształcenie młodych proletariuszy to widmo powrotu Robespierre'a. Chłód pani de Rênal trwał dość długo i wydał się Julianowi rozmyślny. Było to stąd, że miejsce chwilowej niechęci spowodowanej jego odezwaniem zastąpił wyrzut, że czymś może uraziła Juliana. Troska ta odbiła się żywo w jej rysach, tak czystych i szczerych, kiedy się czuła szczęśliwa, z dala od natrętów.

Julian już nie śmiał marzyć swobodnie. Ochłonawszy nieco z szałów miłości, uznał, że nierozważnie jest odwiedzać panią de Rênal w jej pokoju. Lepiej, aby ona przychodziła do niego; gdyby ją kto spotkał, tysiąc pozorów mogło usprawiedliwić jej obecność na schodach.

Ale i ten system miał swoje niedogodności. Julian dostał od Fouquégo książki, których on, uczeń teologii, nigdy nie mógłby zażądać w księgarni. Ważył się zaglądać do nich jedynie w nocy. Często byłby bardzo rad, aby mu nie przerywały odwiedziny, których oczekiwanie, jeszcze w wilię sceny w sadzie, czyniłoby go niezdolnym do czytania.

Dzięki pani de Rênal rozumiał książki w zupełnie nowy sposób. Odważył się ją wypytywać o mnóstwo drobiazgów, których nieświadomość paraliżuje inteligencję młodego człowieka, urodzonego poza społeczeństwem, choćby najbardziej obdarzonego z natury.

To wychowanie m i ł o s n e, udzielone przez bardzo niewykształconą kobietę, było nader szczęśliwe. Julian ujrzał wprost społeczeństwo takie, jakim jest dzisiaj. Umysł jego nie zaćmił się opowiadaniem o tym, czym ono było niegdyś, przed dwoma tysiącami lat lub bodaj przed sześćdziesięciu laty, za czasu Woltera i Ludwika XV. Ku niewymownej radości Juliana zasłona spadła mu z oczu, zrozumiał wreszcie rzeczy, które się działy w Verrières.

Na pierwszym planie ukazały się bardzo zawile intrygi, osnute od dwu lat około prefekta z Besançon. Wechodziły w tę grę i listy z Paryża, kreślone przez najdostojniejsze dłonie. Szło o to, aby pana de Moirod, najpobożniejszego człowieka w okolicy, zrobić nie drugim, ale pierwszym wicemerem Verrières.

Rywalem jego był bogaty fabrykant, którego należało bezwarunkowo zepchnąć na stanowisko drugiego wicemera.

Julian rozumiał wreszcie półsłówka, które pochwyił, kiedy miejscowe grube ryby zjeżdżały się na obiad do pana de Rênal. To dostojne towarzystwo mocno zajmowało się ową kandydaturą, gdy reszta miasta, a zwłaszcza liberałowie, nawet nie podejrzewali jej możliwości. Wagi dodawała okoliczność, iż jak każdy wie, wschodnią stronę głównej ulicy Verrières miano cofnąć przeszło o dziesięć stóp, ponieważ droga ta stała się gościńcem królewskim. Otóż jeżeli panu de Moirod, który miał trzy domy podlegające tej ustawie, uda się zostać pierwszym wicemerem, a później merem, w razie gdyby pana de Rênal wybrano posłem, zamknąłby oczy i można by podjąć w domach wychodzących na gościniec niedostrzegalne naprawy, przy pomocy których przetrwałyby sto lat. Mimo znanej pobożności i uczciwości pana de Moirod nie ulegało wątpliwości, że będzie m o ż n a z n i m g a d a ć, miał bowiem dużo dzieci. Wśród domów przeznaczonych na zburzenie dziewięć należało do śmietanki Verrières.

W oczach Juliana intryga ta była donioślejsza niż bitwa pod Fontenoy, której nazwę przeczytał pierwszy raz w książkach Fouquégo. Wiele rzeczy zdumiewało Juliana już od pięciu lat, odkąd zaczął chodzić wieczorami do proboszcza. Ale ponieważ dyskrecja i pokora ducha są to główne przymioty adepta teologii, niepodobna mu było pytać o cokolwiek.

Jednego dnia pani de Rênal dała jakiś rozkaz lokajowi męża, owemu wrogowi Juliana.

– Ależ, proszę pani, to dziś ostatni piątek – odparł szczególnym tonem.

– Idź! – rzekła pani de Rênal.

– Więc cóż! – rzekł Julian – pójdzie do owego spichrza, który był dawniej kościołem i który teraz świeżo zwrócono religii, ale po co? To jedna z tajemnic, których nigdy nie zdołam przeniknąć.

– Jest to instytucja bardzo zbawienna, ale nader osobliwa – odparła pani de Rênal. – Kobiety nie mają tam wstępu! Tyle tylko wiem, że wszyscy się tam t y k a j ą. Nasz lokaj na przykład spotka tam pana Valenod; ten pyszałek, głupiec nie pogniewa się, skoro go nasz Jan zagadnie p e r t y; ba, sam odpowie w tym samym tonie. Jeśli ci zależy na tym, aby wiedzieć, co się tam dzieje, poproszę Maugirona i Valenoda o szczegóły. Płacimy po dwadzieścia franków od każdego służącego, iżby pewnego dnia nie wyrznęli nas.

Czas leciał. Urok kochanki odrywał Juliana od jego posepnej ambicji. Nie mógł z nią mówić o rzeczach smutnych i poważnych, skoro należeli do przeciwnych obozów; okoliczność ta pomnażała bezwiednie szczęście Juliana i wpływ pani de Rênal.

W chwilach gdy obecność zbyt inteligentnych dzieci kazała się im zamykać w granicach chłodnej i rozsądnej gawędy, Julian, bez cienia buntu, patrząc na nią oczami promieniejącymi uczuciem, słuchał jej wyjaśnień o tym, jak światek się toczy. Czasem wśród opowiadania o jakimś sprytnym oszustwie przy budowie drogi albo dostawie pani de Rênal traciła nagle głowę z tkliwości; Julian musiał ją łajać, pozwalała sobie z nim na te same poufałe gesty co z dziećmi. Bo też były dni, w których miała złudzenie, że kocha go jak własne dziecko. Czyż bez ustanku nie musiała odpowiadać na jego naiwne pytania w kwestiach, które dziecku d o b r z e u r o d z o n e m u wiadome są w piętnastym roku? W chwilę później podziwiała go jak swego mistrza. Polot jego przerażał ją; z każdym dniem wyraźniej widziała przyszłego wielkiego człowieka w tym młodym kleryku. Widziała go papieżem albo pierwszym ministrem jak Richelieu.

– Czy będę żyła dość długo, aby cię widzieć w twojej chwale? – mówiła do Juliana. – Jest miejsce dla wielkiego człowieka; tron, religia potrzebują go.

## XVIII. KRÓL W VERRIÈRES

Czy jesteście warci tylko tego, aby  
was odrzucić, niby trupa bez duszy i bez  
krwi w żyłach?  
Przemówienie biskupa  
w kaplicy świętego Klemensa

Trzeciego września o dziesiątej wieczór żandarm obudził całe Verrières galopując główną ulicą; przynosił wiadomość, że Jego Królewska Mość przybędzie w niedzielę. Było to we wtorek. Prefekt zezwalał, to znaczy nakazywał utworzenie straży honorowej, należało rozwinąć możliwą okazłość. Wyprawiono sztafetę do Vergy. Pan de Rênal przybył w nocy i zastał miasto w poruszeniu. Każdy się na coś silił; najobojętniejsi najmowali balkony, aby widzieć wjazd króla.

Kto będzie dowodził strażą honorową? Pan de Rênal spostrzegł natychmiast, jak ważne jest w interesie domów skazanych na zburzenie, aby godność ta przypadła panu de Moirod. To mogło mu utorować drogę do stanowiska wicemera. Nic nie można było nadmienić przeciw wysokiej nabożności pana de Moirod, nie dało jej się z niczym porównać, ale faktem jest, iż nigdy nie siedział na koniu. Był to człowiek trzydziestoletni, lękliwy, równie obawiający się spaść z konia, co ośmieszyć się.

Mer kazał go wezwać już o piątej rano.

– Widzi pan, drogi panie, zasięgam pańskiej rady, jak gdybyś już zajmował stanowisko, na które wszyscy przyzwoici ludzie pana sobie życzą. W tym nieszczęsnym mieście przemysł kwitnie, liberały dochodzą do milionów, sięgają po władzę, potrafią ukuć broń ze wszystkiego. Weźmy pod uwagę interes króla, monarchii, a przede wszystkim naszej świętej religii. Jak pan sądzi, komu powierzyć dowództwo straży?

Mimo strasznego lęku, jakim przejmował go koń, pan de Moirod przyjął w końcu ten zaszczyt jako męczeństwo.

– Potrafię godnie wywiązać się z zadania – rzekł.

Zaledwie był czas, aby odświeżyć uniformy, które zostały sprzed siedmiu lat, z okazji przejazdu jakiegoś księcia krwi.

O siódmej przybyła z Vergy pani de Rênal z Julianem i z dziećmi. W salonie zastała pełno żon liberałów, które głosiły zjednoczenie stronnictw i błagały o miejsce dla mężów w straży

honorowej. Jedna utrzymywała, że gdyby jej męża nie wybrano, zbankrutowałby z rozpacz. Pani de Rênal szybko pozbyła się wszystkich. Zdawała się czymś mocno zajęta.

Julian czuł się zdziwiony, a jeszcze bardziej dotknięty tym, że pani de Rênal nie chce mu zdradzić przyczyny roztargnienia. – Przewidywałem to – myślał z goryczą – miłość jej pierzchała wobec szczęścia podejmowania króla w swym domu. Cały ten zgiełk oszołomił ją. Wróci do mnie, skoro arystokratyczne fupy ustąpią jej z mózgu.

Rzecz osobliwa, kochał ją za to tym więcej.

Tapicerzy uwijali się po całym mieszkaniu; Julian na próżno czyhał na sposobność szepnięcia słówka do pani de Rênal. Wreszcie dopadł ją, kiedy wychodziła z pokoju niosąc jego ubranie. Byli sami; chciał coś mówić: uciekła nie słuchając.

– Głupi jestem, aby kochać podobną kobietę; ambicja uderzyła jej na mózg; oszalała jak jej mąż.

Tak, i więcej jeszcze: jednym z jej gorących pragnień (nigdy tego nie wyznała Julianowi, aby go nie urazić) była chęć ujrzenia go, bodaj przez dzień, inaczej niż w tym smutnym czarnym ubraniu. Ze zręcznością w istocie cudowną w tak naturalnej kobiecie uzyskała najpierw u pana de Moirod, później u podprefekta nominację Juliana do straży honorowej z pominięciem młodych ludzi, synów zamożnych fabrykantów, chłopców – dwóch przynajmniej – bardzo nabożnych. Pan Valenod, który zamierzał ofiarować swój powóz najpiękniejszym damom i oprowadzać w całym blasku swoje pyszne normandy, zgodził się oddać jednego konia od pary Julianowi, istocie, którą nienawidził najbardziej pod słońcem. Ale wszyscy gwardziści mieli, własne albo pożyczone, piękne niebieskie mundury ze srebrnymi epoletami, które błyszczały wspaniale przed siedmiu laty. Pani de Rênal chciała, aby Julian miał ubranie zupełnie nowe, a zostało ledwie cztery dni, aby posłać do Besançon i sprowadzić uniform, broń, kapelusz etc., słowem, wszystko, co tworzy honorowego gwardzistę. Zabawne jest, że pani de Rênal uważała za nieostrożność kazać robić ubranie Juliana w Verrières. Chciała go zaskoczyć, jego i całe miasto.

Dokonawszy dzieła gwardii honorowej oraz przygotowania n a s t r o j ó w, mer musiał się zająć ceremonią religijną; król nie chciał minąć Verrières nie odwiedzwszy słynnej relikwii świętego Klemensa, przechowywanej w Bray-le-Haut, o milkę od miasta. Pożądany był liczny udział duchowieństwa, z czego wynikły wielkie trudności. Ksiądz Maslon, nowy proboszcz, chciał za wszelką cenę uniknąć obecności księdza Chélan. Próżno pan de Rênal przedstawiał mu niebezpieczeństwo tego kroku. Margrabia de la Mole, którego przodkowie byli tak długo namiestnikami prowincji, towarzyszył królowi! Znał od trzydziestu lat księdza Chélan, spyta z pewnością o niego. Dowiedziawszy się o dymisji, gotów odwiedzić go z całym orszakiem w jego ustroniu. Cóż za policzek!

– Jeśli ten człowiek pojawi się wśród mojego duchowieństwa – odparł proboszcz – jestem zhańbiony, tu i w Besançon. Jansenista, wielki Boże.

– Gadaj, co chcesz, drogi proboszczu – mówił pan de Rênal – nie narażę rady miasta Verrières na policzek pana de la Mole. Nie znasz go, na dworze jest pełen namaszczenia, ale tu, na prowincji, jest to nielitościwy kpiarz, zartowniś, rad, kiedy może spłatać figla. Potrafiłby, ot, dla rozrywki, ośmieszyć nas w oczach liberałów.

Zaledwie w noc z soboty na niedzielę po trzydniowym zmaganiu się, ambicja księdza Maslon ugięła się wobec strachu mera przemienionego w odwagę. Trzeba było napisać słodki liścik do księdza Chélan z prośbą, aby zechciał wziąć udział w ceremonii, o ile podeszły wiek i niedomagania mu pozwolą. Ksiądz Chélan zażądał karty uczestnictwa dla Juliana, który miał mu towarzyszyć jako poddiakon.

W niedzielę od wczesnego rana tysiące mieszkańców, którzy ściągnęli z gór, zaległy ulice. Dzień był prześliczny. Wreszcie koło trzeciej w tłumie zapanował ruch; spostrzeżono wielki ogień na skale, o dwie mile od Verrières. Sygnał ten zwiastował, że król wkroczył w granice departamentu. Zaczęto bić w dzwony; salwy starej hiszpańskiej armaty należącej do miasta

również wyraziły radość z tego wydarzenia. Część ludności wdrapała się na dachy, wszystkie kobiety były na balkonach. Straż honorowa zaczęła się krzątać. Podziwiano świetne uniformy, każdy rozpoznawał krewnego, przyjaciela. Dworowano sobie z pana de Moirod, który ostrożnie, w każdej chwili gotów był chwycić się lęku u siodła. Ale jedno zjawisko przesłoniło wszystkie inne: pierwszy jeździec w dziewiątym szeregu, bardzo ładny, szczupły chłopiec, którego zrazu nie poznano. Niebawem okrzyk zgorzienia u jednych, milczące zdumienie u drugich dały wyraz powszechnemu wrażeniu. W młodym człowieku dosiadającym jednego z normandów pana Valenod poznano młodego Sorela, syna cieśli. Podniósł się jeden krzyk oburzenia na mera, zwłaszcza wśród liberałów. Jak to! Dlatego że ten podły robociarz przebrany za kleryka jest preceptorem jego smarkaczy, odważa się wypychać go w gwardię honorową z uszczerbkiem tego lub owego z bogatych fabrykantów?

– Ci panowie – mówiła bankierowa – powinni by zrobić jakiś afront temu smarkaczowi urodzonemu w błocie.

– Ba! kiedy urwis ma szablę – odpowiedział sąsiad – mógłby być na tyle niedelikatny i pokieraszować im gęby.

Uwagi wyższej sosjety były jeszcze jadowitsze. Damy pytały, czy ten gruby nietakt jest dziełem samego mera. Wzgarda jego dla ludzi niskiego pochodzenia była powszechnie znana i uznana.

Podczas gdy tyle języków strzepiło się na nim, Julian czuł się najszcześniejszym z ludzi. Śmiały z natury, trzymał się na koniu lepiej niż większość młodych tubylców górskiego miasteczka. W oczach kobiet czytał, że o nim mowa.

Epolety jego bardziej błyszcząły, ponieważ były nowe. Koń wspinał się co chwila; Julian był w upojeniu.

Szczęście jego nie miało granic, kiedy podczas defilady, w pobliżu starego szańca, huk armatni wypłoszył jego konia z szeregów. Istnym cudem nie spadł; od tej chwili uczuł się bohaterem – był oficerem ordynansowym Napoleona i szarżował baterie.

Jedna osoba była szczęśliwsza od niego. Najpierw widziała go z okna ratusza, jak przejeżdżał, następnie wsiadłszy do powozu i czyniąc szybko wielkie koło przybyła na czas, aby z drżeniem ujrzeć, jak koń unosi Juliana z szeregów. Wreszcie, puściwszy się galopem drugą bramą, zdołała dopaść drogi, którą król miał przebyć, i mogła jechać o dwadzieścia kroków za strażą w tumanach dostojnego kurzu. Dziesięć tysięcy chłopów krzychało: *N i e c h ż y j e k r ó l !* – gdy mer miał zaszczyt przemawiać do Jego Królewskiej Mości. W godzinę później, kiedy wysłuchawszy przemówień król miał jechać dalej do miasta, armatka zaczęła walić w przyspieszonym tempie. Ale zdarzył się wypadek: nie kanonierom, którzy przeszli szkołę pod Lipskiem i pod Montmirail, ale przyszłemu wicemerowi, panu de Moirod. Koń złożył go miękko w jedynej kałuży, która się znajdowała na gościńcu, co spowodowało zamęt, ponieważ trzeba go było wyciągnąć, aby powóz mógł przejechać.

Jego Królewska Mość wysiadł pod pięknym, nowym kościołem, który tego dnia przybrany był bogato karmazynowym sukniem. Król miał spożyć obiad, a zaraz potem wsiąść z powrotem do powozu, aby odwiedzić czcigodną relikwię świętego Klemensa. Zaledwie król wszedł do kościoła, Julian puścił się z powrotem do domu. Tam złożył z westchnieniem błękitny mundur, szablę, epolety, aby przywdziać czarne wyświechtane ubranko. Wsiadł z powrotem na konia i w kilka chwil znalazł się w Bray-le-Haut, na szczycie malowniczego wzgórza.

– Zapał mnoży tych chłopków – pomyślał. – W Verrières nie można się poruszać, a tu, dookoła tego starożytnego opactwa, jest ich przeszło dziesięć tysięcy.

Kościół, wpółzrujnowany przez wandalizm rewolucji, odbudowano z nastaniem Restauracji wspaniale i zaczynano bąkać o cudach. Julian odszukał księdza Chélan, który połajał go ostro i dał mu sutannę i komżę. Ubrał się spiesźnie i obaj z księdzem Chélan poszli do młodego biskupa z Agde. Był to siostrzeniec pana de la Mole, świeżo mianowany. On miał pokazać relikwie królowi. Ale niepodobna było odnaleźć biskupa.

Księża niecierpliwili się. Oczekiwali zwierzchnika w posepnym gotyckim klasztorze starego opactwa. Ściągnięto dwudziestu czterech proboszczów, iżby reprezentowali dawną kapitułę Bray-le-Haut, składającą się przed 1789 z dwudziestu czterech kanoników. Nabładawszy się trzy kwadransy nad młodością biskupa, księża uchwalili, aby ksiądz dziekan udał się do Jego Dostojności uprzedzić, że król przybędzie lada chwila i że czas byłby przejść na chór. Dziekanem był ksiądz Chélan, dla swego podeszłego wieku. Mimo iż nierad z Juliana, dał mu znak, aby się udał za nim. Julian nosił bardzo godnie swoją komżę. Za pomocą jakichś tajemnic eklezjastycznej toalety uczesał bujne faliste pukle zupełnie gładko; ale przez zapomnienie, które zdwoiło gniew księdza Chélan, pod fałdami sutanny można było dostrzec ostrogi gwardzisty.

U wejścia do apartamentów biskupa świetni lokaje, suto szamerowani złotem, ledwie raczyli odpowiedzieć staremu księdzu, że Jego Dostojność nie przyjmuje w tej chwili. Wyśmiano go, kiedy przedkładał, iż w charakterze dziekana szlachetnej kapituły Bray-le-Haut ma o każdej porze przywilej wstępu do celebrującego biskupa.

Zuchwalstwo lokajów oburzyło ambitnego Juliana. Przebiegł korytarze starego opactwa próbując wszystkich drzwi, które napotkał. Jedne drzwiczki ustąpiły pod jego dłonią – Julian znalazł się w celi wśród pokojowców Jego Dostojności, czarno przybranych, z łańcuchami na szyi. Z pośpiechu Juliana sądzili, że przybywa na wezwanie biskupa, i pozwolili mu przejść. Postąpił kilka kroków i znalazł się w wielkiej gotyckiej sali, bardzo ciemnej i wyłożonej czarnym dębem; z wyjątkiem jednego, okna sklepienie w łuk były zamurowane. Nagie cegły niczym nie osłonięte stanowiły smutny kontrast ze starożytnym przepychem boazerii. Wzdłuż dwóch ścian tej sali, słynnej wśród burgundzkich antykwariuszy, a zbudowanej około 1470 przez Karola Śmiałego dla odpokutowania jakiegoś grzechu, ciągnęły się bogato zdobione drewniane stalle. Wyobrażone tam były w mozaice z różnokolorowego drzewa tajemnice Apokalipsy.

Ta melancholijna wspaniałość, oszpecona widokiem nagich cegieł i świeżego tynku, wzruszyła Juliana. Zatrzymał się w milczeniu. W drugim końcu sali, koło jedyne go okna, przez które wnikało światło, ujrzał ruchome zwierciadło oprawne w mahoń. Młody człowiek w fioletowej sukni, w koronkowej komży, z gołą głową stał przed lustrem. Sprzęt ten wydawał się dziwny w tym miejscu; przywieziono go zapewne z miasta. Julian zauważył, że młody człowiek ma minę poirytowaną; prawą ręką rozdawał poważne błogosławieństwa w stronę lustra.

– Co to może znaczyć? – pomyślał. – Czy ten młody księżyk dopełnia jakiej wstępnej ceremonii? To może sekretarz biskupa... Będzie niegrzeczny jak ci lokaje... Ano cóż, mniejsza! próbujemy.

Ruszył naprzód i przebył dość wolno całą długość sali, wciąż z oczami zwróconymi w stronę jedyne go okna, gdzie młody człowiek uroczystym gestem bez przerwy rozdawał tysiączne błogosławieństwa.

W miarę jak się zbliżał, mógł tym wyraźniej oglądać zagniewaną minę młodego księżyka. Na widok bogatej koronkowej komży zatrzymał się mimo woli o kilka kroków od wspaniałego zwierciadła.

– Obowiązkiem moim jest zagadać doń – rzekł sobie wreszcie, ale piękność sali onieśmiewiła go; przy tym z góry już czuł się przykro dotknięty opryskliwością, jakiej się spodziewał.

Młody człowiek, spostrzegłszy Juliana w lustrze, odwrócił się i wypogadzając twarz rzekł łagodnie:

– I cóż, drogi panie, gotowe wreszcie?

Julian zdumiał się. W chwili gdy młody człowiek się odwrócił, Julian ujrzał krzyż na jego piersiach: był to biskup z Agde.

– Taki młody – pomyślał Julian – najwyżej sześć lub siedem lat starszy ode mnie!...

I zawstydził się swoich ostróg.

– Wasza Dostojność – odparł nieśmiało – przychodzę z polecenia dziekana kapituły, księdza Chélan.

– A tak! Bardzo gorąco mi go rekomendowano – rzekł biskup grzecznym tonem, który podwoił zachwyty Juliana. – Przepraszam bardzo, myślałem, że pan mi przynosi infułę. Źle mi ją zapakowano w Paryżu, srebrna lama uszkodziła się mocno u wierchołka, to będzie fatalnie wyglądało – dodał młody biskup smutnie – i jeszcze tak mi każą czekać.

– Jeśli Wasza Dostojność pozwoli, przyniosę infułę.

Piękne oczy Juliana zrobiły swoje.

– Proszę bardzo – odparł biskup z czarującą grzecznością – muszę ją mieć natychmiast. Przykro mi bardzo, że kapituła czeka.

W połowie sali Julian odwrócił się i spostrzegł, że biskup znowu się zabrał do rozdzielania błogosławieństw.

– Co to być może? – myślał. – To z pewnością jakieś duchowne przygotowanie do ceremonii.

Wszedłszy do celi, w której siedzieli lokaje, ujrzał infułę w ich rękach. Ulegając bezwiednie rozkazującemu spojrzeniu Juliana powierzyli mu infułę Jego Dostojności.

Czuł się dumny, że ją niesie; szedł powoli, trzymał infułę z szacunkiem. Biskup siedział przed lustrem, ale od czasu do czasu prawa jego ręka, mimo iż znużona, udzielała błogosławieństwa. Julian pomógł mu włożyć infułę. Biskup potrząsnął głową.

– Będzie się trzymać – rzekł z zadowoleniem. – Zechce pan oddalić się nieco?

Biskup przeszedł szybko na środek, po czym, zbliżając się wolno do lustra, przybrał znowu strokaną minę i zaczął poważnie rozdelać błogosławieństwa.

Julian osłupiał i próbował zrozumieć, ale nie śmiał. Biskup zatrzymał się i spoglądając na chłopca z miną, która straciła nagle uroczysty wyraz, rzekł:

– Co pan powie o infule, dobrze siedzi?

– Bardzo dobrze, Wasza Dostojność.

– Nie zanadto w tył? To by wyglądało trochę głupkowato, ale znowu nie można jej nasuwać na oczy, jak czako oficerskie.

– Zdaje mi się, że jest bardzo dobrze.

– Król przywykł widywać duchowieństwo czcigodne i zapewne bardzo poważne. Nie chciałbym, zwłaszcza z przyczyny mego wieku, wyglądać zbyt płócho.

I biskup zaczął się na nowo przechadzać rozdając błogosławieństwa.

– To jasne – rzekł sobie Julian ośmielając się wreszcie zrozumieć – ćwiczy się w błogosławieństwach.

Po paru chwilach biskup rzekł:

– Jestem gotów. Niech pan zechce uprzedzić księdza dziekana i kapitułę.

Niebawem ksiądz Chélan w towarzystwie dwóch najstarszych księży wszedł przez wspaniałe rzeźbione drzwi, których Julian nie zauważył. Ale tym razem trzymał się na swoim miejscu, ostatni ze wszystkich, i mógł oglądać biskupa jedynie poprzez ramiona księży, którzy cisnęli się tłumnie.

Biskup przeszedł z wolna salę; skoro stanął w progu, księża ustawili się procesjonalnie. Po krótkim zamieszaniu procesja ruszyła intonując psalm. Biskup kroczył ostatni między księdzem Chélan a drugim proboszczem starowiną. Julian wśliznął się w pobliże Jego Dostojności jako przydzielony księdzu Chélan. Posuwali się długimi korytarzami, które mimo jarzącego słońca były ciemne i wilgotne. Wreszcie dotarli do przedsionka klasztoru. Julian olśniony był wspaniałością obrzędu. Ambicja rozbudzona młodym wiekiem biskupa, łagodność i doskonała grzeczność tego prałata wniosły zamęt w jego serce. Jakże odbijała ta grzeczność od grzeczności pana de Rénal, nawet gdy się starał być uprzejmy!

– Im wyżej ku szczytom – myślał Julian – tym wyborniejszy wdzięk się spotyka.

Procesja weszła do kościoła bocznymi drzwiami. Naraz straszliwy huk wstrząsnął starożytnym sklepieniem; Julian myślał, że mury się walą. Była to znowu armatka, przywieziona przez osiem koni w galopie, przybyła w tej chwili. W mig ustawiona i narządzona przez kanonierów spod Lipska, waliła pięć razy na minutę, jak gdyby do Prusaków.

Ale ten wspaniały huk nie robił wrażenia na Julianie, nie myślał już o Napoleonie i o sławie wojskowej.

– Tak młody – myślał – już biskup w Agde! Ale gdzie jest to Agde? Ile to przynosi? Dwieście, trzysta tysięcy franków?

Lokaje Jego Dostojności zjawili się ze wspaniałym baldachimem; ksiądz Chélan ujął jeden drążek, w istocie jednak dźwigał go Julian. Biskup zajął miejsce pod sklepieniem. Osiągnął to, że wyglądał niemal sędziwie: Julian patrzył nań z bezgranicznym podziwem.

– Czegóż nie można dokazać przy zrzeczności! – myślał.

Wszedł król. Julian miał to szczęście, że widział go z bardzo bliska. Biskup przemówił z namaszczeniem, podkreślając starannie lekki odcień zmieszania, bardzo pochlebny dla Jego Królewskiej Mości. Nie będziemy powtarzali opisu ceremonii; dwa tygodnie wypełniały szpalty miejscowych dzienników. Z przemowy biskupa Julian dowiedział się, że król pochodzi od Karola Śmiałego.

Później przypadła Julianowi funkcja sprawdzenia rachunków uroczystości. Pan de la Mole, który uzyskał dla siostrzeńca infułę, wziął przez dworność wobec niego wszystkie koszta na siebie. Sama ceremonia w Bray-le-Haut kosztowała trzy tysiące osiemset franków.

Po przemowie biskupa i odpowiedzi króla monarcha zajął miejsce pod baldachimem, następnie zaś ukląkł pobożnie na poduszce koło ołtarza. Prezbiterium otaczały stalle, które wznosiły się o dwa stopnie nad posadzką. Julian usiadł na najniższym stopniu u nóg księdza Chélan niby paż u stóp kardynała w Kaplicy Sykstyńskiej. Nastąpiło *Te Deum*, fale kadzidła, niezliczone salwy z muskietów i armat; wieśniacy byli pijani ze szczęścia i pobożności. Taki dzień niweczy pracę stu numerów gazet jakobińskich.

Julian był o kilka kroków od króla, który w istocie utonął w modlitwie. Był to człowiek średniego wzrostu, o rozumnym spojrzeniu, ubrany skromnie, prawie bez haftów. Na tym prostym stroju widniała niebieska wstęga wysokiego orderu. Natomiast panowie ze świty mieli ubrania tak zahaftowane złotem, że, jak mówił Julian, nie było widać materii. Jeden z nich, jak się dowiedział w chwilę później, był to margrabia de la Mole. Na oko wydał się dumny, nawet wzgardliwy.

– Margrabia nie byłby tak grzeczny jak ów śliczny biskupek – myślał. – O tak, stan duchowny daje rozum i słodycz. Ale król przybył, aby oglądać relikwie, a ja tu żadnej relikwii nie widzę. Gdzie może być święty Klemens?

Młody kleryk stojący obok objaśnił go, że czcigodna relikwia znajduje się na górze, w g o r e j ą c e j k a p l i c y.

– Co to jest gorejąca kaplica? – pomyślał Julian.

Ale nie chciał pytać i patrzył ze zdwojoną uwagą.

W razie odwiedzin panującego etykieta nie pozwalała, aby kanonicy towarzyszyli biskupowi. Ale ruszając w pochód do g o r e j ą c e j k a p l i c y biskup skinął na księdza Chélan, Julian ośmielił się iść za nim.

Przebywszy długie schody dotarli do małych, ale wspaniale wyłożonych drzwiczek; wyglądały na to, że przepych ich datuje się ledwie od wczoraj. Przed drzwiami klęczało dwadzieścia cztery dziewcząt, z najprzedniejszych rodzin w Verrières. Nim otworzono drzwi, biskup ukląkł wśród tych ładnych dziewczątek. Modlił się głośno, one zaś nie mogły dość napodziwiać jego pięknych koronek, jego wdzięku, jego młodej i słodkiej twarzy. Widok ten oszołomił do reszty naszego bohatera; w tej chwili byłby się bił za inkwizycję, i to szczerze. Naraz otworzyły się drzwi. Kapliczka ukazała się zalana światłem. Na ołtarzu płonęło przeszło tysiąc świec w ośmiu szeregach oddzielonych bukietami. Słodki zapach najczystsze-



kadzidła wychodził kłębam z sanktuarium. Kaplica, wyłożona świeżo, była mała, ale bardzo wysoka. Julian zauważył na ołtarzu świece mające przeszło piętnaście stóp. Dziewczęta nie mogły wstrzymać okrzyku podziwu. Do przedsionka wpuszczono tylko dwadzieścia cztery dziewczęta, dwóch proboszczów i Juliana.

Niebawem wszedł król samotrzeć z panem de la Mole i wielkim ochmistrem. Nawet straż została zewnątrz, na klęczkach prezentując broń. Wówczas dopiero Julian, przylepiony do złożonych drzwi, ujrzał ponad obnażone ramię młodej panny śliczny posążek świętego Klemensa. Był ukryty pod ołtarzem, w stroju młodego rzymskiego żołnierza: na szyi miał szeroką krwawą ranę. Artysta przeszedł tu sam siebie. Gasnące, ale pełne wdzięku oczy były przymknięte. Lekki puszek ozdobił czarujące usta, które, wpółotwarte, jeszcze zdawały się modlić. Na ten widok młoda panna klęcząca obok zalała się gorącymi łzami; jedna łza padła na rękę Juliana.

Po chwili modłów wśród najgłębszej ciszy, zmaconej jedynie odległym dźwiękiem dzwonnów w sąsiednich wsiach na dziesięć mil wkoło, biskup poprosił króla, aby mu wolno było przemówić. Niedługą, bardzo wzruszającą mówkę zakończył słowami prostymi, ale sprawiającymi tym niezawodniejsze wrażenie.

– Nie zapominajcie nigdy, młode chrześcijanki, żeście widziały jednego z największych królów świata na kolanach przed sługami wszechmocnego i straszliwego Boga. Owi słudzy, słabi, prześladowani, mordowani na ziemi, jak to widzicie z krwawiącej jeszcze rany świętego Klemensa, święcą triumf w niebie. Nieprawdaż, młode chrześcijanki, zapamiętacie na zawsze ten dzień, będziecie nienawidziły bezbożników? Zawsze będziecie wierne temu wielkiemu, straszliwemu, ale tak dobremu Bogu.

Z tymi słowy biskup podniósł się z powagą.

– Przyrzekacie? – rzekł wyciągając natchnionym gestem ramię.

– Przyrzekamy! – odparły dziewczęta zalewając się łzami.

– W imię straszliwego Boga przyjmuję wasze przyrzeczenie! – dodał biskup grzmiącym głosem. Ceremonia skończyła się.

Sam król płakał. Dopiero w długi czas później Julian ochłonął na tyle, aby spytać, gdzie znajdują się kości świętego, przysłane z Rzymu Filipowi Dobremu, księciu Burgundii. Pouchono go, że są ukryte w ślicznej woskowej figurze.

Jego Królewska Mość raczył pozwolić panienom, które towarzyszyły mu do kaplicy, aby nosiły czerwoną wstążkę z wyhaftowanym napisem: N i e n a w i ś ć b e z b o ż n i k o m , w i e k u i s t a a d o r a c j a .

Pan de la Mole kazał rozdać między wieśniaków dziesięć tysięcy butelek wina. Wieczorem w Verrières liberałowie iluminowali okna sto razy wspanialej niż rojaliści. Przed odjazdem król złożył wizytę panu de Moirod.

## XIX. MYŚL RODZI CIERPIENIE

Pocieszność codziennych wydarzeń  
zasłania wam wprawdzie niedole  
namiętności.  
B a r n a v e

Przywracając do dawnego porządku meble w pokoju, który zajmował pan de la Mole, Julian znalazł ćwiartkę grubego papieru złożoną we czworo. Wyczytał na pierwszej stronie u dołu:

Do J. E. Margrabiego de la Mole, para Francji, kawalera orderów, etc., etc.

Było to podanie wypisane nieprawnym pismem kucharki.

*Jaśnie Wielmożny Panie Margrabio!*

*Całe życie byłem wierny zasadom religii. Przeżyłem bombardowanie Lyonu w czasie oblężenia w roku haniebnej pamięci 1793. Przyjmuję komunię, bywam co niedziela na mszy w parafialnym kościele. Nigdy nie poniechałem wielkanocnej spowiedzi; nawet w ohydnej pamięci roku 1793. Kucharka moja (przed rewolucją miałem liczną służbę!) pości co piątek. Cieszę się w Verrières powszechnym – i mogę powiedzieć, zasłużonym – szacunkiem. Na procesji idę pod baldachimem obok księdza proboszcza i pana mera. W wielkie uroczystości niosę grubą świecę, zakupioną z własnych funduszków. Świadectwa na to wszystko znajdują się w Paryżu w Ministerium Finansów. Upraszam J. W. margrabiego o powierzenie mi kantoru loterii w Verrières, który niebawem zawakuje w ten czy inny sposób, ile że dzierżawca jego jest chory, przy tym głosuje niełojalnie podczas wyborów etc.*

*De Cholin.*

Na marginesie dopisek pana de Moirod:

*Miałem zaszczyt przemówić wczoraj w przedmiocie niniejszej prośby etc.*

– Tak więc nawet ten głupiec de Cholin wskazuje mi drogę, po której należy iść – rzekł do siebie Julian.

W tydzień po przyjeździe króla, wśród niezliczonych kłamstw, niemądrych wniosków, pociesznych dyskusji, których przedmiotem byli kolejno: król, biskup, margrabia de la Mole, dziesięć tysięcy butelek wina, katastrofa pana de Moirod, który w nadziei orderu przesiedział w domu cały miesiąc po wypadku – najdłużej była komentowana niewłaściwa obecność Juliana Sorel, syna cieśli, w gwardii honorowej.

Trzeba było posłuchać na ten temat zubożonych fabrykantów, którzy od rana do wieczora aż chrypli w kawiarniach rozprawiając o równości! To owa wyniosła dama, pani de Rênal, była sprawczynią tej ohydy. A powód? Ładne oczy i świeży buziak młodego kleryka dopowiadały reszty.

Wkrótce po powrocie do Vergy najmłodszy z chłopców, Stanisław, dostał gorączki. Panią de Rênal ogarnęły straszliwe zgryzoty sumienia. Pierwszy raz zaczęła się zastanawiać nad swą miłością i wyrzucać ją sobie; zrozumiała, jakby cudem, ogrom występku, do jakiego dała się pociągnąć. Mimo że z natury głęboko religijna, do tej chwili nie pomyślała, czym jest jej zbrodnia w obliczu Boga.

Niegdyś w Sacré-Coeur kochała Boga z całą namiętnością, teraz drżała przed nim w ten sam sposób. Walki rozdzierające jej duszę byty tym straszliwsze, iż umykały się zupełnie działaniu rozumu. Julian przekonał się, że najłżejsze rozumowanie drażni ją zamiast uspokajać: widziała w nim podszept diabelski. Ponieważ i Julian kochał małego Stasia, lepiej rozmawiali się rozmawiając o jego chorobie. Niebawem przybrała ona poważny charakter. Wówczas nieustanne wyrzuty odjęły pani de Rênal wręcz możliwość snu; zacięła się w jakimś upartym milczeniu; gdyby otworzyła usta, to po to, aby wyznać swą zbrodnię przed Bogiem i ludźmi.

– Zaklinam cię – powtarzał Julian, gdy zostali sami – nie mów do nikogo, niech ja sam będę powiernikiem twych cierpień. Jeśli mnie kochasz jeszcze, milcz; twoje słowa nie zmniejszą gorączki biednego Stasia.

Ale perswazje zostały bez skutku; nie wiedział, iż pani de Rênal wmówiła sobie, że aby uśmierzyć gniew zazdrosnego Boga, trzeba jej znienawidzić Juliana albo też być przygotowaną na śmierć syna. Czuli, że nie może znienawidzić kochanka, i dlatego była tak nieszczęśliwa.

– Uchodź ode mnie – rzekła jednego dnia – na miłość boską, opuść ten dom; to twoja obecność zabija mego syna. Bóg mnie karze – dodała ciszej – on jest sprawiedliwy, korzę się przed jego sprawiedliwością. Zbrodnia moja jest straszna i ja żyłam w niej bez wyrzutów! To pierwszy znak, że Bóg mnie opuścił: mam być podwójnie ukarana.

Julian był głęboko wzruszony, nie mógł w tym widzieć obłudy ani przesady. – Ona myśli, że zabija syna kochając mnie, a jednak, nieszczęśliwa, kocha mnie więcej niż syna. Nie ma wątpliwości, zgryzota ją zabija. Oto zaprawdę wielkie uczucie. Jakim cudem zdołałem natchnąć taką miłość ja, biedny, bez wychowania, nieokrzesany, czasem tak gminny, tak brutalny?

Jednego dnia z chłopcem było bardzo źle. Około drugiej w nocy pan de Rênal zaszedł go odwiedzić. Dziecko trawione gorączką było bardzo czerwone i nie poznało ojca. Naraz pani de Rênal rzuciła się do stóp męża: Julian uczuł, że wyzna wszystko i zgubi się na zawsze.

Szczęściem wybuch ten zniecierpliwiał pana de Rênal.

– Dobranoc, dobranoc! – rzekł odchodząc.

– Nie, słuchaj mnie! – wykrzyknęła klęcząc i siląc się go zatrzymać. – Dowiedz się prawdy! To ja zabiłam syna. Dałam mu życie i odbieram mu je. Niebo mnie karze, w oczach Boga winna jestem mordy. Muszę się zgubić, upokorzyć siebie samą, może ta ofiara ułagodzi Stwórcę.

Gdyby pan de Rênal miał trochę lotniejszą wyobraźnię, domyśliłby się wszystkiego.

– Romantyczne baśnie! – zawołał usuwając żonę, która siliła się objąć jego kolana. – Romantyczne baśnie! Julianie, każ pan zawołać doktora o świcie.

I poszedł spać. Pani de Rênal osunęła się w półzemdłona, odpychając konwulsyjnym ruchem Juliana, który chciał jej przyjść z pomocą.

Julian zdumiał się.

– Więc to jest wiarołomstwo! – rzekł do siebie. – Byłoby możliwe, aby ci księża, tacy szalbierze... mieli słusność? Oni, którzy popełniają tyle grzechów, czyżby posiadali przywilej prawdziwej teorii grzechu? Dziwna rzecz!...

Upłynęło dwadzieścia minut, jak pan de Rênal odszedł. Julian patrzył na ukochaną kobietę klęczącą z głową wspartą o łóżeczko, martwą, prawie bezprzytomną.

– Oto kobieta o niepospolitej duszy znalazła się w otchłani nieszczęścia dlatego, że mnie poznała – myślał. – Godziny mkną szybko. Co mogę dla niej uczynić? Trzeba się zdobyć na coś. Nie chodzi tu już o mnie. Co mi ludzie i ich płaskie błazeństwa! Co mogę zrobić dla niej?... Opuścić ją. Zostawiłbym ją na pastwę najstraszliwszej boleści. Mąż, ten bezduszny bałwan, raczej zaszkodziłby jej, niż pomógł. Brutal zrani ją jakim twardym słowem, kobieta może popaść w szaleństwo, rzuci się z okna. Jeśli ją opuszczę, jeśli przestanę czuwać nad nią, wyzna wszystko. I kto wie, mimo spadku, jaki mu żona wniesie, ten człowiek byłby zdolny zrobić skandal. Gotowa wszystko powiedzieć, wielki Boże, temu drabowi Maslon, który pod pozorem choroby sześciolatniego dziecka nie rusza się z tego domu, i nie bez intencji! Ona w swoim bólu i lęku przed Bogiem zapomina wszystkiego, co wie o człowieku, widzi jedynie kapłana.

– Idź stąd – rzekła nagle pani de Rênal otwierając oczy.

– Dałbym tysiąc razy życie, aby ci pomóc – odparł Julian – nigdy cię tyle nie kochałem, drogi aniele, lub raczej dopiero od tej chwili zaczynam cię ubóstwiać tak, jak zasługujesz. Co ja pocznę z dala od ciebie i ze świadomością, żeś nieszczęśliwa przeze mnie! Ale nie mówmy o moich cierpieniach. Wyjadę, tak, ukochana moja. Ale jeśli cię opuszczę, jeśli przestanę czuwać nad tobą, być wciąż między tobą a mężem, powiesz mi wszystko, zgubisz się. Pomyśl, on wygna cię haniebnie z domu; całe Verrières, Besançon będą mówić o tym skandalu. Zwalą na ciebie wszystko, nigdy w życiu nie podźwigniesz się z hańby...

– Chcę tego! – wykrzyknęła wstając. – Będę cierpiała, tym lepiej!

– Ale przez taki okropny skandal unieszczęśliwisz i jego!

– Ale upokorzę się sama, rzucę się w błoto, w ten sposób może ocale dziecko. To poniżenie w oczach wszystkich to może publiczna pokuta. O ile mnie, nędznej, wolno o tym sądzić, czyż to nie jest największe poświęcenie, jakie mogę uczynić Bogu?... Może raczy przyjąć moje upokorzenie i wróci mi syna! Wskaż mi cięższą jaką ofiarę, a spełnię ją natychmiast.

– Pozwól mi, abym się ukarał. Jam także winien. Chcesz, bym wstąpił do trapistów? Surowość tej reguły zdoła może przebłagać twego Boga?... Och, Boże, czemu nie mogę wziąć na siebie choroby Stasia!...

– Och, ty go kochasz! – rzekła pani de Rênal rzucając się w jego ramiona.

W tej samej chwili odtrąciła go ze zgrozą.

– Wierzę ci, wierzę – mówiła upadłszy na nowo na kolana – o mój jedyny przyjacielu! Czemu nie jesteś ojcem Stasia! Wówczas nie byłoby strasliwym grzechem kochać cię więcej niż twego syna.

– Pozwolisz mi, bym został i abym odtąd kochał cię jak brat? To jedyna rozsądna pokuta; nią zdołamy przebłagać gniew Najwyższego.

– Ale ja! – wykrzyknęła wstając, ujmując w dłonie głowę Juliana i wpatrując się w niego.

– Ja, czy potrafię kochać cię jak brata?! Czy jest w mej mocy kochać cię jak brata?!  
Julian zalał się łzami.

– Będę cię słuchał – mówił u jej stóp – będę cię słuchał, co bądź rozkażesz; to jedno mi pozostało. Duch mój grzęźnie w ciemnościach, nie widzę drogi. Jeśli cię opuszczę, powiesz wszystko mężowi, zgubisz siebie i jego. Nigdy po takim ośmieszeniu nie wybiorą go posłem. Jeśli zostanę, będziesz we mnie widziała przyczynę śmierci syna i umrzesz z boleści. Chcesz

spróbować, jak podziela na ciebie mój wyjazd? Jeśli chcesz, skarzę się za naszą winę tygodniową rozłąką. Spędzę ten czas, gdzie każesz, w klasztorze na przykład, ale przysięgnij, że w czasie mej nieobecności nic nie wyznasz mężowi. Pomyśl, że nie będę mógł wrócić, jeżeli powiesz...

Przyrzekła; Julian opuścił dom, ale po dwóch dniach wezwała go z powrotem.

– Niepodobna mi bez ciebie dotrzymać przysięgi. Powiem wszystko mężowi, jeśli ciebie nie będzie wciąż tutaj, aby mi wzrokiem nakazywać milczenie. Każda godzina tego straszego życia trwa dla mnie całą dobę.

Wreszcie niebo ulitowało się nad nieszczęśliwą matką. Stasiowi przestało grozić niebezpieczeństwo. Ale stało się; pani de Rênal objęła myślą rozmiar występku, nie mogła już odzyskać równowagi. Wyrzuty zostały i stały się tym, czym musiały być w tak prostym sercu. Życie było dla niej niebem i piekłem: piekłem, kiedy nie widziała Juliana, niebem, kiedy był u jej nóg.

– Nie mam złudzeń – mówiła nawet w chwilach, gdy dawała się ponieść uczuciu – jestem przeklęta, przeklęta bez ratunku. Tyś młody, uległeś mym pokusom, niebo ci przebaczy, ale ja jestem stracona. Mam tego nieomylny znak, boję się; któż by się nie bał widząc przed sobą piekło. Ale w głębi nie żałuję: popełniłabym na nowo swój błąd, gdyby to było możebne. Niech tylko niebo nie karze mnie na tym świecie i nie ściga w mych dzieciach, a będę miała więcej, niż zasługuję. Ale ty bodaj, Julianie – wołała kiedy indziej – czy jesteś szczęśliwy? Czy uważasz, że dosyć cię kocham?!

Nieufność i drażliwość Juliana, który łąknął nad wszystko miłości heroicznej, nie zostały się wobec tak wielkiego, tak oczywistego i ciągłego poświęcenia. Ubóstwiał panią de Rênal. – Mimo że szlachcianka, a ja syn robotnika, kocha mnie... Nie jestem dla niej lokajem podniesionym do funkcji kochanka. – Wyzbywszy się tej obawy, Julian pograżył się we wszystkie szaleństwa miłości, w jej śmiertelne niepokoje.

– Gdybym bodaj mogła ci dać szczęście przez ten krótki czas, który mamy przed sobą! – wołała widząc, że wątpi o jej miłości. – Spieszmy się, jutro może już nie będę twoją! Jeśli niebo ugodzi mnie w dzieciach, próżno siliłabym się żyć, kochać cię, nie widzieć, że to moja zbrodnia je zabija. Nie przeżyłabym tego. Gdybym chciała nawet, nie mogłabym, oszalałabym. Och, gdybym mogła wziąć na siebie twój ciężki grzech, jak ty chciałeś tak szlachetnie wziąć gorączkę Stasia!

Ten wstrząs moralny zmienił charakter uczuć Juliana. Miłość jego nie była już tylko podziwem dla piękności, dumą posiadania. Szczęście ich wzbiło się o wiele wyżej; płomień, który ich pożerał, zyskał jeszcze na sile. Miewali chwile graniczące z szaleństwem. W oczach świata szczęście ich wydałoby się jeszcze większe. Ale nie odnaleźli już rozkosznej słodyczy, błogości bez chmurki, pogodnego szczęścia pierwszej epoki ich miłości, kiedy jedyną troską pani de Rênal było to, że Julian nie dość ją kocha. Szczęście ich miało niekiedy coś ze zbrodni.

W najśłodszych, najspokojniejszych na pozór chwilach pani de Rênal wykrzykiwała nagle: – Och, wielki Boże! widzę piekło! – i ścisnęła konwulsyjnie rękę Juliana. – Cóż za straszliwe męki! Ach, zasłużyłam na nie! – Ścisnęła go, tuląc się doń jak bluszcz do muru.

Próżno silił się Julian uspokoić tę oszalałą duszę. Brała go za rękę, okrywała pocałunkami. I znowu popadała w posępne majaki.

– Piekło – mówiła – piekło byłoby dla mnie dobrodziejstwem, miałabym jeszcze na ziemi jakiś czas, aby oglądać Juliana, ale piekło na tym świecie, śmierć dzieci... Jednak za tę cenę może by mi odpuszczono zbrodnię... Och, wielki Boże, nie chcę łaski za tę cenę! Te biedne dzieci nie obrażyły cię. To ja, ja sama jestem winna: kocham człowieka, który nie jest moim mężem!

Czasami następowały chwile pozornego spokoju. Pani de Rênal siliła się panować nad sobą; nie chciała zatruwać życia ukochanemu.

Wśród tych kolejnych przyływów miłości, zgryzoty i rozkoszy dni mijały z szybkością błyskawicy. Julian stracił nałóg zastanawiania się.

Panna Eliza wybrała się z powodu jakiegoś drobnego procesu do Verrières. Spotkała pana Valenod, który miał Juliana mocno na wątrobie. Ona sama nienawidziła Juliana i często naręcała o nim dyrektorowi przytułku.

– Zgubiłby mnie pan, gdybym powiedziała całą prawdę!... -rzekła jednego dnia do pana Valenod. – Gdzie chodzi o ważne rzeczy, tam państwo trzymacie z sobą... Nie przebacza się biednym sługom, jeśli zdradzą pewne tajemnice.

Po tych zwykłych ceregielach, które podrażniona ciekawość pana Valenod umiała skrócić, dygnitarz ten dowiedział się rzeczy nader dotkliwych dla swej miłości własnej.

Kobieta najdystyngowańsza w okolicy, którą od sześciu lat otaczał takimi względami, i to, nieszczęściem, z wiedzą i na oczach całego świata, kobieta tak dumna, której lekceważenie przyprawiło go tyle razy o rumieniec, pasowała na swego kochanka czeladnika przebranego za preceptora. I – aby nic nie brakło upokorzeniu pana Valenod – pani de Rênal ubóstwia tego kochanka!

– Co więcej – dodała służąca z westchnieniem – pan Julian nie raczył nawet zabiegać o to, nie porzucił wobec pani zwykłej swej obojętności.

Eliza zyskała pewność tego dopiero na wsi, przypuszcza jednak, że romans zaczął się o wiele dawniej.

– Dlatego to z pewnością – dodała z żalem – nie chciał swego czasu ożenić się ze mną. A ja, głupia, radziłam się pani de Rênal, prosiłam ją, aby pomówiła z preceptorem!

Tego samego dnia pan de Rênal otrzymał wraz z dziennikami długi anonimowy list objaśniający go najszczegółowiej o wszystkim, co się dzieje w domu. Julian spostrzegł, że czytając ten list, skreślony na sinym papierze, pan de Rênal blednie i obrzuca go nienawistnym spojrzeniem. Przez cały wieczór nie zdołał ochłonąć; próżno Julian starał się go rozchmurzyć wypytyując o genealogie pierwszych rodzin w okolicy.

## XX. ANONIMY

Do not give d'alliance  
Too much the rein; the strongest  
oaths are straw  
To the fire i'the blood.  
*The Tempest*

Opuszczając salon koło północy Julian zdołał szepnąć kochance:

– Nie przychodź do mnie dziś w nocy, mąż podejrzewa nas, przysiągłbym, że ten duży list, który czytał z tak chmurną miną, to anonim.

Szczęściem Julian zamykał się na klucz. Pani de Rênal powzięła szaloną myśl, że ta przestroga była jedynie pozorem uniknięcia schadzki. Straciła zupełnie głowę – o zwykłej porze przyszła pod drzwi. Słyszac hałas w korytarzu Julian zgasił natychmiast lampę. Ktoś silił się otworzyć drzwi – pani de Rênal czy zazdrosny mąż?

Nazajutrz bardzo wczesnie kucharka, życzliwa Julianowi, przyniosła mu książkę: na okładce widniało, co następuje, skreślone po włosku: *Guardate alla pagina 130*.

Julian zadrżał na widok tej nieostrożności, otworzył na wskazanej stronie i znalazł przypięty szpilką list pisany w pośpiechu, oblany łzami i pełen ortograficznych błędów. Zazwyczaj pani de Rênal pisała bardzo poprawnie. Wzruszony tym szczegółem, Julian zapomniał nieco o jej strasznej nierozwadze.

*Nie chciałeś mnie wpuścić tej nocy? Bywają chwile, w których zdaje mi się, że nie zdołam nigdy zajrzeć w głąb twojej duszy. Spojrzenia twoje przerażają mnie. Boję się ciebie. Wielki Boże! Możesz ty mnie nigdy nie kochać! W takim razie niech mąż dowie się o naszym stosunku, niech mnie zamknie w więzieniu, na wsi, z dala od dzieci. Może Bóg tak chce. Umrę rychło, ale ty będziesz potworem.*

*Nie kochasz mnie? Znużony jesteś mym szaleństwem, mymi wyrzutami, ty bezbożny? Chcesz mnie zgubić? Dam ci łatwy sposób. Pokaż ten list w całym Verrières albo raczej tylko panu Valenod. Powiedz mu, że cię kocham; ale nie, nie wymawiaj takiego bluźnierstwa; powiedz mu, że cię ubóstwiam, że życie zaczęło się dla mnie dopiero od dnia, gdy cię ujrzałam; że w najszaleńszych pragnieniach młodości nie śniłam nawet o szczęściu, jakie ci zawdzięczam; że poświęciłam ci życie, duszę. Wiesz, że poświęcam ci daleko więcej.*

*Ale czy ten człowiek wie, co to poświęcenie? Powiedz mu, powiedz, aby go podrażnić, że ja gardzę ludzką złośliwością, że istnieje dla mnie na świecie jedno tylko nieszczęście – stracić serce jedyne go człowieka, który mnie trzyma przy życiu. Cóż za szczęściem byłoby dla mnie stracić to życie, złożyć je w ofierze i nie drżeć już o dzieci.*

*Bądź pewny, jedyny mój, jeśli był jaki anonim, pochodzi on od tego wstrętnego człowieka, który przez sześć lat prześladował mnie swoim grubym głosem, przechwałkami z jazdy konnej, swą głupią i nadętą zarozumiałością!*

*Czy był jaki anonim? Ty niedobry, o tym właśnie chciałam mówić z tobą; ale nie, dobrze zrobiłeś. Tuląc cię w ramionach, może ostatni raz, nie byłabym zdolna do chłodnego zastanowienia, na jakie zdobyłam się w samotności. Od tej chwili szczęście nasze nie będzie już tak łatwe. Czy to będzie przykrość dla ciebie? Może; w dni, w których nie dostaniesz od pana Fouqué jakiej ciekawej książki. Zdobyłam się na poświęcenie: jutro, czy istnieje anonim czy nie, ja też powiem mężowi, że otrzymałam anonim i że trzeba natychmiast wynagrodzić Cię hojnie, znaleźć przyzwoity pozór i odesłać Cię bezzwłocznie do rodziców.*

*Ach, jedyny mój, rozstaniemy się na dwa tygodnie, miesiąc może! Och, wierzę, chcę wierzyć, że będziesz cierpieć tyle co ja. Ale to jedyny sposób, aby sparaliżować ów anonim – nie pierwszy to, jaki mąż otrzymał o mnie. Ach, dawniej jakże bym się z tego śmiała!*

*Plan mój ma jeden tylko cel: przekonać męża, że list pochodzi od Valenoda, nie wątpię zresztą, że tak jest w istocie. Skoro opuścisz dom, udaj się do Verrières. Postaram się, aby i mąż wybrał się tam na jakie dwa tygodnie, by dowieść głupcom, że nic nie zaszło między tobą a nim. Znalazłszy się w Verrières, nawiąż stosunki ze wszystkimi, nawet z liberałami; wiem, że kobiety będą Cię rozrywały.*

*Nie szukaj zwady z Valenodem ani nie myśl o żadnym o b c i n a n i u u s z u, jak się odgrażałeś kiedyś; owszem, bądź dlań najuprzejmiejszy. Trzeba, aby gadano w Verrières, że masz wstąpić do Valenodów lub do innego domu jako preceptor.*

*Tego mąż nie zniesie. A gdyby nawet się z tym pogodził, będziesz mieszkał w Verrières, chłopcy moi, którzy cię tak kochają, będą cię odwiedzali od czasu do czasu. Boże wielki! Czuje, że bardziej kocham moje dzieci dlatego, że one Ciebie kochają. Co za męka! Jak się to wszystko skończy?!... Zmysły tracę... słowem, wiesz, jak postępować; bądź miły, grzeczny, uprzejmy dla tych chamów, błagam cię na kolanach, w ich rękach będzie nasz los. Bądź przekonany, że w postępowaniu z Tobą mąż nagnie się do tego, co mu każe o p i n i a p u b l i c z n a.*

*Ty masz mi dostarczyć anonimu: uzbrój się w cierpliwość i nożyczki. Powykrawaj z książki słowa, które ci nakreślę, naklej je potem na arkuszu siniego papieru, który dołączam – mam go od pana Valenod. Bądź przygotowany na rewizję, spal resztę książki, z której powycinasz słowa. Jeśli nie znajdziesz całych słów, miej cierpliwość złożyć je litera po literze. Aby ci umniejszyć trudu, ułożyłam list aż nazbyt krótki. Aha, jeśli mnie już nie kochasz – a obawiam się tego – jakże długi wyda ci się mój własny!*

## A N O N I M

*Pani!*

*Wszystkie Twoje intryżki są znane, ale uprzedzono już osoby, które powołane są, aby je poskromić. Przez resztkę przyjaźni dla pani wzywam Cię, abyś zerwała z tym parobczakiem. Jeśli zdobędziesz się na ten rozsądny krok, mąż pomyśli, iż ostrzeżenie, które otrzymał, jest fałszem, i nikt nie wyprowadzi go z błędu. Pomnij, że mam twoją tajemnicę; drzyj, nieszczęśliwa – odtąd będziesz tak tańczyć, jak ja ci zagram.*



*Skoro skończysz naklejać ten list (czy poznajesz styl dyrektora?), wyjdź z domu, postaram się spotkać z Tobą.*

*Udam się w stronę wsi i wrócę niby zmęczona – ach, i będę w istocie! Wielki Boże, na co ja się narażam, a wszystko tylko dlatego, że j a k c i s i ę z d a j e, ów list to był anonim! Wzruszona, oburzona, oddam mężowi ten list, wręczony mi rzekomo przez nieznajomego. Ty wybierz się z dziećmi do lasu i nie wracaj, aż na obiad.*

*Z wysokości skał możesz dostrzec wieżę gołębnika. Jeśli sprawy obróćą się dobrze, wywieszę białą chusteczkę, w przeciwnym razie nie będzie nic.*

*Czy serce twoje, niewdzięczny, nie znajdzie przed tą przechadzką sposobu powiedzenia mi, że mnie kochasz? Co bądź się zdarzy, bądź pewien jednego: nie przeżyję ani o dzień naszej ostatecznej rozłąki. Och, zła matka ze mnie! Ale te dwa słowa są dla mnie tylko czczym dźwiękiem, drogi Julianie. Nie czuję ich, jedynie o Tobie mogę myśleć w tej chwili, napisałam je jedynie, abys mnie nie potępił. Teraz, kiedy za chwilę mogę cię stracić, po cóż udawać? Tak, choćby dusza moja miała ci się wydać ohydną, nie chcę kłamać przed człowiekiem, którego ubóstwiam. Za wiele już oszukiwałam w życiu. Jeśli mnie już nie kochasz, przebaczam ci. Nie mam czasu odczytać listu. Nic to dla mnie opłacić życiem szczęsne dni spędzone w Twych ramionach. Wiesz, że będą mnie kosztowały więcej.*

## XXI. ROZMOWA Z PANEM

Alas, our frailty is the cause, not we;  
For such as we are made of, such we be.  
*Twelfth Night*

Z dziecinną przyjemnością Julian składał przez godzinę wyrazy. Wychodząc z pokoju spotkał chłopców oraz panią de Rênal; wzięła list z prostotą i spokojem, który go przeraził.

– Guma dosyć wyschła? – spytała.

– Czy to jest owa kobieta, którą wyrzuty doprowadziły do szaleństwa? – pomyślał. – Co ona zamyśla w tej chwili?

Zbyt dumny był, aby spytać; ale nigdy może nie wydała mu się tak urocza.

– Jeśli rzecz źle się obróci – dodała z tą samą zimną krwią – zabiorą mi wszystko. Niech pan ukryje ten skarbczyk w jakiej dziupli; będzie to może kiedyś moja jedyna ucieczka.

Wręczyła mu safianowe pudełko zawierające złoto i nieco brylantów.

– Idźcie teraz – rzekła.

Uściskała chłopców, najmłodszego dwa razy, Julian stał nieruchomo. Pani de Rênal oddała się szybko nie patrząc nań.

Od chwili otrzymania anonimu pan de Rênal męczył się straszliwie. Tak wzruszony nie był nawet przed pojedynkiem, którego omal nie miał w roku 1816; trzeba mu oddać sprawiedliwość, perspektywa kuli mniej by go uczyniła nieszczęśliwym. Oglądał list ze wszystkich stron.

– Czy to nie jest pismo kobiece – dumał – w takim razie co za kobieta mogła to pisać?

Przechodził myślą wszystkie znajome w Verrières, nie mogąc ustalić podejrzeń. Miałżeby ten list dyktować mężczyzna? Ale kto? Taż sama niepewność: większość osób; które znał, zazdrościły mu, ba, nienawidziły go zapewne.

– Trzeba się poradzić żony – rzekł sobie z przyzwyczajenia, podnosząc się z fotela, w który osunął się bezwładnie.

– Boże wielki! – wykrzyknął uderzając się w czoło. – Toż przed nią zwłaszcza trzeba się mieć na baczności, ona jest moim wrogiem w tej chwili.

Z rozdrażnienia łzy stanęły mu w oczach.

Przez słuszną odpłatę za oschłość serca, która stanowi treść całej prowincjonalnej mądrości, dwaj ludzie, których w tej chwili pan de Rênal najwięcej się obawiał, byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

– Prócz nich mam może jeszcze z dziesięciu przyjaciół – i szacował w myśli stopień pociechy, jakiej mógłby się po nich spodziewać. – Wszystkim, wszystkim! – powtarzał z wściekłością – moja okropna przygoda sprawi przyjemność.

Szcześnie czuł, że to zazdrość, i nie bez racji. Prócz wspaniałego domu w mieście, uświetnionego po wszystkie czasy noclegiem króla, miał ślicznie urządzone pałacyk w Ver-gy: biała fasada, zielone okiennice. Myśl o tych przepychach pocieszyła go na chwilę. Faktem jest, że pałac widać było na parę mil wokoło, ku wielkiemu przygnębieniu wszystkich dworów wiejskich, czyli tak zwanych pałaców w sąsiedztwie, którym pozostawiono ich skromną szarą barwę nadaną przez patynę czasu.

Pan de Rênal mógł liczyć na łzy i współczucie jednego tylko z przyjaciół, skarbnika parafii, ale ten tuman płakał nad wszystkim. Druh ten był wszelako jedyną jego ucieczką.

– Czy może być ktoś nieszczęśliwszy ode mnie? – wykrzyknął, wściekły. – Cóż za osamotnienie! Czy podobna – powtarzał ten człowiek w istocie godzinę pożałowania – czy podobna, abym w tej niedoli nie miał jednego przyjaciela, którego bym się mógł poradzić? Zmysły tracę, czuję to! Ach, Falcoz! Ach, Ducros! – Były to nazwiska dwóch przyjaciół z dzieciństwa, których odstręczył butą swoją w roku 1814. Nie byli szlachtą, nie mógł tedy ścierpieć nadal poufałości, w jakiej żył z nimi od dziecka.

Jeden z nich, Falcoz, rozumny i tęgi człowiek, kupiec papieru w Verrières, nabył drukarnię w stolicy departamentu i założył dziennik. Kongregacja postanowiła go zrujnować; zamknięto mu dziennik, odebrano koncesję. W tych ciężkich opałach spróbował napisać do pana de Rênal pierwszy raz od dziesięciu lat. Mer dał odpowiedź godną dawnego Rzymianina. „Gdyby pan minister uczynił mi ten zaszczyt i spytał o zdanie, odpowiedziałbym: Zniszcz bez litości wszystkie prowincjonalne drukarnie, stwórz monopol druku, jak istnieje monopol tytoniu.” Dziś pan de Rênal przypomniał sobie ze zgrozą ten list do serdecznego przyjaciela, list, który całe Verrières podziwiał w swoim czasie. – Kto by rzekł, iż przy moim stanowisku, majątku, orderach pożałuję go kiedyś? – W tych paroksyzmach gniewu to na siebie, to na całe otoczenie spędził okropną noc, ale na szczęście nie przyszło mu do głowy szpiegować żony.

– Przywykłem do Ludwika – powiadał sobie – zna wszystkie moje interesy; gdybym mógł się ożenić choćby jutro, nie potrafiłbym jej zastąpić. – Za czym chętnie zwracał się ku myśli, że żona jest niewinna; takie stanowisko nie zmuszało go do okazywania charakteru i w ogóle było o wiele wygodniejsze: ileż to kobiet spotwarzono niewinnie!

– Jak to! – wykrzykiwał nagle, znowu biegnąc gorączkowo po pokoju. – Mamże ścierpieć, jak gdybym był jakim chłystkiem, hołyszem, aby ona się natrząsała ze mnie z kochankiem? Mam czekać, aż całe Verrières zacznie sobie opowiadać baśnie o mej ślepotcie? Czegóż nie nagadano się o takim Charmier (był to mąż notorycznie oszukiwany przez żonę)? Skoro go wspomnieć, czyż uśmiech nie pojawia się na wszystkich wargach? Jest dobrym adwokatem, czy wspomni kto o jego wymowie? „A, Charmier! – powiadają – ten Charmier od Bernarda”: tak go nazywają od nazwiska człowieka, który go okrył hańbą!

– Dzięki niebu – mówił sobie pan de Rênal innym razem – nie mam córki: kara, jaką wymierzę matce, nie zaszkodzi przyszłości mych dzieci. Mogę przydybać tego chłopaka z żoną i zabić ich oboje, w tym wypadku tragizm przygody uwolni mnie może od śmieszności. – Ta myśl uśmiechała się panu de Rênal, rozważał ją we wszystkich szczegółach. – Kodeks jest za mną; w razie czego Kongregacja, przyjaciele, zasiadający jako przysięgli, wykręciliby mnie.

Obejrzał ostry nóż myśliwski, ale wzdrygnął się na myśl o krwi.

– Mogę oćwiczyć batami chłystka i wypędzić go, ale cóż za skandal w Verrières, w departamencie! Po zamknięciu dziennika Falcoza, kiedy naczelny redaktor wyszedł z więzienia, postarałem się go wysadzić z miejsca przynoszącego mu sześćset franków. Powiadają, że ten pismak ośmielił się znów wypłynąć w Besançon; może mnie opisać tak zrećnie, iż niepodobna mi będzie go pozwać. Pozwać!... Bezczelnik na tysiąc sposobów da do zrozumienia, że mówił prawdę. Człowieka dobrze urodzonego, szanującego swoje stanowisko, nienawidzą

wszyscy plebejusze. Wezmą mnie na języki te plugawe dzienniki paryskie; o mój Boże, cóż za ohyda! Starożytne imię Rênalów w kałuży śmieszności! Gdybym gdzie wyjeżdżał, trzeba by mi zmienić nazwisko. Jak to, rzucić to nazwisko, które stanowi mą chwałę i siłę! Cóż za otchłań!

Jeśli nie zabiję żony i wypędzę ją haniebnie, ma ciotkę w Besançon, która jej odda ciepłą ręką cały majątek. Pojedzie sobie do Paryża z Julianem. Dowie się o tym całe Verrières i znowuż wyjdę na durnia.

Nieszczęśliwy człowiek spostrzegł po blednącym świetle lampy, że świta. Wyszedł do ogrodu odetchnąć nieco powietrzem. W tej chwili prawie był zdecydowany nie robić skandalu, głównie dla tej przyczyny, że skandal napełniłby radością jego serdecznych przyjaciół.

Przechadzka uspokoiła go nieco. – Nie! – wykrzyknął – nie mogę rozstać się z żoną, z nadto mi jest potrzebna! – Wyobraził sobie ze zgrozą, czym byłby dom bez żony; miał za całe krewieństwo jedynie margabinę de R., starą, głupią i złą.

Ta tak roztropna myśl błysła mu wprawdzie, ale wykonanie wymagało siły charakteru o wiele wyższej niż ta, którą nieborak rozporządzał. – Jeśli zostanę z żoną – myślał – znam siebie: jednego dnia, skoro mnie czym podrażni, wypowiem jej wszystko. Ona jest dumna, poróżnimy się, i to zanim odziedziczy po ciotce! Wówczas dopiero będą sobie kpić ze mnie! Żona kocha dzieci, wszystko z czasem przejdzie na nie, a ja będę pośmiewiskiem całego Verrières. Jak to, powiedzą, nie umiał się nawet zemścić! Czy nie lepiej poprzestać na podejrzeniach i nie dochodzić bliżej? Ale wówczas wiąże sobie ręce i nie będę mógł jej w przyszłości nic wyrzucić.

W chwilę potem zraniona próżność znowuż przychodziła do głosu. Pan de Rênal przypomniał sobie szczegółowo anegdoty cytowane w kasynie albo w „Kole Szlacheckim” w Verrières, kiedy któryś z zartownisiów przerwał pulę, aby się zabawić kosztem jakiegoś zdradzonego męża. Jakże mu się w tej chwili te koncepty wydały okrutne!

– Boże, dlaczego ona nie umarła! Byłbym wówczas bezpieczny od wszelkiej śmieszności. Czemuż nie jestem wdowcem! Spędzałbym pół roku w Paryżu w najlepszym towarzystwie...

Po tej chwili rojeń o szczęsnym wdowieństwie myśl jego wróciła do sposobów zdobycia prawdy. – A gdyby tak o północy, kiedy wszyscy się udadzą na spoczynek, rozsypać otręby pod drzwiami Juliana? Nazajutrz o świcie zostałyby odcisk kroków.

– Bzdurstwo! – wykrzyknął nagle z wściekłością; – szelma Eliza zauważy otręby i w całym domu będą gadać, że jestem zazdrosny.

W innej anegdocie, opowiadanej w kasynie, mąż stwierdził zdradę umocowując za pomocą odrobiny wosku włos, który zamykał niby pieczęcią drzwi żony i kochanka.

Ten sposób wydał mu się stanowczo najlepszy. Układał już w głowie, jak się nim posłużyć, kiedy na zakręcie alei ujrzał tę żonę, którą chciał widzieć na marach.

Wracała ze wsi. Poszła wysłuchać mszy w kościele w Vergy. Tradycja bardzo niepewna w oczach krytycznego filozofa, ale wiarygodna dla pani de Rênal, utrzymuje, że kościółek ów był niegdyś kaplicą zamkową pana de Vergy. Jedna myśl prześladowała panią de Rênal cały czas, jaki zamierzała spędzić w tym kościele na modlitwie. Wyobrażała sobie bez ustanku, jak mąż, niby przypadkiem, zabija na polowaniu Juliana, a potem, wieczorem, daje jej serce kochanka do zjedzenia.

– Los mój – rzekła sobie – zależy od jego pierwszego wrażenia. Po tym nieszczęsnym kwadransie nie znajdę już może sposobności do rozmowy. To nie jest człowiek działający z rozwagi, potrafię tedy przy pomocy mego słabego rozsądku przewidzieć, co on zrobi albo powie. On rozstrzygnie o naszym wspólnym losie, władza jest w jego ręku. Ale ten los spoczywa w mej zręczności, w zdolności pokierowania tym gwałtownikiem, który zaślepiony gniewem nie widzi nic koło siebie. Wielki Boże, trzeba mi sprytu, zimnej krwi, skąd ich wziąć?!

Wchodząc do ogrodu i widząc z dala męża, odzyskała jakby czarami spokój. Włosy i ubiór w nieładzie świadczyły, że spędził noc bezsenne.

Podawała mu list rozpieczętowany, ale złożony. Pan de Rênal, nie otwierając, spoglądał na żonę błędnymi oczami.

– Patrz – rzekła – oto ohyda, którą mi wręczył jakiś człowiek niedaleko ogrodu rejenta. Utrzymał, że cię zna i że ci jest winien wdzięczność. Żądam od ciebie jednej rzeczy: abys odesłał, i to bez zwłoki, tego pana Juliana do rodziców.

Pani de Rênal wyrzekła to zdanie z pośpiechem, za wcześnie nawet może, aby się uwolnić od straszliwej myśli, że ma je powiedzieć.

Ogarnęła ją radość na widok uciechy, jaką sprawiła mężowi. Z uporczywego spojrzenia, jakie w nią wlepił, odgadła, że domysł Juliana był prawdziwy. Zamiast się trapić prawdziwym nieszczęściem myślała: – Cóż za inteligencja! Co za doskonałe odczucie, i to w młodym, niedoświadczonym chłopcu! Do czegoż on dojdzie z czasem! Ach, wówczas wśród swoich triumfów zapomni o mnie!

Ten przelotny akt uwielbienia dla ubóstwianego kochanka rozproszył do reszty jej pomieszanie. Czuła się dumna ze swego kroku. – Byłam godna Juliana – powtarzała sobie ze słodką i cichą rozkoszą,

Nie mówiąc ni słowa z obawy, aby się nie wiązać, pan de Rênal obejrzał ów drugi anonim, ułożony, jeżeli czytelnik sobie przypomina, z literek naklejonych na sinym papierze.

– Wszyscy drwią sobie ze mnie – pomyślał z uczuciem znużenia. – Znów jakieś zniewagi, a wciąż z powodu żony!

Omali że jej nie rzucił w twarz najbrutalniejszych obelg; myśl o besansońskim spadku ledwie zdołała go wstrzymać. Potrzebując wyrzecz gniew na czymś, zgniótł papier i zaczął się przechadzać wielkimi krokami. Czuł potrzebę oddalenia się od żony. Po jakimś czasie wrócił do niej już spokojniejszy.

– Trzeba się zdobyć na stanowczy krok i oddalić Juliana – rzekła. – Ostatecznie to tylko syn robotnika. Załagodzisz go paru talarami; zresztą to chłopak z głową, znajdzie bez trudu miejsce, na przykład u pana Valenod albo u podprefekta, którzy mają dzieci. Nie stanie mu się wtedy krzywda.

– Ot, gadasz jak głupia! – wykrzyknął pan de Rênal straszliwym głosem. – Skądże zresztą spodziewać się rozumu po kobiecie? Nigdy nie zainteresujecie się niczym rozsądnym; skąd miałybyście coś wiedzieć? Lenicie się, gnijecie, ożywiacie się jedynie wtedy, gdy idzie o łapanie motyli!... Et, marne stworzenia, które, na nasze nieszczęście, trzeba nam cierpieć w domu!

Pani de Rênal dała mu się wygadać; gadał też jak najęty. Pozwoliła mu się wyburzyć.

– Mężu – rzekła wreszcie – mówię jak kobieta obrażona w swoim honorze, to znaczy w tym, co ma najcenniejszego.

Przez cały czas przykryj rozmowy, od której zależała możliwość dalszego życia pod jednym dachem z Julianem, pani de Rênal zachowała niezmaconą zimną krew. Szukała najlepszej drogi do opanowania ślepego gniewu męża. Była obojętna na wszystkie obelgi, nie słyszała ich: myślała o Julianie. – Czy będzie ze mnie zadowolony?

– Ten chłopak, któregośmy obsypali względami, a nawet podarkami, może być niewinny – rzekła wreszcie – niemniej jednak jest przyczyną pierwszej zniewagi, jaka mnie spotkała. Słuchaj, kiedy przeczytałam ten ohydny papier, postanowiłam sobie, że albo on, albo ja opuścimy ten dom.

– Chcesz wywołać skandal, aby zniesławić mnie i siebie? Dostarczysz żeru plotkarzom w całym Verrières.

– To prawda. Zazdroszczą ci rozumu, powodzenia, tak w życiu publicznym, jak prywatnym... Dobrze więc! Wpłynę na Juliana, aby cię poprosił o miesiąc urlopu; niech jedzie do tego drwala w górach. Ot, godny przyjaciel parobczaka.

– Ani się waż – rzekł pan de Rênal dość spokojnie. – Pierwsza rzecz, której żądam, to abys z nim nie mówiła. Uniosłabyś się i poróżniłabyś mnie z nim: wiesz dobrze, jaki ten panicz jest drażliwy.

– Ten chłopak nie ma taktu – odparła pani de Rênal – może być uczony, ty się znasz na tym; ale w gruncie to prosty chłop. Co do mnie, nigdy nie miałam o nim dobrego pojęcia od czasu, jak odrzucił rękę Elizy. Prawdziwy los dla takiego chłystka! I to pod pozorem, że ona czasami po kryjomu odwiedza pana Valenod.

– A! – rzekł pan de Rênal podnosząc wysoko brwi – Julian ci to mówił?

– Nie, nie wprost... mówił zawsze o swym powołaniu do stanu duchownego; ale wierząc mi, pierwszym powołaniem tych hołyszów to mieć pewny chleb. Dawał mi wszelako dość wyraźnie do zrozumienia, że te tajemne wizyty nie są mu obce.

– A ja, ja nie wiedziałem o nich! – wykrzyknął znowu pan de Rênal, ogarnięty na nowo furją, i akcentując każde słowo. – Dzieją się u mnie w domu rzeczy, o których nie wiem... Jak to, jest coś między Elizą a panem Valenod?

– Ech, to stara historia, mój drogi – rzekła śmiejąc się pani de Rênal. – Może nic tam nie było znów tak złego. To z tych czasów, kiedy twój przyjaciel Valenod nie byłby od tego, aby w Verrières myślano, że między nim a mną istnieje mały stosunek... Och, bardzo plato-niczny...

– Przychodziło mi to na myśl! – wykrzyknął pan de Rênal uderzając z wściekłością w czoło przy tym nowym odkryciu. – I tyś mi nic nie mówiła?

– Miałamż różnić dwóch przyjaciół dla próżnostki kochanego dyrektora? Czy jest w towarzystwie choć jedna kobieta, do której by nie napisał paru dwornych, nawet czułych liścików?

– Co?! Pisał do ciebie?

– On tak wiele pisuje...

– Pokaż mi te listy natychmiast, ja każę!... (Pan de Rênal urósł o sześć stóp.)

– Niech Bóg broni! – odparła łagodnie, niemal obojętnie – pokażę ci kiedyś, kiedy będziesz spokojniejszy.

– Natychmiast, do kroćset! – wykrzyknął pan de Rênal pijany gniewem, a mimo to dziwnie szczęśliwy.

– Przysięgniesz mi – rzekła pani de Rênal bardzo poważnie – że nigdy się nie poróżnisz z dyrektorem z powodu tych listów?

– Poróżnię się czy nie, mogę mu odebrać dom podrzutków – ciągnął z wściekłością. – Chcę mieć natychmiast te listy. Gdzie są?

– W moim sekretarzyku, ale możesz być pewny, że nie dostaniesz klucza.

– Potrafię wyłamać zamek – rzekł biegnąc do pokoju żony.

Rozbił w istocie żelazną sztabą kosztowny mahoniowy sekretarzyk sprowadzony z Paryża, który nieraz wycierał połą surduta, kiedy spostrzegł na nim najmniejszą plamę.

Pani de Rênal przebiegła pędem sto dwadzieścia stopni wiodących na szczyt gołębnika i przywiązała białą chusteczkę do kraty. Nie posiadała się ze szczęścia. Ze łzami w oczach spoglądała w stronę lesistej góry. Spod któregoś z tych rozłożystych buków – myślała – Julian wygląda sygnału. – Długo nadstawiała ucha przeklinając monotony głos polnych koników i ćwierkanie ptaków. Gdyby nie ten natrętny hałas, doleciałby tu może okrzyk radości od skał! Chciwe oko pani de Rênal pożerało ten zwał ciemnej i jednostajnej jak łąka zieloności, jaki tworzyły wierzchołki drzew. – Że jemu nie przyszło do głowy – myślała wzruszona – znaleźć jakiś sygnał dla wyrażenia, że podziela me szczęście! – Zeszła z gołębnika dopiero wówczas, kiedy się zlekła, że mąż może jej szukać.

Zastała go wściekłym. Przebiegał ckliwe frazesy pana Valenod, nieprzywykłe do tego, aby je ktoś czytał z takim wzruszeniem. Korzystając z chwilowej pauzy między wykrzyknikami męża, pani de Rênal rzekła:

– Wracam wciąż do mojej myśli, trzeba, aby Julian znikł na jakiś czas z oczu. Mimo swej łaciny to ostatecznie chłop, często nieokrzesany i bez taktu. Raz po raz, sądząc, że się okaże grzeczny, pali mi strzeliste komplementy, których uczy się na pamięć z jakiegoś romansu.

– Nie czytuje romansów – wykrzyknął pan de Rênal – upewniłem się o tym. Czy sądzisz, że jestem ślepy i że nie wiem, co się dzieje w domu?

– Zatem jeśli nigdzie nie wyczytał tych głupich komplementów, w takim razie sam je wymyśla, to jeszcze gorzej. Musiał odzywać się o mnie w tym tonie w Verrières... a nie szukając tak daleko – dodała pani de Rênal z miną taką, jakby robiła odkrycie – musiał tak mówić wobec Elizy, to znaczy jak gdyby wobec pana Valenod.

– Ha! – wykrzyknął pan de Rênal waląc w stół z taką siłą, że wszystko się zatrzęsło w pokoju. – Dzisiejszy anonim i listy Valenoda są na jednym papierze.

– Nareszcie!... – pomyślała pani de Rênal. Po czym, jak gdyby zmiażdżona tym odkryciem i nie mając siły dodać ani słowa, siadła na kanapie w głębi.

Bitwa była wygrana. Zaledwie z wielkim trudem zdołała pani de Rênal wstrzymać męża od rozmówienia się ze sprawcą anonimu.

– Jak ty nie czujesz, że robić panu Valenod scenę bez dostatecznych dowodów byłoby szczytem niezręczności? Zazdroszczą ci, i czyja w tym wina? Twoich zdolności: twoja roztropna administracja, budowy pełne smaku, posag, jaki ci wniosłam, a zwłaszcza znaczny spadek, którego się spodziewam po ciotce – spadek, którego ludzie przeceniają rozmiary! – uczyniły z ciebie pierwszą osobistość w Verrières.

– Zapominasz o urodzeniu – rzekł pan de Rênal z lekkim uśmiechem.

– Należysz do najstarszej szlachty w okolicy – podjęła skwapliwie pani de Rênal; – gdyby król miał wolną rękę i mógł sprawiedliwie nagradzać urodzenie, zasiadłbyś z pewnością w Izbie Parów etc. I ty, zajmując taką pozycję, chcesz dostarczyć zawiści plotek? Wspomnieć panu Valenod o anonimie znaczy obwieścić w całym Verrières, co mówię, w Besançon, w całej okolicy, że ten łyk, dopuszczony, niebacznie może, do poufałości z R ê n a l e m zdołał go obrazić. Gdyby listy, które znalazłeś, dowodziły, że cię zdradziłam z panem Valenod, powinien byś mnie zabić, zasługiwałabym na to tysiąc razy, ale i wówczas nie powinien byś okazać gniewu. Pomyśl, że wszyscy wkoło czekają tylko sposobności, aby się pomścić za twą wyższość; pomyśl, że w 1816 przyczyniłeś się do pewnych aresztowań... Ten człowiek, który się schronił na dach...

– Ty nie masz dla mnie ani szacunku, ani przyjaźni! – wykrzyknął pan de Rênal z całą goryczą, jaką rozbudziło w nim podobne wspomnienie. – I nie zostałem parem!

– A ja myślę – odparła z uśmiechem pani de Rênal – że będę kiedyś bogatsza od ciebie, że jestem twoją żoną od dwunastu lat i że z tych wszystkich tytułów powinnam mieć prawo głosu, zwłaszcza w dzisiejszej sprawie. Jeśli przekładasz nade mnie takiego pana Juliana – dodała ze źle ukrywanym podrażnieniem – jestem gotowa wyjechać na całą zimę do ciotki.

Słowa te powiedziane były z akcentem bardzo szczęśliwym. Kryła się w nich stanowczość pod uprzejmą formą. Przekonały pana de Rênal, ale jak typowy mieszkaniec prowincji gadał jeszcze długo powtarzając w kółko argumenty. Żona pozwoliła mu się wygadać, gdyż w głosie jego wciąż dźwięczał gniew. Wreszcie dwie godziny bezużytecznego mielenia wyczerpały tego człowieka, który całą noc mიაł się w paroksyzmach gniewu. Ustalił linię postępowania wobec pana Valenod, Juliana, nawet Elizy.

Parę razy podczas tej długiej sceny pani de Rênal żał się zrobiło tego nieboraka, z którym przeżyła zgodnie dwanaście lat. Ale prawdziwa namiętność jest samolubna. Przy tym oczekiwała ciągle przyznania się męża do listu anonimowego, jaki otrzymał w wilię, a zwierzenie to nie nadchodziło. Pani de Rênal nie czuła się bezpieczna nie znając myśli nurtujących człowieka, od którego zależał jej los. Na prowincji mężowie są panami opinii. Mąż, który się skarży, ośmiesza się (rzecz z każdym dniem coraz mniej niebezpieczna we Francji!), ale żona,

o ile mąż nie da jej pieniędzy, spada do rzędu wyrobnic za kilkadziesiąt groszy dziennie, a i to jeszcze dobre dusze wzdragają się dawać jej zarobek.

Odaliska w seraju może ze wszystkich sił kochać sułtana; jest wszechpotężny, ona zaś nie ma żadnej nadziei umknąć się za pomocą drobnych sztuczek jego władzy. Zemsta pana jest straszna, krwawa, ale rycerska, wspaniałomyślna; jeden cios sztyletu kończy wszystko. W XIX wieku mąż zabija żonę ciężarem wzgardy publicznej, zamyka jej drzwi salonów.

Skoro pani de Rênal znalazła się u siebie, obudziło się w niej tym żywiej poczucie niebezpieczeństwa: uderzył ją nieład w pokoju. Strzaskano zamki przy najładniejszych szkatułkach i puzderkach, podważono kilka desek w posadzce. – Byłby dla mnie bez litości – pomyślała. – Zepsuć tak mozaikową posadzkę, którą tak lubił; kiedy które z dzieci stąpi na nią w wilgotnych trzewikach, on czerwieni się z gniewu! Zniszczona zupełnie.

Widok tego brutalstwa rozproszył ostatnie wyrzuty, jakie sobie czyniła z powodu swego zbyt łatwego zwycięstwa. Na chwilę przed dzwonem obiadowym Julian wrócił z dziećmi. Przy deserze, po odejściu służby, pani de Rênal rzekła doń sucho:

– Wspominał mi pan, że pragnąłbyś spędzić dwa tygodnie w Verrières: otóż pan de Rênal godzi się udzielić panu urlopu. Może pan jechać, kiedy się panu podoba. Aby zaś chłopcy nie tracili czasu, co dzień będzie pan otrzymywał ich wypracowania do przejrzenia.

– Tak – rzekł pan de Rênal cierpko – ale zwalniam pana nie dłużej niż na tydzień.

Julian wyczytał w jego twarzy niepokój i udrękę.

– Nic jeszcze nie postanowił – rzekł do kochanki, skoro na chwilę zostali sami w salonie.

Pani de Rênal opowiedziała mu spieszenie, co zdziałała w ciągu rana.

– Dziś w nocy bliższe szczegóły – dodała śmiejąc się.

– O przewrotności kobieca! – pomyślał Julian. – Co za przyjemność, co za instynkt pcha je ku temu, aby nas oszukiwać?

– Mam wrażenie, że miłość oświeca cię i zaślepia równocześnie – rzekł z pewnym chłodem. – Postępowanie twoje dzisiejsze jest cudowne, ale czy to rozsądnie chcesz widzieć się wieczór? Dom pełen jest wrogów: pomyśl o nienawiści, jaką pała do mnie Eliza.

– Ta nienawiść bardzo jest podobna do gwałtownej obojętności, jaką ty pałasz do mnie.

– Nawet w razie obojętności winien jestem ratować cię z niebezpieczeństwa, w jakie cię pogrążyłem. Jeżeli przypadkowo pan de Rênal weźmie na spytki Elizę, w dwóch słowach dowie się wszystkiego. Może się zacząć koło mego pokoju, uzbrojony...

– Jak to, więc nawet odwagi!... – rzekła pan de Rênal, w której zbudziła się dumna szlachcianka.

– Nie niżę się nigdy do tego, aby mówić o swojej odwadze – rzekł Julian – to nikczemność. Niechaj świat sądzi z czynów. Ale – dodał ujmując ją za rękę – ty nie masz pojęcia, jaki jestem do ciebie przywiązany i jakim szczęśliwy, że mogę się pożegnać z tobą przed tym okrutnym rozstaniem.



## XXII. METODY Z ROKU 1830

Mowę dano człowiekowi dla ukrywania myśli.

O. M a l a g r i d a

Ledwie przybywszy do Verrières, Julian zaczął sobie wyrzucać swą niesprawiedliwość względem pani de Rênal. – Pogardziłbym nią jako słabym kobieciątkiem, gdyby przez brak odwagi zawiodła w scenie z mężem. Wywiązała się z niej jak skończony dyplomata, i oto ja staję po stronie pokonanego, który jest mym wrogiem. Ot, mieszczańskie sentymenty; próżność moja czuje się obrażona, ponieważ pan de Rênal jest mężczyzną! Dostojna i liczna korporacja, do której mam zaszczyt należeć: ot, głupiec ze mnie!

Ksiądz Chélan, usunąwszy się z plebanii, nie przyjął gościny, którą mu na wypródki ofiarowywali najwybitniejsi liberałowie w miasteczku. Dwa pokoje, które wynajął, zawałone były książkami. Julian, chcąc podnieść jeszcze powagę księdza w Verrières, wziął od ojca tuzin sosnowych desek i zaniósł je sam na grzbiecie przez całą główną ulicę. Pożyczył od dawnego kolegi narzędzi i rychło sporządził półki, na których pomieścił książki księdza Chélan.

– Myślałem, że próżności świeckie zepsuły cię – rzekł starzec płacząc z radości. – Czyn ten okupuje w zupełności dziecinne zachcenie owego błyszczącego munduru gwardzisty, który ci zrobił tyłu nieprzyjaciół.

Pan de Rênal kazał Julianowi zamieszkać u siebie w domu. Nikt nie domyślał się tego, co zaszło. Trzeciego dnia w pokoju Juliana zjawił się, ni mniej, ni więcej, jak tylko sam pan podprefekt. Ledwie po dwóch godzinach czezej gadaniny, jeremiad na temat niegodziwości ludzkiej, niesumienności w szafowaniu groszem publicznym, niebezpieczeństwa biednej Francji etc., etc. wyjechał z istotnym celem wizyty. Już byli na schodach, biedny na wpół zdegradowany bakałarz odprowadzał z należyтым szacunkiem przyszłego prefekta jakiegoś szczęśliwego departamentu, kiedy nagle dygnitarz zaczął się troszczyć o los Juliana, chwalić jego umiarkowanie, bezinteresowność etc. Wreszcie, ściskając go z ojcowskim gestem, zaproponował mu, aby opuścił pana de Rênal i przyjął miejsce u pewnego urzędnika, który ma dzieci do e d u k o w a n i a. Nauczyciel otrzymałby osiemset franków pensji, płatnych nie miesięcznie (to nie jest d y s t y n g o w a n e – dodał pan Maugiron), ale kwartalnie i zawsze z góry.

Z kolei zabrał głos Julian, który od półtorej godziny czekał znudzony, aż będzie się mógł odezwać. Odpowiedź jego była wzorowa, a zwłaszcza długa jak list pasterski, pozwalała się wszystkiego domyślać, a jednak nic nie mówiła jasno. Był tam i szacunek dla pana de Rênal, i

część dla mieszkańców Verrières, i wdzięczność dla dostojnego podprefekta. Dygnitarz, zdumiony, że trafił na większego jezuitę od siebie, próżno starał się zeń wydobyć coś określonego. Julian, uszczęśliwiony tym ćwiczeniem, podjął na nowo swą odpowiedź w innych wyrazach. Nigdy wymowny minister, korzystając z końca posiedzenia, kiedy większość Izby już drzemie, nie zawarł mniej treści w obfitszych słowach. Ledwie pan de Maugiron wyszedł, Julian zaczął się śmiać jak szalony. Aby skorzystać ze swego jezuickiego rozpedu, napisał do pana de Rênal list na dziesięć stron, w którym zdawał mu sprawę ze wszystkiego, prosząc pokornie o radę. – Hultaj nie wymienił osoby czyniącej tę propozycję – myślał Julian. – To z pewnością Valenod, który wygnanie moje uważa za następstwo anonimu.

Wysławszy list Julian, rad niby myśliwiec, który o szóstej rano w piękny jesienny dzień sunie równiną obfitującą w zwierzynę, wyszedł, aby się poradzić księdza Chélan. Ale nim doszedł do proboszcza, niebo, jak gdyby gotując mu nowe rozkosze, skierowało na jego drogę pana Valenod. Julian nie ukrywał mu swej dusznej rozterki: biedny chłopiec, jak on, powinien cały się oddać powołaniu, które niebo tchnęło w jego serce; ale powołanie to jeszcze nie wszystko na tym padole. Aby pracować w winnicy Pańskiej i stać się godnym świątłych współpracowników, trzeba nauki: trzeba przebyć seminarium w Besançon. Te dwuletnie studia są bardzo kosztowne, trzeba by robić oszczędności, o co łatwiej przy ośmiuset frankach płatnych kwartalnie niż przy sześciuset, które się przejada z miesiąca na miesiąc. Z drugiej strony niebo, powierzając mu młodych de Rênal, a zwłaszcza rodząc w nim osobliwe do nich przywiązanie, czyż nie wskazuje mu, że nie powinien szukać innej drogi?...

Julian doszedł do takiej doskonałości w tym rodzaju wymowy, która zastąpiła energię Cesarstwa, że w końcu znudził go dźwięk własnego głosu.

Wróciwszy do domu zastał lokaja pana Valenod w pełnej liberii: szukał go po całym mieście z listem zapraszającym na obiad.

Julian nigdy nie był w domu tego człowieka; jeszcze kilka dni wprzód łamał sobie głowę nad tym, jak by mu wyłoić skórę nie narażając się na znajomość z policją poprawczą. Mimo że obiad był o pierwszej, Julian uważał, że lepiej wyrazi swój szacunek zjawiając się już o wpół do pierwszej w gabinecie pana dyrektora. Zastał go w całym blasku dostojności, wśród mnóstwa tek i papierów. Wielkie czarne bokobrody, bujne włosy, grecka czapeczka nieco na bakier, olbrzymia fajka, haftowane pantofle, grube złote łańcuszki krzyżujące się na piersi, cały ten przepych prowincjonalnego finansisty, który się ma za zjadacza serc, nie olśniły Juliana: tym goręcej myślał o kijach, które mu w duchu ślubował.

Poprosił o ten zaszczyt, aby go przedstawiono pani Valenod; kończyła toaletę i nie mogła go przyjąć. W zamian za to miał przyjemność asystować toalecie dyrektora. Następnie przeszli do pani Valenod, która ze łzami w oczach przedstawiła Julianowi dzieci. Dama ta, jedna z najznacześniejszych w Verrières, miała dużą, męską twarz, silnie na tę uroczystość ubarwioną różem. Rozwinęła cały patos macierzyństwa.

Julian myślał o pani de Rênal. Nie chciał dopuścić innych wspomnień prócz tych, które się rodzą z kontrastu, ale i to wystarczyło, aby go wprawić w roztkliwienie. Wygląd domu dyrektora spotęgował jeszcze to wrażenie. Oprowadzano go po pokojach. Wszystko było tam wspaniałe i nowe; wymieniano cenę każdego przedmiotu. Ale Julian czuł w tym coś plugawego, coś, co trąciło skradzionym pieniądzem. Wszystko, aż do służby nawet, zdawało się nadrabiać miną, aby się obronić od wzgardy.

Poborca podatków, dyrektor podatków pośrednich, oficer żandarmerii i jeszcze paru urzędników przybyło z żonami. Po nich zjawili się kilku bogatych liberałów. Oznajmiono obiad. Julian, już bardzo nieswój, pomyślał, że za ścianą jadalni znajdują się biedni więźniowie, że na ich porcjach oszczędzono może środki do nabycia tego całego niesmacznego zbytku, którym go chciano olśnić.

– Może oni są tam głodni w tej chwili? – myślał; gardło mu się ścisnęło, nie mógł ani jeść, ani mówić. Gorzej jeszcze było za kwadrans; w oddali rozległy się dźwięki popularnej pio-

senki, trzeba przyznać, nieco plugawej, śpiewanej przez jednego z więźniów. Pan Valenod spojrział na lokaja w szamerowanej liberii: sługus wyszedł i niebawem śpiew ustał. Równocześnie służący nalewał Julianowi wino reńskie do zielonego kieliszka, przy czym pani Valenod uważała za stosowne objaśnić, że wino to kosztuje na miejscu po dziewięć franków butelka. Julian trzymając w ręku zielony kieliszek zagadnął pana Valenod:

– Przeszali śpiewać tę beczelną piosenkę?

– Tam, do licha, myślę sobie! – odparł dyrektor triumfalnie. – Kazałem zamknąć gęby hologicie.

Odezwanie to dobiło Juliana – posiadał obejście, ale nie posiadał jeszcze wnętrza swego stanu. Mimo nawyku obłudy uczuł, że duża łza spłynęła po jego twarzy, próbował ukryć ją za zielonym kieliszkiem, w żaden sposób jednak nie mógł przełknąć kropli reńskiego wina. *Z a b r o n i ł ś p i e w a ć!* – powtarzał sobie w duchu. – O Boże, i ty to cierpisz!

Szczęściem nikt nie zauważył tego niewłaściwego rozczulenia. Poborca zaintonował rojalistyczną piosenkę. Podczas hałaśliwego refrenu, śpiewanego chórem, sumienie Juliana szepotało doń: – Oto plugawa kariera, jaka cię czeka, a osiągniesz ją jedynie pod tym warunkiem i w takim towarzystwie! Dochrapiesz się może posady za dwadzieścia tysięcy, ale trzeba ci będzie opychać się łakociami i zabronić śpiewać biednemu więźniowi; będziesz wyprawiał obiady za pieniądze odkradzione z jego nędznego jadła, a podczas twoich obiadów on będzie jeszcze dotkliwiej czuł swą nędzę. – O Napoleonie! Jak słodko było za twoich czasów piąć się ku fortunie wśród niebezpieczeństw! Ale pomnażać nikkczemnie niedolę biedaków!...

Wyznaję, że słabość, jakiej dowód składa Julian w tym monologu, daje mi o nim dość lichą opinię. Byłby godnym kolegą owych spiskowców w glansowanych rękawiczkach, którzy zamysłają zmienić postać wielkiego kraju, a nie chcą wziąć na sumienie najłżejszego draśnięcia.

W tej chwili przywołano gwałtownie Juliana do jego roli. Jeżeli go zaproszono na obiad w tak wytwornym towarzystwie, to nie po to, aby dumał i nic nie mówił.

Zbogacony fabrykant perkalików, członek-korespondent akademii w Besançon i w Uzès, zagadnął go z końca stołu, czy to prawda, co mówią powszechnie o jego nadzwyczajnej znajomości Nowego Testamentu.

Zapanowało głębokie milczenie. Łaciński tekst Nowego Testamentu znalazł się jakby cudem w rękach uczonego członka dwu akademii. Odczytano na los szczęścia urywek łacińskiego zdania. Julian wyrecytował dalszy ciąg: pamięć go nie zawiodła, obecni zaś wyrazili podziw z całą hałaśliwością, jaka ogarnia zwykle towarzystwo pod koniec obiadu. Julian powiódł okiem po rozpromienionych twarzach kobiet; niektóre były niebrzydkie. Zauważył zwłaszcza żonę poborcy, a zarazem amatora-śpiewaka.

– Wstyd mi, w istocie, tak długo mówić po łacinie przy paniach – rzekł spoglądając w jej stronę. – Gdyby pan Rubigneau (ów członek dwu akademii) zechciał przeczytać pierwsze z brzegu zdanie, wówczas zamiast recytować dalszy ciąg tekstu spróbowałbym go naprędce przetłumaczyć.

Ta druga próba dopełniła jego chwały. Było tam kilku bogatych liberałów, ale zarazem ojców rodziny, marzących o stypendiach dla synów, co było przyczyną, że ludzie ci nawrócili się raptownie podczas ostatniej *m i s j i*. Mimo tego wysoce politycznego zwrotu pan de Rênal nie dopuszczał ich do swego domu. Poczcwi ci ludzie, znający Juliana jedynie z reputacji i z konnego występu podczas wjazdu króla, oklaskiwali go najgłośniej.

– Kiedyż tym głupcom sprzykrzy się słuchać biblijnego stylu, z którego nie rozumieją ani słowa? – myślał. Ale przeciwnie, styl ten bawił ich swą niezwykłością: śmiali się. Julian uczuł się znużony.

Z uderzeniem szóstej wstał, poważnie tłumacząc, że musi się nauczyć rozdziału z nowej teologii Liguria, aby go wydać nazajutrz księdzu Chélan. – Moim zadaniem – dodał z wdziękiem – jest kolejno słuchać lekcji i wydawać je samemu.

Przyjęto to śmiechem, zachwytem: oto dowcip na miarę Verrières. Gdy Julian wstał, wszyscy podnieśli się mimo woli, taka jest władza ducha. Pani Valenod zatrzymała go jeszcze kwadrans, musiał przesłuchać dzieci z katechizmu; popełniały najpociesniejsze omyłki, które on jeden zauważył. – Cóż za niezajomość elementarnych zasad! – pomyślał. Pożegnał się wreszcie mniemając, iż zdoła się wymknąć, ale trzeba mu było wycierpieć jeszcze bajkę La Fontaine'a.

– To autor wysoce niemoralny – rzekł Julian do pani Valenod – w powiastce o Janie Chouart ośmiela się podawać w pośmiewisko rzeczy najgodniejsze szacunku. Najlepsi komentatorowie potępiają go surowo.

Przed odejściem Julian otrzymał kilka zaproszeń na obiad. – Ten młody człowiek przynosi chlubę miastu! – wykrzyknęli oczarowani goście. Zaczęli nawet przebąkiwać o pensji z funduszów gminnych dla studiów w Paryżu.

Podczas gdy ta niebaczna myśl zrodziła się w jadalni, Julian chyżym krokiem wydostał się za bramę. – Och, kanalia, kanalia! – wykrzyknął z cicha kilka razy z rzędu, z przyjemnością zaciągając się świeżym powietrzem.

Czuł się w tej chwili na wskroś arystokratą, on, którego tak długo ranił wzgardliwy uśmiech oraz protekcyjnalna wyższość przebijająca przez wszystkie uprzejmości w domu pana de Rênal. Mimo woli czuł olbrzymią różnicę. – Zapomnijmy nawet – mówił oddalając się – pieniądze skradzione biednym więźniom, którym zabrania się śpiewać! Czy kiedy panu de Rênal przyszłoby na myśl oznajmiać gościom cenę butelki, którą im podaje? A ten Valenod, przy bezustannym wyliczaniu swoich posiadłości, nie może, o ile żona jest obecna, mówić o swoim domu w gruncie inaczej niż t w ó j dom, t w ó j grunt.

Dama ta, widocznie tak tkliwa na rozkosze posiadania, zrobiła podczas obiadu straszliwą scenę służącemu, który stłukł kieliszek z t u z i n a, służący zaś odpowiedział wysoce grubiańsko.

– Cóż za towarzystwo! – myślał Julian – gdyby mi nawet dali połowę tego, co kradną, i tak nie chciałbym żyć z nimi. Wcześniej czy później zdradziłbym się, nie mógłbym ukryć wzgardy, jaką we mnie budzą.

Trzeba było wszelako, w myśl rozkazów pani de Rênal, przebyć kilka podobnych obiadów. Julian wszedł w modę; przebaczone mu mundur gwardzisty lub raczej nieopatrzność ta była istotną przyczyną jego powodzenia. Niebawem całe Verrières mówiło tylko o tym, kto zwycięży w zapasach o uczonego młodzieńca: pan de Rênal czy dyrektor więzienia. Te dwie osobistości wraz z księdzem Maslon stanowiły triumwirat, który od szeregu lat tyranizował miasto. Zazdroszczono merowi, liberałowie mieli powody krzywić się na niego, ale ostatecznie był szlachcicem i zrodzonym do splendorów, gdy pan Valenod nie miał po ojcu ani sześciuset franków renty. Trzeba było przejść w stosunku do niego drogę od współczucia, jakie budził w młodości wiecznym zielonkawym kubraczkiem, do zazdrości towarzyszącej obecnie jego normandzkim koniom, złotym łańcuszkom, ubraniu z Paryża i całej świeżej pomyślności.

Wśród tego tak nowego dlań świata Julian zauważył jednego, zdaje się, zacnego człowieka: był to geometra nazwiskiem Gros, który uchodził za jakobina. Julian, nałożywszy sobie obowiązek ustawicznego fałszu wobec świata, musiał się mieć na ostrożności przed panem Gros.

Z Vergy otrzymywał pakiety wypracowań oraz rady, aby często odwiedzał ojca; poddawał się tej smutnej konieczności. Słowem, latał wcale nieźle swą reputację, kiedy pewnego ranka, ku jego zdumieniu, obudziły go dwie rączki zasłaniające mu oczy.

Była to pani de Rênal, która wybrała się do miasta i która wpadłszy pędem na schody, gdy dzieci zabawiały się z ulubionym królikiem, wśliznęła się na chwilę przed nimi do pokoju Juliana. Była to chwila rozkoszna, ale bardzo krótka: skoro dzieci przybyły z królikiem, aby go pokazać nauczycielowi, pani de Rênal znikła. Julian ucieszył się wszystkim, nawet króli-

kiem. Miał uczucie, że odnajduje swą rodzinę; czuł, że kocha te dzieci, że miło mu gawędzić z nimi. Uderzyła go słodycz ich głosu, prostota i dystynkcja; potrzebował obmyć swą wyobraźnię ze wszystkich pospolitości, ze wszystkich szpetnych myśli, których atmosferą oddychał w Verrières. Była to wciąż obawa braku, wciąż zbytek i nędza szamoczące się z sobą. Ludzie, u których jadł obiad, czynili przy pieczystym zwierzenia upokarzające dla nich samych, a ohydne dla tego, kto ich słuchał.

– Wy, szlachta, macie wszelkie prawo być dumni – mówił do pani de Rênal. I opowiadał jej wszystkie obiady, które przecierpiał.

– Jesteś tedy w modzie! – I śmiała się z całego serca na myśl o różu, którym pani Valenod uważała za obowiązek się zdobić, ilekroć oczekiwała Juliana. – Sądzę, że ona ma na ciebie zamiary – dodała.

Śniadanie było rozkoszne. Obecność dzieci, krępująca na pozór, w rzeczywistości mnożyła jeszcze wspólne szczęście. Pocziwe dzieciaki nie wiedziały, jak objawiać swą radość, że znów oglądają Juliana. Służba rozpowiedziała im oczywiście, że dają Julianowi o dwieście franków więcej za to, żeby h e d u k o w a ł małych Valenod.

Przy śniadaniu Staś, jeszcze blady po chorobie, spytał nagle matki, ile warte jest jego srebrne nakrycie i kubek.

– Dlaczego?

– Chcę je sprzedać i oddać pieniądze panu Julianowi, żeby nie był d u d k i e m, jeśli zostanie u nas.

Julian uściskał go ze łzami w oczach. Matka płakała, podczas gdy Julian biorąc Stasia na kolana tłumaczył mu, że nie trzeba używać słowa d u d e k, które w tym znaczeniu jest wyrażeniem gminnym, godnym służby. Widząc, że sprawia tym przyjemność pani de Rênal, starał się objaśnić za pomocą malowniczych przykładów i ku wielkiej zabawie dzieci, co znaczy być d u d k i e m.

– Rozumiem – rzekł Staś – to tak jak ten kruk, na tyle głupi, że upuścił kawał sera, który pochwycił lis pochlebca.

Pani de Rênal w upojeniu szczęścia okrywała dzieci pocałunkami, czego nie mogła uczynić nie opierając się trochę o Juliana. W tej chwili drzwi się otworzyły, wszedł pan de Rênal. Twarz jego, surowa i niezadowolona, tworzyła osobliwy kontrast z miłą radością, spłoszoną jego przybyciem. Pani de Rênal zbladła; nie czuła się na siłach, aby czemukolwiek przeczyć. Julian zaczął bardzo głośno opowiadać merowi historyjkę o srebrnym kubku, który Staś chciał sprzedać. Pewien był, że opowiadanie to sprawi złe wrażenie. Pan de Rênal ściągnął ze zwyczaju brwi na samo wspomnienie o pieniądzach. – Wzmianka o tym kruszcu – mówił sobie – jest zawsze wstępem do jakiegoś zamachu na moją sakiewkę.

Ale tutaj chodziło o coś więcej niż o kwestię pieniężną; sytuacja komplikowała się nawrotem podejrzeń. Wyraz szczęścia, ozywający rodzinę w jego nieobecności, nie mógł korzystnie nastroić równie drażliwego, jak próżnego człowieka. Gdy żona chwaliła dowcip i wdzięk, z jakim Julian wpaja dzieciom nowe pojęcia, mąż rzekł:

– Tak, tak, wiem, zożydza mnie wobec dzieci. Łatwo mu być dla nich sto razy miłszym niż ja, który, ostatecznie, jestem ich panem. Wszystko w naszej epoce zmierza do tego, aby zożydzić p r a w ą w ł a d z ę. Biedna Francja!

Pani de Rênal nie zastanawiała się nad odcieniami mężowskiego zachowania. Widziała możliwość spędzenia dwunastu godzin z Julianem. Miała mnóstwo sprawunków; oświadczyła przy tym, że chce jeść obiad w restauracji, i mimo przedłożeń męża uparła się przy swoim. Dzieci, zachwycone słowem r e s t a u r a c j a, z entuzjazmem poparły projekt.

Pan de Rênal zostawił żonę zaraz w pierwszym magazynie, sam zaś udał się z paru wizytami. Wrócił jeszcze markotniejszy; zyskał przeświadczenie, że całe miasto zajmuje się nim i Julianem. A jednak nikt nie uchylił mu rąbka skandalicznych komentarzy krążących z ust do

ust; to, co mu powtórzono, odnosiło się jedynie do kwestii, czy Julian zostanie u niego z sześciuset frankami, czy też przyjmie osiemset u dyrektora.

Sam dyrektor, kiedy go pan de Rênal spotkał w towarzystwie, był bardzo oziębły. Postępowanie to było wcale zręczne. W ogóle na prowincji roztrzepanie jest rzeczą dość rzadką; mało rzeczy się dzieje, wszystko zatem przetrawia się gruntownie.

Cechą natury pana Valenod były tupet i chamstwo. Od roku 1815 triumfalna jego kariera spotęgowała te szacowne zalety. Panował, można powiedzieć, w Verrières pod berłem pana de Rênal, ale o wiele ruchliwszy, nie rumieniący się o nic, mieszający się do wszystkiego, biegający, piszący, rozprawiający bez przerwy, zapominający upokorzeń, wyzuty z godności osobistej, przeważył w końcu wpływ mera w oczach władzy duchownej. Valenod powiedział niejako miejskim łykom: dajcie mi dwóch najgłupszych spomiędzy was; urzędnikom: wskażcie mi dwóch największych nieuków; lekarzom: dostarczcie mi dwóch największych szarlataków. Kiedy zgromadził w ten sposób najbezwstydniejszych z każdego zawodu, rzekł: rządźmy razem.

Sposoby, w jakie poczynali sobie ci ludzie, raziły pana de Rênal. Gruboskórności Valenoda nie dotykało nic, nawet zarzuty łgarstwa, jakich ten filut, ksiądz Maslon, nie szczędził mu publicznie.

Wśród tej pomyślności Valenod czuł wszelako potrzebę ubezpieczenia się drobnymi sztuczkami przeciw tym wielkim prawdom, które – czuł to dobrze – każdy miał prawo rzucić mu w oczy. Stał się bardzo czynny, zwłaszcza od czasu niepokojących odwiedzin pana Appert. Trzy razy jeździł do Besançon, pisał kilka listów każdą pocztą, inne znowuż wysyłał przez nieznaną osobników, którzy wsuwali się doń o zmierzchu. Źle może zrobił usuwając starego księdza Chélan; ten akt zemsty zyskał mu w oczach paru dobrze urodzonych dewotek opinię niedobrego człowieka. Poza tym usługa ta podała go w zupełną zależność od wielkiego wikariusza de Frilair; otrzymywał też odeń szczególne zlecenia. W tym punkcie znajdowała się jego polityka, kiedy dał się skusić przyjemności napisania anonimowego listu. Na domiar kłopotów żona oświadczyła mu, że chce mieć Juliana u siebie: próżnostka ta utkwiała jej cwiakiem w głowie.

W tym położeniu Valenod przewidywał stanowczą scenę ze swym dawnym sprzymierzeńcem, panem de Rênal. Słowne zniewagi były mu obojętne, ale mer mógł napisać do Besançon, a nawet do Paryża! Kuzyn jakiego ministra mógł spaść do Verrières i przejąć zarząd przytułku. Valenod postanowił zbliżyć się do liberałów – dlatego to kilku z nich znalazło się na obiedzie, na którym był Julian. Poparliby go potężnie przeciw merowi: ale wśród tego mogły przyjść wybory. Otóż aż nadto było jasne, że jego posada i antyrządowy wynik wyborów byłyby nie do pogodzenia. Pani de Rênal, która doskonale przejrzała tę politykę, wyłożyła ją w krótkości Julianowi w drodze od jednego do drugiego sklepu. Niebawem gawęda ta zawiodła ich do Alei Wierności, gdzie spędzili kilka godzin prawie tak przyjemnie jak w Vergy.

Przez ten czas Valenod starał się uchylić stanowczą rozprawę z dawnym zwierzchnikiem, traktując go z wyniosłą i obrażoną miną; system ten powiódł się, ale pomnożył jeszcze zły humor mera.

Nigdy próżność pasująca się ze sknerstwem nie wprawiły człowieka w stan przykrzejszy niż ów, w jakim znajdował się pan de Rênal wchodząc do restauracji. Nigdy natomiast dzieci nie były weselsze i bardziej rozbawione. Kontrast ten podrażnił go tym więcej.

– Widzę, że jestem zbyteczny we własnej rodzinie – rzekł tonem, który chciał uczynić imponującym.

Za całą odpowiedź żona wzięła go na bok i wyłożyła mu konieczność oddalenia Juliana. Kilka godzin szczęścia wróciło jej spokój nieodzowny do przeprowadzenia planu, który obmyślała od dwóch tygodni. Miary zgrzytot biednego mera dopełniało to, że wiedział, iż w mieście żartują sobie publicznie z jego sknerstwa. Valenod był szczodry jak złodziej; jakoż świetnie się popisał w czasie ostatnich kwest na Stowarzyszenie Świętego Józefa, Matki Bo-

skiej, na Kongregację Świętego Sakramentu etc. Między nazwiskami okolicznej szlachty, z ręcznie zestawionymi na rejestrach wedle wysokości ofiar przez braci kwestarzy, nazwisko pana de Rênal nieraz zajmowało ostatnie miejsce. Na próżno powtarzał, że on nic nie zarabia. Duchowieństwo w tych rzeczach nie zna żartów.

## XXIII. STRAPIENIA URZĘDNIKA

Il piacere di alzar la testa tutto l'anno,  
è ben pagato da certi quarti d'ora  
che bisogna passar.  
C a s t i

Ale zostawmy tę małą figurę jej małym troskom; po cóż brał do domu c z ł o w i e k a, kiedy mu trzeba było duszy lokajskiej? Czemu nie umie dobrać sobie ludzi? Prawidłem XIX wieku jest, że kiedy dostojna i można osobistość napotka c z ł o w i e k a, zabija go, skazuje na wygnanie, wtrąca do więzienia lub upokarza do tego stopnia, że tamten jak głupiec umiera z bólu. Tutaj przypadkowo nie człowiek z duszą jest tym, który cierpi. Nieszczęściem miasteczek Francji oraz rządów opartych na wyborach, jak Nowy Jork, jest to, że nie mogą zapomnieć o istnieniu ludzi z gatunku pana de Rênal. W dwudziestotysięcznym miasteczku tacy ludzie tworzą o p i n i ę, a opinia to straszna rzecz w konstytucyjnym kraju! Człowiek o duszy szlachetnej, wzniosłej, który byłby twoim przyjacielem, ale który mieszka o sto mil, sądzi o tobie na podstawie opinii twego miasteczka, złożonej z głupców urodzonych szczęśliwie w szlacheństwie, zamożności i z a s a d a c h ! Biada temu, kto się wyróżnia.

Zaraz po obiedzie rodzina odjechała do Vergy, ale już trzeciego dnia wszyscy znowu ściągnęli do Verrières.

Od pierwszej chwili po przyjeździe Julian spostrzegł, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że pani de Rênal coś ukrywa. Przerywała rozmowę z mężem, gdy on się zjawiał, zdawało się niemal, że pragnie, aby się oddalił. Julian nie czekał, aż mu to da ponownie do zrozumienia. Stał się zimny i powściągliwy; pani de Rênal spostrzegła to i nie szukała wyjaśnień.

– Czyżby mi już przeznaczyła następcę? – myślał Julian. – Przedwczoraj jeszcze była tak serdeczna! Ale to są podobno wielkie damy! To tak jak król: najuprzejmiejszy jest dla ministra, gdy ten wróciwszy do domu ma zastać dymisję.

Julian zauważył, że w rozmowach, które urywały się za jego nadejściem, często była mowa o domu należącym do gminy Verrières, starym, ale obszernym i wygodnym, na wprost kościoła, w najruchliwszym punkcie. – Co może być wspólnego między tym domem a nowym kochankiem? – myślał Julian. W strapieniu swoim powtarzał sobie wierszyki Franciszka I, które zdały mu się nowe, ponieważ ledwie przed miesiącem nauczyła go ich pani de Rênal i za pomocą iluż przysiąg, pieszczot starała się zadać kłam każdemu z tych słów:



Kobieta zmienną jest,  
Szalony, kto wierzy jej<sup>3</sup>....

Pan de Rênal wyjechał pocztą do Besançon. Podróż tę postanowiono w ciągu dwóch godzin; mer zdawał się stroskany. Za powrotem rzucił na stół pakiet owinięty szarym papierem.

– Oto ta głupia sprawa! – rzekł do żony.

W godzinę później Julian ujrzał, że afiszera zabiera pakiet, pośpiesznie udał się za nim. – Dowiem się sekretu na najbliższym rogu – pomyślał.

Czekał cierpliwie za plecami afiszera, który mazał grubym pędzlem odwrotną stronę afisza. Ledwie go przyklejono, ciekawe oczy Juliana wyczytały szczegółowe ogłoszenie najmu, w drodze publicznej licytacji, owego starego domu, który tak często powtarzał się w rozmowach państwa de Rênal. Wynik licytacji zapowiedziano na następny dzień o drugiej w sali gminnej, do zgaśnięcia trzeciej świecy.

Julian zdumiał się; termin wydał mu się nieco krótki. W jaki sposób konkurenci dowiedzą się o sprawie? Poza tym afisz, datowany o dwa tygodnie wcześniej, nie powiadał mu absolutnie nic, mimo że odczytał go od deski do deski na trzech rogach ulicy.

Poszedł obejrzeć dom do wynajęcia. Odźwierny nie zauważywszy Juliana szeptał tajemniczo do sąsiada:

– Et, szkoda zachodu! Ksiądz Maslon przyrzekł mu, że dostanie dom za trzysta franków, zaś mer stawał okoniem, wielki wikariusz wezwał go do biskupa.

Obecność Juliana była, zdaje się, nie w smak rozmawiającym, nie rzekli już ani słowa.

Julian nie omieszkał zjawić się na licytacji. W dość ciemnej sali było pełno, wszyscy spoglądali na siebie spode łba. Oczy obecnych wlepione były w stół, gdzie Julian zauważył na cynowej tacy trzy zapalone ogarki. Woźny krzyczał:

– Trzysta franków, panowie!

– Trzysta franków! To niesłychane! – rzekł ktoś półgłosem do sąsiada, tuż obok Juliana. – Wart jest więcej niż osiemset, idę do tej sumy.

– Rzucasz się z motyką na słońce! Dużo zyskasz, że sobie ściągniesz na kark księdza Maslon, Valenoda, biskupa, tego piekielnego wikariusza de Frilair i całą klikę?

– Trzysta dwadzieścia! – krzyknął tamten.

– Ośle koronny! – mruknął sąsiad. – Patrz, właśnie tu stoi szpieg burmistrza.

Julian obrócił się żywo, aby zażądać porachunku za te słowa, ale tamci już nie zwracali nań uwagi; obojętność ich otrzeźwiła go. W tej chwili ostatni ogarek zgasł; rozwlekły głos woźnego przysądził dom na dziewięć lat panu de Saint-Giraud, naczelnemu sekretarzowi prefektury w\*\*\*, za cenę trzystu trzydziestu franków rocznie.

Skoro tylko mer opuścił salę, zaczęły się komentarze. – Ot, i wyskok Grogeota przyniósł gminie trzydzieści franków – mówił jeden. – Ale też Saint-Giraud odpłaci to Grogeotowi – odparł drugi.

– Cóż za łajdactwo! – powiadał jakiś grubas na lewo od Juliana. – Dom, za który ja dałbym osiemset franków na moją fabrykę, i jeszcze zrobiłbym interes.

– Ba! – odparł młody fabrykant, liberał. – Alboż Saint-Giraud nie należy do Kongregacji? Czyż jego czterej synowie nie pobierają stypendiów? Biedaczek! Gmina musi mu wypłacić pięćset franków nadwyżki do pensji, ot i wszystko.

– I powiedzieć, że mer nie mógł temu zapobiec! – zauważył trzeci. – Bo on jest wstecznik, przyznaje; ale przynajmniej nie kradnie.

– Nie kradnie? – odparł drugi. – Nie, gdzieżby znowu! Wszystko to idzie do wspólnego worka, dzielą się z końcem roku. Ale patrzcie, patrzcie: ten smarkacz Sorel; chodźmy stąd.

Julian wrócił mocno podrażniony, zastał panią de Rênal smutną.

---

<sup>3</sup> *Souvent femme varie,  
Bien fol est qui s'y fie.*

- Wracasz z licytacji? – spytała.
- Tak, pani, gdzie miałem zaszczyt uchościć za szpiega pana mera.
- Radziłam mu, żeby wyjechał!

W tej chwili ukazał się pan de Rênal, bardzo ponury. Obiad upłynął bez słowa. Pan de Rênal kazał Julianowi wracać z dziećmi do Vergy; podróż była markotna. Pani de Rênal pocieszała męża.

- Powinieneś się już do tego przyzwyczaić, mój drogi.

Wieczorem wszyscy siedzieli w milczeniu koło kominka, trzask płonącego buku stanowił jedyną rozrywkę. Była to jedna z owych chwil smutku, jakie się zdarzają w najbardziej kochających się rodzinach. Nagle któryś z chłopców wykrzyknął radośnie:

- Dzwonek! Dzwonek!

– Do kaduka! Jeżeli to Saint-Giraud przychodzi mnie nękać jeszcze pod pozorem podziękowania, powiem mu parę słów prawdy, to już nadto. Valenod będzie miał jego wdzięczność, a ja się skompromitowałem. Co pocznę, jeśli te przekłete dzienniki jakobińskie zaczną sobie gęby strzępić?

W tej chwili służący wprowadził przystojnego mężczyznę, z dużymi czarnymi bokobrodami.

– Panie merze, jestem signor Geronimo. Oto list, który kawaler de Beauvaisis, sekretarz ambasady w Neapolu, dał mi do pana w dzień odjazdu, zaledwie dziewięć dni temu – dodał wesoło signor Geronimo spoglądając na panią de Rênal. – Signor de Beauvaisis, kuzyn pani, a mój dobry przyjaciel, powiadał mi, że pani mówi po włosku.

Dobry humor Neapolitańczyka rozweselił ten smutny wieczór. Pani de Rênal zatrzymała gościa na kolacji, wprawiła w ruch cały dom, chciała za wszelką cenę dać zapomnieć Julianowi miano szpiega, które dwa razy tego dnia doleciało jego uszu. Signor Geronimo był sławnym śpiewakiem, człowiekiem dystygowanym, a mimo to wesołym: dwa przymioty, które we Francji nie dadzą się dziś bezwarunkowo pogodzić. Po wieczerzy odśpiewał duecik z panią de Rênal. Opowiedział parę zabawnych historyjek. Około pierwszej, kiedy Julian proponował chłopcom, aby poszli spać, ani chcieli słyszeć o tym.

- Jeszcze tę historię – rzekł najstarszy.

– To moja własna, signorino – rzekł Geronimo. – Przed ośmiu laty byłem jak ty młodzieńcem, uczniem konserwatorium w Neapolu, to znaczy, byłem w twoim wieku, ale nie miałem zaszczytu być synem dostojnego mera pięknego miasta Verrières.

Przy tych słowach pan de Rênal westchnął i spojrział na żonę.

– Signor Zingarelli – ciągnął młody śpiewak, przesadzając nieco akcent ku wielkiej radości dzieci – signor Zingarelli był nauczycielem bardzo surowym. Nie kochają go w konserwatorium; ale chce, aby postępować tak, jakby się go kochało. Wymykałem się, jak tylko mogłem; zachodziłem do teatrzyku San Carlino, gdzie słuchałem boskiej muzyki; ale, o nieba! co pocznąć, aby zdobyć osiem su na bilet? Olbrzymia suma – rzekł patrząc na dzieci, a dzieci w śmiech. – Signor Giovannone, dyrektor San Carlino, usłyszał, jak śpiewam. Miałem trzynastcie lat. – Ten chłopiec to skarb – rzekł.

- Chcesz, abym cię zaangażował? – spytał.

– A ile mi pan da?

– Czterdzieści dukatów na miesiąc. – Moi młodzi panowie, to znaczy sto sześćdziesiąt franków. Myślałem, że niebo mi się otwiera. – Ale co pocznąć – rzekłem – aby ten srogi Zingarelli mnie wypuścił?

– *Lascia fare a me.*

– Zostaw to mnie! – wykrzyknął najstarszy chłopiec.

– Właśnie, mój młody panie. Signor Giovannone rzekł: – *Caro*, najpierw kontrakcik. – Podpisuję, daje mi trzy dukaty. Nigdy nie widziałem tyle pieniędzy. Następnie powiada mi, co mam robić.

Nazajutrz proszę o audiencję u straszliwego pana Zingarelli. Wpuszcza mnie stary służący.

– Czego chcesz, urwisie? – rzekł Zingarelli.

– *Maestro* – rzekłem – żałuję moich błędów, nigdy już nie wymknę się przez sztachety i podwoję pilność.

– Gdybym się nie obawiał uszkodzić najpiękniejszy bas, jaki w życiu słyszałem, zamknąłbym cię na dwa tygodnie o chlebie i wodzie, ladaco.

– *Maestro* – rzekłem – będę wzorem całej szkoły, *credete a me*. Ale proszę o jedną łaskę: gdyby ktoś zażądał, abym śpiewał poza szkołą, niech pan odmówi. Niech pan powie, błagam, że to niemożliwe.

– Kiż diabeł by się dopraszał o takiego nicponia jak ty? Czyż ja pozwolę kiedy, abyś ty opuścił konserwatorium? Kpisz sobie ze mnie? Ruszaj precz! – wykrzyknął celując mi nogą w z.... – albo strzeż się suchego chleba i więzienia.

W godzinę potem Giovannone zjawił się u dyrektora.

– Przychodzę z prośbą, abyś mnie pan postawił na nogi – rzekł – daj mi Geronima. Niech zaśpiewa w moim teatrze, a w ciągu zimy złożę sobie posag dla córki.

– Co tobie się ubrdalo z tymi nicponiem! – odparł Zingarelli. – Nie chcę, nie pozwolę; zresztą choćbym się nawet zgodził, on sam nigdy nie zechce opuścić konserwatorium, przysiągł mi.

– Jeżeli tylko o jego wolę chodzi – rzekł poważnie Giovannone wydobywając kontrakt – *carte cante!* oto jego podpis.

Zingarelli, wściekły, dzwoni: – Wypędzić mi Geronima z konserwatorium! – krzyczy piejąc się. Wypędzono mnie tedy, śmiałem się jak szalony. Tego wieczora śpiewałem arię *del Moltiplico*. Polisznel chce się żenić, liczy na palcach sprzęty, które mu będą potrzebne, i co chwila płacze się w rachunku...

– Och, niech pan zaśpiewa tę arię – rzekła pani de Rênal.

Geronimo zaśpiewał, wszyscy uśmiechali się do łez. Signor Geronimo udał się na spoczynek aż o drugiej, zostawiając całą rodzinę w zachwycie nad jego dobrym ułożeniem, grzecznością i humorem.

Nazajutrz oboje państwo de Rênal wręczyli mu polecające listy do osób na dworze.

– Zatem wszędzie fałsz – myślał Julian. – Ten signor Geronimo jedzie do Londynu z sześćdziesięcioma tysiącami franków płacy. Gdyby nie spryt dyrektora San Carlino, boski jego głos załśniłby w świecie może o dziesięć lat później... Na honor, wolałbym być Geronimem niż Rênalem. Nie zażywa tytu honorów w społeczeństwie, ale też nie musi urządzić takich licytacji jak dzisiaj i pędzi wesołe życie.

Jedna rzecz dziwiła Juliana: samotne tygodnie spędzone w Verrières, w domu pana de Rênal, były dlań epoką szczęścia. Niesmak i przygnębienie znajdował jedynie na obiadach, na które go zapraszano. W tym samotnym domu mógł czytać, pisać, dumać bez przeszkody. Świetnych jego rojeń nie przerywała co chwilę okrutna konieczność, nie musiał śledzić poruszeń niskiej duszy, i to jeszcze po to, aby ją oszukiwać przy pomocy obłudnych słów i uczynków.

Byłoby szczęście tak łatwe do osiągnięcia!... Życie takie kosztuje tak niewiele; mogę, do wyboru, ożenić się z Elizą lub zostać współnikiem Fouquégo... Tak podróżny, który się wdrapał na stromą górę, siada na szczycie i znajduje rozkosz w tym, aby spocząć. Ale czy byłby szczęśliwy, gdyby mu kazano spoczywać ciągle?

Pani de Rênal zaszła na krawędź niebezpiecznych myśli. Mimo postanowień zdradziła Julianowi tajemnicę licytacji. – Zapomnę tedy dla niego o wszystkich przysięgach! – myślała.

Poświęciłaby bez wahania życie dla ocalenia męża, gdyby był w niebezpieczeństwie. Była z tych szlachetnych i romantycznych natur, dla których widzieć możliwość wzniesłego czynu i nie dokonać go równa się niemal zbrodni. Bywały wszelako dni, w których nie mogła odegnąć obrazu bezgranicznego szczęścia, gdyby, owdowiawszy nagle, mogła zaślubić Juliana.

Kochał jej synów więcej niż ojciec, oni zaś mimo jego surowej sprawiedliwości ubóstwiali go. Czując, iż wychodząc za Juliana musiałaby opuścić to Vergy, którego cienisty park był jej tak drogi. Wyobrażała sobie, jak osiada w Paryżu i wychowuje synów z troskliwością budzącą ogólny podziw. Dzieci, ona, Julian, wszyscy byliby szczęśliwi.

Dziwny skutek małżeństwa takiego, jakim uczynił je wiek XIX! Nuda małżeńskiego życia nieuchronnie zabija miłość, o ile istniała przed ślubem. Równocześnie, powiadał pewien filozof, u ludzi żyjących w dostatku, bez pracy, wywołuje ono głębokie znużenie wszystkimi spokojnymi uciechami. Wreszcie, co się tyczy kobiet – z wyjątkiem bardzo oschłych natur – nastroja je do miłości.

Refleksja filozofa usprawiedliwia panią de Rênal w moich oczach, ale nie w oczach miasteczka. Nic nie wiedziała o tym, iż całe Verrières zajmuje się jedynie jej gorszącą miłością. Dzięki tej wielkiej sprawie jesień była tego roku mniej nudna niż zazwyczaj.

Jesień, część zimy minęły bardzo szybko. Trzeba było opuścić lasy Vergy. Towarzystwo miejscowe zaczęło się oburzać, że jego krytyki tak mało czynią wrażenia na panu de Rênal. Nim upłynął tydzień, poważne figury, które z lubością szukają wytchnienia po swej powadze w tego rodzaju misjach, zaczęły nasuwać merowi, wciąż w na wskroś oględnej formie, najokrutniejsze podejrzania.

Valenod, nie myśląc dać za wygraną, umieścił Elizę w dystyngowanym domu, gdzie było pięć kobiet. Eliza obawiając się, jak mówiła, że nie znajdzie miejsca w zimie, zgodziła się na płacę znacznie niższą niż to, co otrzymywała u mera. Sama z siebie dziewczyna wpadła na doskonałą myśl, aby się wypowiedzieć u dawnego proboszcza, księdza Chélan, jak również u nowego, i opowiedzieć obu księżom szczegółowo miłości Juliana.

Nazajutrz po przybyciu Juliana do Verrières, o szóstej rano ksiądz Chélan wezwał go do siebie.

– Nie pytam o nic – rzekł. – Proszę, a w potrzebie rozkazuję, abyś nie mówił nic, żądam tylko, abyś w ciągu trzech dni wyjechał do seminarium w Besançon lub do przyjaciela swego Fouqué, który wciąż gotów jest zapewnić ci świetny los. Wszystko przewidziałem, wszystko ułożyłem: trzeba jechać i nie pokazywać się przez rok w Verrières.

Julian nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy nie powinien się dopatrzeć obrazy w opiece, jaką ksiądz Chélan, nie będąc ostatecznie jego ojcem, nad nim rozciąga.

– Jutro o tej porze będę miał zaszczyt zgłosić się ponownie -rzekł wreszcie.

Ksiądz Chélan, który spodziewał się, że zdoła ugnieść w rękę tak młodego człowieka, rozwinął wiele wymowy. Julian, opancerzywszy się postawą i fizjonomią pełną pokory, nie otworzył ust.

Wyszedł wreszcie i pobiegł wszystko powtórzyć pani de Rênal; zastał ją w rozpacz. Mąż odbył z nią właśnie dość szczerą rozmowę. Wrodzona słabość charakteru, wspierana nadzieją ciotczyńczego spadku, skłoniła go do uznania niewinności żony. Zdał jej sprawę z osobliwego nastroju, w jakim zastał opinię w Verrières. Publiczność, omamiona przez zawistnych, sądzi fałszywie, ale wreszcie co począć?

Pani de Rênal łudziła się przez chwilę, że Julian może przyjąć propozycję pana Valenod i zostać w Verrières. Ale nie była to już owa prosta, lekliwa kobieta z zeszłego roku: nieszczęsna namiętność, wyrzuty oświeciły ją. Niebawem, słuchając męża, doszła do bolesnego przeświadczenia, że rozstanie, przynajmniej chwilowe, stało się konieczne. – Z dała ode mnie Julian wróci do swych ambitnych projektów, tak naturalnych, kiedy ktoś nie ma nic. A ja, wielki Boże, jestem tak bogata! Ale cóż mi z tego! Zapomni o mnie. On, taki uroczy... pokocha go ktoś i on pokocha. Och, nieszczęśliwa!... Czy mam prawo się skarżyć? Niebo jest sprawiedliwe, nie mam tej zasługi, bym się otrząsnęła ze zbrodni, odejmuje mi rozum. Mogłam wszakże opłacić milczenie Elizy, nie było nic łatwiejszego. Nie zadałam sobie trudu, aby się zastanowić chwilę, szła miłości pochłaniał mnie całą. Ginę teraz.

Julian zdumiał się, iż kiedy oznajmił pani de Rênal straszliwą nowinę, nie spotkał się z żadną egoistyczną przeszkodą. Czyniła wyraźne wysiłki, aby się nie rozplakać.

– Trzeba nam hartu, drogi mój. (Ucieła sobie pukiel włosów). – Nie wiem, co się ze mną stanie – mówiła – ale jeśli umrę, przyrzeknij mi, że nie zapomnisz nigdy o moich dzieciach. Z daleka czy z bliska staraj się z nich zrobić dzielnych ludzi. Jeżeli będzie nowa rewolucja, wyrzną całą szlachtę; pan de Rênal będzie musiał emigrować z powodu tego chłopa ubitego na dachu. Czuwaj nad rodziną... Daj mi rękę. Bądź zdrow, drogi mój! To ostatnie chwile. Dokonawszy tego poświęcenia mam nadzieję, że zdobędę się na to, aby myśleć o swej reputacji.

Julian spodziewał się rozpaczki. Prostota tego pożegnania wzruszyła go.

– Nie, nie przyjmuję takiego pożegnania. Pojadę, chcę tego, i ty również. Ale w trzy dni po wyjeździe przyjdę cię odwiedzić w nocy.

W istnieniu pani de Rênal zaszła zmiana. Julian kochał ją wtedy, skoro sam z siebie powziął myśl tych odwiedzin! Straszliwa jej boleść zmieniła się w skurcz radości, jakiej dotychczas nie zaznała. Wszystko stało się jej łatwe. Pewność ujrzenia kochanka odjęła ostatnim chwilom ich rozpacz. Odtąd zachowanie i fizjonomia pani de Rênal stały się szlachetne, nieugięte i pełne godności.

Niebawem wrócił pan de Rênal; był w najwyższym stopniu wzburzony. Opowiedział wreszcie żonie o anonimie otrzymanym przed dwoma miesiącami.

– Zaniosę go do kasyna, pokażę jako dowód nikczemności Valenoda, którego z żebraka uczyniłem najbogatszym człowiekiem w Verrières. Zhańbię go publicznie, a potem wyzwę go. To już za wiele.

– Mogłabym zostać wdową, wielki Boże! – pomyślała pani de Rênal. Ale prawie równocześnie powiedziała sobie:

– Jeśli nie zapobiegnę pojedynekowi, co niewątpliwie mogę uczynić, będę morderczynią męża.

Nigdy nie zagrała tak zręcznie na jego próżności. W niespełna dwie godziny wykazała mu, i to wciąż za pomocą jego własnych argumentów, iż powinien być dla pana Valenod uprzejmniejszy niż kiedykolwiek, a nawet przyjąć z powrotem Elizę. Ciężko było pani de Rênal zdobyć się na to, aby znów ujrzeć przy sobie tę dziewczynę, sprawczynię całego nieszczęścia. Ale myśl ta pochodziła od Juliana.

Pod wpływem kilkakrotnych ostrożnych wzmianek żony pan de Rênal doszedł sam do myśli finansowo nader przykrej, iż najdotkliwszym dlań ciosem byłoby, gdyby Julian, wśród wzburzenia i plotek całego Verrières, został w miasteczku jako nauczyciel domowy pana Valenod. W oczywistym interesie Juliana leżało przyjąć propozycję dyrektora przytułku. Przeciwnie, honor pana de Rênal wymagał, aby Julian opuścił Verrières po to, by wstąpić do seminarium w Besançon albo Dijon. Ale jak skłonić go do tego, a potem skąd weźmie środki?

Pan de Rênal, widząc nad sobą ofiarę pieniężną, był bardziej zrozpaczony niż żona. Ona po tej rozmowie znajdowała się w położeniu desperata, który, zmęczony życiem, zażył dawkę szaleju; działa już, można powiedzieć, jedynie automatycznie, obojętny jest na wszystko. W takim stanie był Ludwik XIV, kiedy umierając powiedział: *g d y b y ł e m k r ó l e m*. Cudownie powiedziane!

Nazajutrz wczesnym rankiem pan de Rênal otrzymał nowy anonim, tym razem pisany stylem wysoce obelżywym. W każdym wierszu mieściły się najgrubsze aluzje do jego roli. Wyglądało to na dzieło jakiegoś zawistnika niskiej klasy. List ten obudził w nim na nowo myśl wyzwania pana Valenod. Niebawem myśl ta skryształizowała się wyraźnie; pan de Rênal wyszedł, udał się do rusznikarza po pistolety i kazał je nabić.

– Cóż – powtarzał sobie – gdyby nawet odżyła surowa administracja cesarza Napoleona, osobiście nie mam sobie do wyrzucenia ani jednego szeląga. Co najwyżej zamykałem oczy; ale mam w biurku nie lada listy uprawniające mnie do tego!

Zimna wściekłość męża przeraziła panią de Rênal; znów ją oblegać nieszczęsna myśl o wdowieństwie, którą z takim trudem zdołała odtrącić. Zamknęła się z mężem w gabinecie. Kilka godzin uspokajała go na próżno – ostatni anonim przebrał miarę. Wreszcie zdołała przeobrazić odwagę spoliczkowania pana Valenod na odwagę ofiarowania sześciuset franków Julianowi celem opłacenia rocznego pobytu w seminarium. Pan de Rênal, przeklinając po sto razy dzień, w którym powziął nieszczęsną ideę wzięcia preceptora, zapomniał o anonimie.

Pocieszała go trochę myśl, z której nie zwierzył się żonie: przy pewnej zręczności, wyzyskując romantyczne poglądy młodzieńca, spodziewał się, iż zdoła go skłonić tańszym kosztem do odrzucenia propozycji pana Valenod.

O wiele trudniej było pani de Rênal przekonać Juliana, iż wyrzekając się dla próżności męża korzystnej posady, może bez upokorzenia przyjąć kompensatę.

– Ależ – powtarzał Julian – nigdy ani przez chwilę nie miałem zamiaru przyjąć tej propozycji. Zanadto przyzwyczailiście mnie do wykwintu, gruboskórność tych ludzi zabiłaby mnie.

Okrutna konieczność ugięła swą żelazną ręką wolę Juliana. Duma podsuwała mu ten pozór, aby sumę ofiarowaną przez mera przyjąć jedynie jako pożyczkę i wystawić oblig uręczający za pięć lat zwrot jej z procentami.

Pani de Rênal wciąż miała jakieś kilka tysięcy franków ukryte w grocie. Ofiarowała mu je z drżeniem, aż nadto czując, iż odrzuci z gniewem tę ofiarę.

– Czy chcesz mi zohydzić pamięć naszej miłości?

Wreszcie Julian opuścił Verrières. Pan de Rênal był uszczęśliwiony. W obmierzłej chwili przyjmowania pieniędzy poświęcenie okazało się zbyt ciężkie dla Juliana. Odmówił stanowczo. Pan de Rênal rzucił mu się na szyję ze łzami w oczach. Kiedy Julian poprosił go o świadectwo, nie mógł w swym entuzjazmie znaleźć dość chlubnych wyrażen na jego pochwałę. Bohater nasz miał zaoszczędzonych pięć ludwików; o takąż sumę zamierzał prosić Fouquégo.

Był bardzo wzruszony. Ale o milę za Verrières, gdzie zostawił tyle miłości, myślał już tylko o szczęściu oglądania Besançon, stolicy, dużego warownego miasta.

W czasie krótkiej trzydniowej rozłąki pani de Rênal była pastwą jednej z najokrutniejszych złud miłości. Życie było jej znośne, między nią a ostatecznym nieszczęściem było jeszcze to oczekiwane ostatnie widzenie z Julianem. Liczyła godziny, minuty, które ją od niego dzieliły. Wreszcie trzeciego dnia w nocy usłyszała z daleka umówiony sygnał. Przebywszy tysiąc niebezpieczeństw, Julian stanął przed nią.

Od tej chwili miała już tylko jedną myśl: – widzę go po raz ostatni. – Zamiast odpowiadać na tkliwe wybuchy kochanka, była jak trup ledwie zdradzający resztki życia. Kiedy się zmuszała do tego, aby mu powtarzać, że go kocha, czyniła to jakby z przymusem, co zdawało się przeczyć jej słowom. Nic nie mogło jej oderwać od okrutnej myśli o wiekuistym rozłączeniu. Podejrzliwy Julian myślał przez chwilę, że już o nim zapomniała. Na cierpkie jego słowa odpowiedziały jedynie dwie łzy spływające w milczeniu oraz konwulsyjny niemal uścisk ręki.

– Ależ, na miły Bóg, jak chcesz, abym ci wierzył? – odpowiadał Julian na chłodne zakłęcia kochanki. – Sto razy więcej serca objawiałaś pani Derville, prostej znajomej.

Pani de Rênal, skamieniała, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Niepodobna więcej cierpieć... Mam nadzieję, że umrę... Czuję, że serce mi stygnie...

Więcej Julian nie zdołał z niej wydobyć.

Kiedy o świcie trzeba się było rozstać, łzy pani de Rênal ustały nagle zupełnie. Patrzała bez słowa, bez pieszczoty, jak Julian przywiązywał sznur do okna. Na próżno mówił:

– Przyszło nareszcie to, czego tak pragnęłaś. Odtąd będziesz mogła żyć bez wyrzutów. Za najmniejszym niedomaganiem dzieci nie będziesz ich widziała w grobie.

– Żał mi, że nie możesz uściskać Stasia – odparła chłodno.

Zimne uściski tego żyjącego trupa uczyniły na Julianie wstrząsające wrażenie; przez kilka mil nie mógł myśleć o niczym innym. Przejęty był do głębi; nim znikł za górami, dopóki mógł widzieć wieżę kościoła w Verrières, oglądał się często.

## XXIV. STOLICA

Ileż zgiełku, iluż krzątających się ludzi!  
Ileż marzeń o przyszłości w dwudziestoletniej głowie!  
Cóż za odtrutka dla miłości!  
B a r n a v e

Wreszcie ujrzał na odległej górze czarne mury: była to cytadela w Besançon. – Jakże by to było inaczej – pomyślał wzdychając – gdybym przybywał do tej wspaniałej fortecy jako podporucznik pułku walczącego w jej obronie!

Besançon jest nie tylko jednym z najładniejszych miast we Francji, obfituje prócz tego w tęgie i bystrych ludzi. Ale Julian był sobie prostym i ubogim chłopcem; nie miał zgoła sposobności zbliżyć się do wybitniejszych osób.

Pożyczył od Fouquégo zwykłego ubrania i w tym stroju przeszedł zwodzony most. Z głową nabitą oblężeniem z roku 1764, Julian pragnął zobaczyć, nim go zamkną w seminarium, szanice cytadeli. Parę razy omal go nie przytrzymała warta; wciskał się w miejsca, do których inżynieria wojskowa broni publiczności wstępu, aby sprzedać z nich corocznie za dwanaście lub piętnaście franków siana.

Oglądanie wysokich murów, głębokich fos, straszliwych armat zajęło mu kilka godzin, wreszcie znalazł się na bulwarze tuż przed wielką kawiarnią. Stał niemy z podziwu; próżno czytał słowo KAWIARNIA, wypisane wielkim pismem nad ogromnymi drzwiami, nie mógł uwierzyć oczom. Przemógł wreszcie lęklivość, odważył się wejść i znalazł się w sali długiej na trzydzieści lub czterdzieści kroków, a wysokiej co najmniej na dwadzieścia stóp. Tego dnia wszystko było dlań cudem.

Dwa bilardy były w ruchu; garsoni wykrzykiwali punkty, gracze uwijali się, otoczeni widzami. Obłoki dymu, wydobywające się z ust wszystkich obecnych, spowijały ich siną chmurą. Wysoka postawa mężczyzn, barczyste ramiona, ciężki chód, olbrzymie bokobrody, długie surduty, wszystko ściągało uwagę Juliana. Ci szlachetni potomkowie starożytnego Bizancjum mówili strasznie głośno i przybierali miny groźnych wojowników. Julian zmartwiał w podziw; myślał o ogromie i wspaniałości stolicy takiej jak Besançon. Nie śmiał poprosić o kawę jednego z wyniosłych panów, którzy wykrzykiwali punkty przy bilardzie.

Ale bufetowa zauważyła ładną twarzyczkę młodego prostaka, który przystanąwszy o trzy kroki od pieca, z małym tobołkiem pod pachą, przyglądał się gipsowemu biustowi monarchy.

Bufetowa, rosła dziewczyna, bardzo zgrabna i ubrana, jak się godzi reprezentantce przyzwoitej kawiarni, dwa razy już szepnęła stłumionym głosem, przeznaczonym dla ucha Juliana:

– Panie, panie!

Julian ujrzał duże niebieskie oczy patrzące bardzo tkliwie i zrozumiał, że do niego mówiono. Zbliżył się żywo do bufetu i do ładnej dziewczyny, jak gdyby szedł do nieprzyjaciela. Przy nagłym ruchu tobolek upadł mu na ziemię.

Ileż politowania wzbudzi nasz parafianin w studencikach paryskich, którzy w piętnastym roku umieją już wchodzić do kawiarni z tak wytworną miną! Ale ci chłopcy, tak dobrze ułożeni w piętnastym roku, w osiemnastym p o s p o l i c i e j ą. Kurczowa nieśmiałość, jaką spotyka się na prowincji, raz przezwyciężona, staje się szkołą woli. Zbliżając się do ślicznej dziewczyny, która raczyła doń zagadać, Julian zdławiwszy lęk stawał się odważny. Pomyślał:

– muszę jej powiedzieć prawdę.

– Pani – rzekł – jestem pierwszy raz w Besançon i chciałbym za zapłatą dostać bułkę i filiżankę kawy.

Panna uśmiechnęła się lekko i zarumieniła, bała się, aby ten ładny chłopiec nie ściągnął na siebie ironii i konceptów graczy. Spłoszony, nie pokazałby się więcej.

– Siądź pan tu, koło mnie – rzekła wskazując marmurowy stolik, prawie zupełnie zasłonięty olbrzymim mahoniowym bufetem, który zajmował część sali.

Wychyliła się z bufetu, co dało jej sposobność pokazania wspaniałej talii. Julian zauważył to; natychmiast myśli jego wzięły inny obrót. Piękna panna postawiła przed nim filiżankę, cukier i bułkę. Wahala się, czy ma zawołać o kawę rozumiejąc, że z nadejściem garsona sam na sam skończyłoby się.

Julian, zamyślony, porównywał tę wesołą i piękną blondynę z pewnymi wspomnieniami oblegającymi go uparcie. Świadomość uczucia, które zostawił za sobą, uczyniła go śmielszym. Piękna panna w lot zrozumiała spojrzenie Juliana.

– Ten dym przyprawia pana o kaszel, niech pan przyjdzie na śniadanie jutro przed ósmą, wówczas jestem prawie sama.

– Jak pani na imię? – spytał Julian z pieszczotliwym, uroczo nieśmiałym uśmiechem.

– Amanda Binet.

– Czy pozwoli pani, abym przesłał pani za godzinę paczkę, ot, taką jak ta?

Piękna Amanda zastanowiła się nieco.

– Pilnują mnie; to, o co mnie pan prosi, mogłoby mnie narazić, ale napiszę panu swój adres na kartce, którą pan przypnie do pakunku. Niech pan przyśle bez obawy.

– Nazywam się Julian Sorel – rzekł chłopiec – nie mam tu nikogo.

– A, rozumiem – rzekła wesoło – przybył pan do szkoły prawnej.

– Niestety, nie – odparł Julian – przysłano mnie do seminarium.

Głębokie rozczarowanie odbiło się na twarzy Amandy, zawołała garsona, już się przestała obawiać. Garson nie patrząc na Juliana nalał mu kawy.

Amanda odbierała przy bufecie pieniądze. Julian dumny był, że się ośmielił przemówić. Przy bilardzie wszczęła się kłótnia. Krzyki i wymyślenia graczy, rozlegające się w olbrzymiej sali, robiły hałas, który pochłonał uwagę Juliana. Amanda zamyśliła się i spuściła oczy.

– Jeżeli pani pozwoli – rzekł nagle śmiało – powiem, że jestem jej kuzynem.

Determinacja ta spodobała się Amandzie. – Zuch chłopak – pomyślała. Odparła szybko, nie patrząc nań i śledząc bacznie, czy się kto nie zbliża:

– Jestem z Genlis, koło Dijon, powiedz pan, że jesteś też z Genlis, krewny mojej matki.

– Nie zapomnę.

– Co czwartek o godzinie piątej seminarzyści przechodzą koło tej kawiarni.

– Jeżeli pani będzie o mnie myślała, proszę, kiedy będę przechodził, byś miała w ręku bukiecik fiołków.



Amanda spozrzała nań zdziwiona, spojrzenie to spotęgowało odwagę Juliana, mimo to zarumienił się mocno mówiąc:

– Czuję, że zakochałem się w pani na śmierć.

– Ciszej, na miłość boską! – rzekła przestraszona. Julian siłił się przypomnieć sobie frazesy z luźnego tomu *Nowej Heloizy*, który znalazł w Vergy. Pamięć posłużyła mu dobrze, dzień się minut recytował oczarowanej Amandzie *Nową Heloizę*; upojony był własną śmiałością, kiedy nagle piękna dziewczyna przybrała wyraz lodowaty. Któryś z jej kochanków zjawił się w drzwiach.

Zbliżył się do bufetu pogwizdując i wypinając pierś; spozrzał na Juliana. Natychmiast w wyobraźni chłopca, wciąż poruszającej się w krańcowych wyobrazeniach, błysła myśl pojedynku. Zbladł, odsunął filiżankę, przybrał minę bardzo pewną siebie i zaczął bystro wpatrywać się w rywala. Gdy ten pochylił się nad bufetem nalewając sobie poufale kieliszek wódki, Amanda spojrzeniem nakazała Julianowi, aby spuścił oczy. Usłuchał i przez dwie minuty trwał nieruchomo w miejscu, blady, gotów na wszystko, myśląc jedynie o tym, co się stanie; w tej chwili wyglądał w istocie chwacko. Wyraz oczu Juliana uderzył jego rywala, przełknął jednym haustem kieliszek wódki, rzucił parę słów Amandzie, wsadził ręce w kieszenie obszernego surduta, po czym odszedł do bilardu gwizdząc i patrząc w stronę Juliana. Julian, podrażniony, wstał; ale nie wiedział, co zrobić, aby się zachować wyzywająco. Położył tobolek, po czym rozmyślnie niedbałym krokiem zbliżył się do bilardu.

Próżno rozsądek mówił mu, że pojedynek na samym wstępie położyłby koniec jego duchownej kariery.

– Mniejsza! Nie powie nikt, że pozwolił sobie ubliżyć.

Amandę ujęła jego odwaga, stanowiąca uroczy kontrast z nieśmiałością chłopca; w jednej chwili pobił w jej oczach surdutowego dryblasa. Wstała i udając, iż zauważyła kogoś przechodzącego ulicą, zagroziła drogę Julianowi:

– Nie waż się szukać zwady z tym panem. To mój szwagier.

– Wszystko jedno. Przyglądał mi się.

– Chcesz mego nieszczęścia? Oczywiście, przyglądał ci się, może cię nawet zagadnie. Powiedziała mu, że jesteś krewny mojej matki i że przybywasz z Genlis. On jest z Franche-Comté i nigdy nie wyściubił nosa poza Dôle; możesz mówić, co ci się podoba, nie lękaj się o nic.

Julian wahał się jeszcze; ona kłamała szybko dalej, z zawodową wprawą bufetowej:

– Oczywiście przyglądał ci się, bo właśnie w tej chwili mnie pytał, kto ty jesteś; on już jest taki poufały ze wszystkimi, nie chciał cię obrazić.

Oko Juliana pobiegło w stronę mniemanego szwagra, właśnie obstawiał numer przy drugim bilardzie. Julian usłyszał, jak krzyknął grzmiącym głosem: *T u p i e n i ą d z e !* Wyminał szybko Amandę i poszedł do bilardu. Amanda chwyciła go za ramię.

– Zapłać pan najpierw – rzekła.

– Słusznie – pomyślał Julian – boi się, abym nie wyszedł bez zapłacenia. – Amanda była równie zmieszana jak on i bardzo czerwona, wydała mu resztę, jak mogła najwolniej, równocześnie mówiąc cicho:

– Wyjdź natychmiast z kawiarni albo cię nie chcę znać, a chciałabym bardzo...

Julian wyszedł, ale z wolna. – Czy nie jest moim obowiązkiem – powtarzał sobie – abym teraz ja przyjrzał się temu brutalowi? – W tej niepewności stał godzinę na ulicy przed kawiarnią; czekał, czy rywal nie przyjdzie. Nie zjawił się, Julian odszedł wreszcie.

Bawił w Besançon dopiero od kilku godzin, a już napytał się zgryzoty. Stary chirurg udzielił mu niegdyś, mimo swej podagry, paru lekcji fechtunku; oto cała umiejętność, jaką Julian miał w paroksyzmie swego gniewu na podorędziu. Ale kłopot ten byłby niczym, gdyby Julian wiedział, w jaki sposób wyrazić swoje niezadowolenie inaczej niż policzkując prze-

ciwnika; otóż gdyby przyszło do walki ręcznej, rywal jego, olbrzymi dryblas, poturbowałby go i odszedł spokojnie.

– Dla takiego nieboraka jak ja – myślał Julian – bez stosunków i bez pieniędzy, niewielka będzie różnica między seminarium a więzieniem; trzeba mi złożyć świecką odzież w jakiej gospodarze, gdzie przebiorę się na czarno. Jeśli mi się uda kiedy wyrwać na kilka godzin, będę mógł przebrać się znowu i odwiedzić Amandę.

Rozmowanie było bardzo piękne, ale Julian mijał jedną gospodę po drugiej nie śmiejąc wejść.

Wreszcie, kiedy przechodził pod Hotelem Ambasadorów, niespokojne jego oczy spotkały się z oczami zażywej kobiety, dość młodej jeszcze, rumianej, o wesołej i życzliwej twarzy. Zbliżył się i zwierzył ze swego kłopotu.

– Oczywiście, mój śliczny księżuniu – odparła gospodyni – przechowam twoje suknie, nawet przetrzępię je od czasu do czasu. W tej porze niedobrze jest zostawić sukienne ubranie nie ruszając go po trosze.

Wzięła klucz i zaprowadziła go sama do pokoju polecając spisać na kartce, co zostawia.

– Boże drogi, ależ panu do twarzy w tym stroju, księżu Sorel – rzekła pulchna kobieta, kiedy Julian zeszedł do kuchni. – Zaraz panu przygotuję smaczny obiadek; i – dodała ciszej – będzie pana kosztował tylko dwadzieścia su, a nie pięćdziesiąt, jak wszyscy płacą! Trzeba oszczędzać pańską sakiewkę.

– Mam dziesięć ludwików – rzekł Julian z niejaką dumą.

– Och, dobry Boże! – zawołała pocziwa gospodyni z przestraszeniem. – Niech pan nie mówi tak głośno, dosyć jest nicponiów w Besançon. Ukradną to panu, ani się obejrzyysz. Zwłaszcza nie zachodź nigdy do kawiarni, aż się tam roi od hultajów.

– A, tak? – rzekł Julian, któremu te słowa dały do myślenia.

– Przychodź pan tylko do mnie: sama zrobię panu kawę. Pamiętaj, że zawsze znajdziesz tu życzliwe serce i dobry obiad za franka: to się nazywa chyba uczciwie mówić. A teraz do stołu, obsłużę pana sama.

– Nie mógłbym jeść – rzekł Julian – nadto jestem wzruszony: prosto stąd mam iść do seminarium.

Przed odejściem pocziwa kobieta wypchała mu kieszenie przysmakami. Wreszcie Julian puścił się w stronę straszliwego przybytku. Gospodyni stojąc w drzwiach wskazywała mu drogę.

## XXV. W SEMINARIUM

Trzysta trzydzieści sześć obiadów  
po 85 centymów, trzysta trzydzieści  
sześć kolacji po 38 centymów,  
czekolada dla uprzywilejowanych;  
ile można zyskać na dostawie?  
V a l e n o d z B e s a n ç o n

Z dala ujrzał żelazny złożony krzyż na drzwiach, zbliżył się wolno, nogi ugiwały się pod nim. – Oto więc owo piekło, z którego nie zdołam się wyrwać! – Wreszcie zdobył się na to, aby zadzwonić. Odgłos dzwonu rozległ się jak w pustkowiu. Po dziesięciu minutach błąd, czarno ubrany człowiek przyszedł otworzyć. Julian spojrzął nań i natychmiast spuścił oczy. Odźwierny ów miał osobliwą fizjonomię. Zielone i wypukłe źrenice były okrągłe jak u kota; nieruchome powieki zdradzały absolutną obojętność; z wąskich w półrozwartych warg sterczały zęby. Mimo to fizjonomia ta nie zwiastowała zbrodni, raczej ową doskonałą beczułość, która o wiele więcej budzi grozy w młodym sercu. Jedynym uczuciem, jakie bystre spojrzenie Juliana zdołało odgadnąć na zwiędłej twarzy bigota, była głęboka wżgarda dla wszystkiego, co nie tyczy spraw nieba.

Julian podniósł z wysiłkiem oczy i głosem drżącym ze wzruszenia oznajmił, że chciałby się widzieć z księdzem Pirard, rektorem seminarium. Bez słowa człowiek w czerni dał mu znak, aby szedł za nim. Weszli na drugie piętro szerokimi schodami z drewnianą poręczą. Dalej od muru stopnie przechylały się mocno i zdawały się grozić zawaleniem. Małe drzwiczki, nad którymi widniał wielki cmentarny krzyż z prostego drzewa pomalowany na czarno, otworzyły się z trudnością. Odźwierny wpuścił chłopca do niskiego i ciemnego pokoju, którego ściany, bielone wapnem, strojne były dwoma wielkimi obrazami szerniałymi od starości. Tam zostawił Juliana samego; chłopiec był w półżywy, serce biło mu jak młotem, czułby się szczęśliwy, gdyby się odważył płakać. Grobowa cisza panowała w całym domu.

Po kwadransie, który wydał się chłopcu dniem, odźwierny o złowróżbnej twarzy ukazał się w progu i nie racząc przemówić skinął ręką. Julian wszedł do większego jeszcze niż poprzedni i bardzo lichy oświetlonego pokoju. Ściany były również bielone, ale nie było żadnych mebli. Jedynie w rogu koło drzwi Julian ujrzał proste drewniane łóżko, dwa wyplatane krzesła i sosnowy nie wyściełany fotel. W drugim końcu pokoju, przy okienku z pożółkłymi szybami, przybranym paroma niechlujnie utrzymanymi doniczkami, spostrzegł siedzącego przy stole

człowieka w zniszczonej sutannie. Wyglądał zagniewany; brał jedną po drugiej kwadratowe kartki i skreśliwszy po kilka słów układał je na stole. Nie zauważył obecności Juliana. Chłopiec stał nieruchomo na środku, gdzie go zostawił odźwierny, który wyszedł zamykając drzwi.

Dziesięć minut upłynęło w ten sposób; człowiek w zniszczonej sutannie wciąż pisał. Wzruszenie i groza Juliana doszły do tego nasilenia, że zdawało mu się, iż padnie. Filozof powiedziałby, może błędnie, że było to gwałtowne działanie szpetoty na duszę stworzoną do piękna.

W końcu piszący podniósł głowę, Julian spostrzegł to dopiero po chwili, a i wówczas stał dalej nieruchomo, jak gdyby śmiertelnie rażony straszliwym spojrzeniem. Zmętnięte oczy Juliana ledwie rozróżniały twarz podłużną i pokrytą czerwonymi plamami, z wyjątkiem czoła, które było trupio blade. Między czerwonymi policzkami a białym czołem błyszczała para małych czarnych oczu, zdolnych przestraszyć najodważniejszego. Szerokie kontury czoła określone były gęstymi, gładko uczesanymi i czarnymi jak heban włosami.

– Zbliżysz się nareszcie? – rzekł w końcu niecierpliwie.

Julian podszedł niepewnym krokiem; wreszcie, chwiejąc się, blady jak jeszcze nigdy w życiu, zatrzymał się o trzy kroki od prostego drewnianego stołu pokrytego kartkami papieru.

– Bliżej – rzekł ksiądz.

Julian postąpił jeszcze wyciągając rękę i bezwiednie szukając oparcia.

– Nazwisko?

– Julian Sorel.

– Spóźniłeś się bardzo – rzekł ksiądz mierzając go ponownie strasznymi oczyma.

Julian nie mógł znieść tego spojrzenia, wyciągnął rękę, jak gdyby chcąc się oprzeć o coś, i runął jak długi na podłogę.

Ksiądz zadzwonił. Julian nie stracił przytomności; nie widział tylko nic i nie mógł się poruszać; ale słyszał kroki.

Podniesiono go, posadzono na fotelu. Usłyszał jak straszny człowiek mówi do odźwiernego:

– Widać ma wielką chorobę; tego nam jeszcze brakowało.

Skoro Julian zdołał otworzyć oczy, człowiek o czerwonej twarzy znowu pisał, odźwierny znikł. – Trzeba być mężnym – rzekł sobie nasz bohater – a zwłaszcza kryć to, co się czuje. (Doznawał gwałtownego bólu w sercu.) Jeśli dostanę ataku, Bóg wie, co o mnie pomyśla.

Wreszcie ksiądz przestał pisać i rzekł patrząc spod oka na Juliana.

– Możesz odpowiadać?

– Tak, ojciec – rzekł Julian słabym głosem.

– No, to wielce szczęśliwie.

Człowiek w czerni podniósł się nieco szukając z niecierpliwością jakiegoś listu w szufladzie, która zaskrzypiała przy otwieraniu. Znalazł, usiadł z wolna i rzekł patrząc znowu na Juliana z miną odbierającą chłopcu resztkę życia:

– Poleca cię ksiądz Chélan, najlepszy proboszcz w diecezji, najzacniejszy człowiek pod słońcem i mój przyjaciel od trzydziestu lat.

– A więc to z księdzem Pirard mam zaszczyt mówić – rzekł Julian zamierającym głosem.

– Prawdopodobnie – odparł dyrektor seminarium patrząc nań zgryźliwie.

Małe oczki zaiskrzyły się zdwojonym blaskiem, któremu towarzyszył mimowolny skurcz w kątach ust. Była to fizjonomia tygrysa smakującego zawczasu rozkosz pożarcia ofiary.

– List krótki – rzeki jakby sam do siebie. – *Intelligenti pauca*; w dzisiejszych czasach im mniej się pisze, tym lepiej. – Czytał głośno:

*Polecam Ci Juliana Sorel, z mojej parafii, którego ochrzciłem niespełna przed dwudziestu laty; ojciec jest bogatym cieślą, ale mu nic nie daje. Julian będzie wybitnym pracownikiem w*

winnicy Pańskiej. Pamięć i inteligencja niepospolite; umie poważnie myśleć. Czy jego powołanie będzie trwało? Czy jest szczere?

– S z c z e r e ! – powtórzył ksiądz Pirard zdziwiony, patrząc na Juliana, ale już łagodniej – s z c z e r e ! – powtórzył ciszej, podejmując czytanie.

*Zechciej przyjąć Juliana Sorel jako stypendystę, poddawszy go egzaminom. Obznajmiłem go nieco z teologią, z ową dawną, dobrą teologią – Bossuet, Arnauld, Fleury. Jeśli chłopiec Ci się nie nada, odeślij mi go; dyrektor przytułku, którego znasz, ofiarowuje mu osiemset franków za miejsce preceptora. Ja jestem spokojny, dzięki Bogu. Przyzwyczajam się do straszliwego ciosu. Vale et me ama.*

Ksiądz Pirard, zwalniając głos przy czytaniu podpisu wymówił z westchnieniem słowo C h é l a n.

– Spokojny jest – rzekł – w istocie, cnota jego zasługiwała na tę nagrodę; oby Bóg mógł mi jej użyzyć, gdy przyjdzie pora! – Podniósł oczy ku niebu i uczynił znak krzyża. Na widok tego świętego znaku Julian uczuł, iż groza, która od chwili wejścia do tego domu ścięła go lodem, zaczyna ustępować.

– Mam tu trzystu dwudziestu jeden aspirantów do najświętszego stanu – rzekł wreszcie ksiądz Pirard tonem surowym, lecz nie gniewnym – siedmiu lub ośmiu zaledwie posiada rekomendację ludzi takich jak ksiądz Chélan; tak więc na trzystu dwudziestu jeden będziesz dziewiąty. Ale względy moje nie są łaską ani słabością, jest to zdwojenie baczności i surowości w razie przewinień. Zamknij drzwi na klucz.

Julian uczynił wysiłek, aby nie upaść. Zauważył, że okienko w pobliżu drzwi wychodzi na pola. Popatrzył na drzewa; widok ten orzeźwił go, jak gdyby ujrzał starych przyjaciół.

– *Loquerisne linguam latinam?* (Czy mówisz po łacinie?) – rzekł ksiądz Pirard, kiedy Julian wrócił.

– *Ita, pater optime* (Tak, najlepszy ojciec) – odparł Julian przychodząc nieco do siebie. To pewna, iż od pół godziny żaden człowiek w świecie nie wydawał mu się mniej n a j l e p s z y, niż ksiądz Pirard.

Rozmowa potoczyła się po łacinie. Wzrok księdza złagodniał, Julian odzyskał nieco zimnej krwi. – Jakież ja jestem słaby – myślał – że daję się wziąć na te pozory świętości! Człowiek ten okaże się po prostu frantem jak ksiądz Maslon. – I Julian rad był z siebie, że prawie wszystkie pieniądze ukrył w butach.

Ksiądz Pirard wziął Juliana na egzamin z teologii i zdumiał się jego wiedzą. Zdziwienie jego wzrosło, kiedy przeszedł do szczegółowych pytań z Pisma świętego. Ale kiedy przyszło do ojców Kościoła, okazało się, że Julian nie zna nawet imion świętego Hieronima, Augustyna, Bonawentury, Bazylego etc.

– Tak, tak – pomyślał ksiądz Pirard – wciąż ta nieszczęsna skłonność do protestantyzmu, którą zawsze wyrzucałem Chélanowi. Głęboka, zanadto głęboka znajomość Pisma...

(W tej chwili Julian nie czekając na pytania zaczął rozprawiać o p r a w d z i w e j epoce powstania Genesis, Pięcioksięgu etc.)

– Do czego wiedzie to wieczne roztrząsanie Pisma świętego -myślał ksiądz Pirard – jeżeli nie do s a m o i s t n e j o c e n y, to znaczy najokropniejszego protestantyzmu? A obok tej niebezpiecznej wiedzy nic o ojcach, którzy mogliby przeciwważyć tę skłonność.

Ale zdziwienie dyrektora seminarium nie miało granic, kiedy zagadnął Juliana w kwestii autorytetu papieża. Spodziewał się spotkać z zasadami starego gallikańskiego Kościoła, tymczasem chłopiec wyrecytował mu całą książkę pana de Maistre.

– Osobliwy człowiek ten Chélan – pomyślał ksiądz Pirard – czy dał mu tę książkę po to, aby nauczyć go z niej drwić?

Próżno brał Juliana na spytki siłąc się odgadnąć, czy serio wierzy w zasady pana de Maistre. Chłopiec odpowiadał jedynie mechanicznie. W tej chwili Julian zachowywał się zupełnie dobrze, czuł, że panuje nad sobą. Po bardzo długim egzaminie miał wrażenie, że srogość księdza Pirard jest już tylko przybrana. W istocie, gdyby nie surowe zasady, jakie od lat piętnastu nałożył sobie wobec uczniów, dyrektor uściskałby Juliana w imię logiki, tak odpowiedzi jego wydały mu się bystre, ściśle i jasne.

– Umysł zdrowy i śmiały – pomyślał – ale *corpus debile* (ciało słabe).

– Często padasz w ten sposób? – rzekł do Juliana wskazując na podłogę.

– Pierwszy raz w życiu, fizjonomia odźwiernego tak mnie zmroziła – odparł Julian rumieniąc się jak dziecko.

Ksiądz Pirard niemal że się uśmiechnął.

– Oto skutek próżności świata! Przyzwyczaiłeś się widać do uśmiechniętych twarzy, zwierciadeł kłamstwa. Prawda jest surowa, młodzieńcze. A nasze zadanie na tym padole czy nie jest surowe? Trzeba się mieć na straży przed tą słabością: z a w i e l e w r a ż l i w o ś c i n a c z z e p o z o r y.

– Gdyby mi cię nie polecono – dodał ksiądz Pirard wracając z widoczną przyjemnością do łaciny – gdyby mi cię nie polecił taki człowiek jak ksiądz Chélan, mówiłbym do ciebie pustym językiem tego świata, do którego, jak się zdaje, zbyt jesteś przyzwyczajony. Całkowite zwolnienie od opłaty, o które się ubiegasz, powiedziałbym ci, jest rzeczą niezmiernie trudną. Ale smutne by było, gdyby ksiądz Chélan po pięćdziesięciu sześciu latach pracy apostolskiej nie rozporządzał jednym wolnym miejscem w seminarium.

Po tych słowach ksiądz Pirard zalecił Julianowi, aby nie wstępował do żadnego tajnego towarzystwa ani do kongregacji bez jego zezwolenia.

– Ręczę honorem – rzekł Julian z zapalem uczciwego człowieka.

Dyrektor seminarium pierwszy raz się uśmiechnął.

– To słowo jest tu nie na miejscu – rzekł – zanadto przypomina czczy honor światowych ludzi, który ich wiedzie do tyłu błędów, a często i zbrodni. Winien mi jesteś posłuszeństwo na podstawie siedemnastego paragrafu bulli *Unam Ecclesiam* świętego Piusa V. Jestem twoim duchownym przełożonym. W tym domu, mój ukochany synu, u s ł y s z e ć z n a c z y u s ł u c h a ć. Ile masz pieniędzy?

(Aha – pomyślał Julian – to dlatego był ów u k o c h a n y s y n).

– Trzydzieści pięć franków, ojcze.

– Zapisuj skrzętnie użytek tych pieniędzy, będziesz mi zdawał zeń sprawę.

Ta męcząca rozmowa trwała trzy godziny. Julian zawołał odźwiernego.

– Zaprowadź Juliana Sorel do celi numer sto trzy – rzekł ksiądz Pirard.

Przez szczególne wyróżnienie przeznaczono Julianowi oddzielne mieszkanie.

– Zanieś tam jego walizę – dodał.

Julian spuścił oczy i ujrzał swoją walizę tuż przed sobą; patrzył na nią od trzech godzin i nie poznał jej.

Znalazłszy się w numerze 103, izdebce o powierzchni ośmiu stóp kwadratowych, na najwyższym piętrze, Julian zauważył, że okno wychodzi na wały, poprzez które widać było ładną równinę między rzeką a miastem.

– Cóż za uroczy widok! – wykrzyknął Julian bezwiednie i jakby nie rozumiejąc znaczenia słów. Wzruszenia, jakie przeszedł od kilku godzin w Besançon, wyczerpały jego siły. Usiadł koło okna na jedynym drewnianym krześle, jakie było w celi, i zapadł w głęboki sen. Nie słyszał dzwonu na wieczerzę ani na modlitwę; zapomniano o nim.

Kiedy pierwsze promienie słońca obudziły go nazajutrz rano, Julian leżał wyciągnięty na podłodze.

## XXVI. ŚWIAT ALBO CZEGO BRAKUJE BOGACZOM

Jestem sam na ziemi, nikt nie raczy  
myśleć o mnie. Wszyscy, co dochodzą  
do czegoś, posiadają bezczelność lub twardość,  
do których nie czuję się zdolnym.  
Nienawidzą mnie dla mej dobroduszości.  
Och, niebawem umrę bądź z głodu, bądź ze zgryzoty,  
iż ludzie są tak twardzi!  
Y o u n g

Czym prędzej oczyścił suknie i zszedł na dół; spóźnił się. Zastępca nauczyciela połajał go surowo; miał się usprawiedliwiać Julian skrzyżował ręce na piersi:

– *Peccavi, pater optime* (zgrzeszyłem, wyznaję mą winę, ojczy) – rzekł skruszonym głosem.

Ten pierwszy występ zyskał uznanie. Sprytniejsi uczniowie odgadli, że mają do czynienia z kimś, komu arkana rzemiosła nie są obce. Skoro nadeszła pora rekreacji, Julian uczuł, że jest przedmiotem powszechnej ciekawości; ale odpowiedział na nią wstrzemięźliwością i milczeniem. Zgodnie z zasadami, jakie sobie stworzył, patrzył na swoich trzystu dwudziestu jeden kolegów jako na wrogów; najniebezpieczniejszym zaś ze wszystkich był w jego oczach ksiądz Pirard.

Wkrótce potem przyszło Julianowi wybrać spowiednika; wręczono mu listę.

– Ech, Boże! Za kogo mnie oni mają – rzekł sobie w duchu – czy myślą, żem ja fryc? – I wybrał księdza Pirard.

Nie wiedział nawet, jak bardzo ten krok był doniosły. Młodziutki seminarzysta rodem z Verrières, który od początku garnał się do Juliana, pouczył go, iż roztropniej było może wybrać wicedyrektora księdza Castanède.

– Ksiądz Castanède jest wrogiem księdza Pirard, którego podejrzewa o jansenizm – dodał nachylając się do ucha Juliana.

Pierwsze kroki naszego bohatera, który tak wiele mniemał o swej przebiegłości, były wszystkie, jak wybór spowiednika, omyłką. Zaślepiiony wyobraźnią brał w swoim rozumieniu intencje za czyny i sądził, że jest skończonym hipokrytą. W szaleństwie swym dochodził do tego, że wyrzucał sobie nadmierną doskonałość w obłudzie, tej sztuce ludzi słabych.

– Niestety, to moja jedyna broń! W innej epoce – mówił sobie – z a r a b i a ł b y m n a c h l e b w y m o w ą c z y n ó w w o b l i c z u n i e p r z y j a c i e l a .

Julian, rad ze swego postępowania, rozglądał się dokoła; wszędzie znajdował pozory najsurowszej cnoty.

Jakiś dziesiątek seminarzystów żył w aureoli świętości, miewali widzenia jak święta Teresa i święty Franciszek, wówczas gdy wystąpiły u niego stygmaty na górze Vernia, w Apeninach. Ale to była wielka tajemnica, którą ich przyjaciele ukrywali. Ci biedni młodzi wizjonerzy byli prawie zawsze w infirmerii. Setka innych łączyła z niezłomną wiarą niestrudzoną pilność. Zapracowywali się aż do choroby, bez wielkich rezultatów. Paru wyróżniało się istotnymi zdolnościami, między innymi niejaki Chazel; ale Julian czuł do nich odrazę, i wzajemnie.

Reszta seminarzystów to byli nieokrzesani chłopcy kujący łacińskie wyrazy, których ledwie rozumieli znaczenie. Prawie wszystko chłopscy synowie, którzy woleli zarabiać na chleb lichą łaciną niż pracą na roli. Na podstawie tych spostrzeżeń Julian od pierwszych dni oddał się nadziei rychłych triumfów. – W każdej służbie trzeba ludzi inteligentnych – powiadał sobie – ostatecznie ktoś musi coś robić. Pod Napoleonem byłbym sierżantem; między tymi przyszłymi proboszczami będę wielkim wikariuszem.

– Wszyscy ci nieboracy – myślał dalej – od dzieciństwa chodzący w kieracie, żyli aż do przybycia tutaj zsiadłym mlekiem i czarnym chlebem. W domu jadali mięso ledwo kilka razy na rok. Podobni żołnierzom rzymskim, którym wojna zdawała się odpoczynkiem, ci nieokrzesani chlōpi oczarowani są rozkoszami seminarium.

W tępych ich oczach Julian czytał zawsze zwierzęce zaspokojenie po obiedzie, a oczekiwanie przed obiadem. Oto ludzie, wśród których trzeba mu się wybić! Ale czego Julian nie wiedział, czego nie zdradzono przed nim, to że być pierwszym we wszelkich kursach dogmatyki, historii kościelnej etc. było w ich oczach jedynie grzeszną pychą. Od czasu Woltera, od czasu rządu dwu Izb, będącego w gruncie jedynie n i e u f n o ś c i ą i o s o b i s t y m dociekaniem, co zaszczepia w sercach ludów zły nałóg nieufności, Kościół we Francji rozumiał pono, że książki są jego prawdziwym wrogiem. Pokora serca jest wszystkim w jego oczach. Triumfy w naukach, nawet duchownych, są mu podejrzane, i słusznie. Któż przeszkodzi wybitnej inteligencji przejść do przeciwnego obozu, jak Sieyès albo Grégoire? Wystraszony Kościół czepia się papieża jako jedynej deski zbawienia. Jeden papież może się pokusić o sparaliżowanie ducha krytyki i za pomocą wspaniałych ceremonii swego dworu usypia znudzone i chore dusze światowców.

Na wpół przenikając te prawdy, którym wszelako każde słowo w seminarium sili się przeczyć, Julian popadł w głęboką melancholię. Pracował wiele, starając się szybko nauczyć rzeczy użytecznych dla księdza, a fałszywych i bezwartościowych w jego własnych oczach. Sądził, że to jest wszystko, co ma do roboty.

– Czyżby już wszyscy o mnie zapomnieli? – myślał. Nie wiedział, że ksiądz Pirard otrzymał i rzucił w ogień kilka listów z pieczętką z Dijon, w których mimo nienagannej formy przebijała namiętna miłość, walcząca widocznie z ciężkimi wyrzutami. – Tym lepiej – pomyślał ksiądz Pirard – przynajmniej kobieta, którą kochał ów młody człowiek, nie jest bezbożnicą.

Jednego dnia dostał się w ręce księdza Pirard list wpółzatarty łzami: było to wiekuiste pożegnanie.

*Wreszcie – pisała ta osoba do Juliana – niebo pozwoliło mi w swojej łasce zniechęcić, nie sprawcę mej winy, on będzie dla mnie zawsze najdroższą istotą, ale samą winę. Ofiara spełniona, drogi mój. Jak widzisz, nie przyszło mi to bez łez. Dobro istot, wobec których mam obowiązki, istot, które Ty tak kochałeś, przeważało. Bóg sprawiedliwy, lecz straszny, nie będzie mścił się na nich za zbrodnię matki. Żegnaj, Julianie, bądź sprawiedliwy dla ludzi.*



Koniec był ledwie czytelny; pisząca przesyła Julianowi adres w Dijon, mimo iż spodziewa się, że Julian nigdy nie odpowie lub też odpowie w słowach, które kobieta odrodzona dla cnoty będzie mogła czytać bez rumieńca.

Melancholia Juliana, złączona z lichym pożywieniem, jakiego dostarczał przedsiębiorca obiadów po 85 centymów, zaczęła podkopywać jego zdrowie, kiedy jednego rana Fouqué zjawił się nagle w pokoju.

– Wreszcie mnie wpuścili. Byłem, nie wymawiając, pięć razy w Besançon, aby cię zobaczyć. Ani dudu. Posadziłem kogoś na czatach u bramy: czemuż ty, u kaduka, nigdy nie wychodzisz?

– Nałożyłem sobie próbę.

– Bardzoś zmieniony. Ostatecznie rad jestem, że cię widzę. Dwa nadobne talary przekonały mnie, że jestem głupiec, iżem ich nie ofiarował za pierwszą wizytą.

Gawęda przeciągała się w nieskończoność. Naraz Julian zmienił się na twarzy, kiedy Fouqué powiedział:

– Ale, ale, czy wiesz? Matka twoich wychowanków popadła w ostateczną dewocję.

Mówił to swobodnym tonem, który sprawia tak osobliwe wrażenie na duszy owładniętej namiętnością, kiedy ktoś potrafi nieświadomie jej najdroższe uczucia.

– Tak, mój drogi, w dewocję najcięższego kalibru. Powiadają, że odbywa pielgrzymki. Ale na wieki wstyd księdza Maslon, który tak długo szpiegował biednego księdza Chélan, pani de Rênal odprawiła go z kwitkiem. Spowiada się w Dijon albo w Besançon.

– Bywa w Besançon! – zawołał Julian oblewając się pąsem.

– Dość często – odparł Fouqué zdziwiony.

– Masz przy sobie *Constitutionnel*?

– Co? – odparł Fouqué.

– Pytam, czy masz *Constitutionnel*? – powtórzył Julian najspokojniej w świecie. – Sprzedają go tu po trzydzieści su za numer.

– Jak to! liberalizm nawet w seminarium! – wykrzyknął Fouqué. – Biedna Francja! – dodał przybierając oblesny i słodkawy głos księdza Maslon.

Odwiedziny te sprawiłyby na naszym bohaterze głębokie wrażenie, gdyby zaraz nazajutrz odezwanie się owego młodzieńczego seminarzysty z Verrières, który zdawał się Julianowi takim dzieckiem, nie otwarło mu oczu na ważne odkrycie. Od przybycia do seminarium postępowanie Juliana było jedynie szeregiem fałszywych kroków. Zaśmiał się z goryczą z samego siebie.

W istocie, w ważnych sprawach życia umiał się pokierować zręcznie, ale nie dość dbał o szczegóły; wygi zaś seminaryjne patrzą tylko na szczegóły. Toteż już miał u kolegów opinię niedowiarka. Zdradzało go mnóstwo drobiazgow.

W ich oczach posiadał najoczywiściej tę olbrzymią przywarę, że m y ś l a ł, s ą d z i ł samodzielnie zamiast iść ślepo za autorytetem i przykładem. Ksiądz Pirard nie był mu żadną pomocą; nie odezwał się doń ani razu poza konfesjonalem, gdzie też na ogół więcej słuchał, niż mówił. Byłoby zgoła inaczej, gdyby wybrał księdza Castanède.

Odkąd Julian rozumiał własną nieopatrzność, nie zaznał ani chwili nudów. Zapragnął poznać całą rozciągłość złego; w tym celu wyszedł nieco z wyniosłego i upartego milczenia, jakim odtrącał kolegów. Wówczas zemszczono się na nim. Pojedyncze jego kroki przyjęto ze wzgardą i szyderstwem. Poznał, że od chwili wstąpienia do seminarium nie było ani godziny, zwłaszcza podczas rekreacji, która by nie pociągnęła dodatnich lub ujemnych konsekwencji; która by nie pomnożyła liczby jego wrogów lub nie zjednała mu życzliwości jakiegoś szczerze cnotliwego lub mniej gruboskórnego seminarzysty. Naprawić zło, które już się stało, było niezmiernie trudno. Odtąd Julian miał się bez ustanku na baczności; chodziło o to, aby się dać poznać w zupełnie nowym charakterze.

Gra oczu, na przykład, sprawiała mu wiele kłopotu. Nie bez racji w seminarium mają je wszyscy spuszczone. – Jakież ja byłem zarozumiały w Verrières – powiadał sobie Julian – myśląc, że znam życie! Ja się dopiero przygotowywałem. Oto wreszcie znalazłem się w świecie takim, z jakim będę miał do czynienia do końca mej roli, otoczony prawdziwymi wrogami! Cóż to za piekielnie trudna rzecz – dodawał – ta hipokryzja o każdej minucie; zaiste, błędną przy tym pracę Herkulesa. Herkules naszych czasów to Sykstus V, oszukujący przez piętnaście lat skromnością swoją czterdziestu kardynałów, którzy znali go porywczym i dumnym za młodu.

– Nauka jest tu więc niczym! – powiadał sobie z goryczą. – Postępy w dogmatyce, w historii kościelnej znaczą coś tylko na pozór. Wszystko, co mówią na ten temat, to jedynie potrzask, w który łapie się dudków takich jak ja! Ha! Cała moja wartość zasadza się na szybkich postępach, na zdolności przyswajania sobie tych banialuków. Czyżby w gruncie szacowali te rzeczy tyle, ile są warte? Czy sądzą o nich tak jak ja? A ja byłem na tyle głupi, aby się pysznić swą wiedzą! Owe pierwsze stopnie, które ciągle zdobywam, posłużyły mi tylko na to, aby mi stworzyć zajadłych wrogów. Chazel, który umie więcej ode mnie, wsunie zawsze w swoje zadanie jakiś gruby błąd, spychający go na pięćdziesiąte miejsce; jeśli czasem zdobędzie pierwsze, to przez roztargnienie. Och, jakąż byłoby mi pomocą jedno jedyne słowo księdza Pirard!

Z chwilą gdy Julian poznał swój błąd, długie ćwiczenia w ascezie, jak również pięć razy dziennie kantyczki do Serca Jezusowego etc., przedtem tak śmiertelnie nudne, stały się dlań najbardziej zajmującymi aktami życia. Zastanawiając się surowo nad sobą, starając się zwłaszcza nie przeceniać własnych środków, Julian nie silił się, jak owi wzorowi seminarzyści, wspinać się do wyżyn chrześcijańskiej doskonałości. W seminarium jest sposób jedzenia jajka, który świadczy o szczeblu osiągniętym w hierarchii pobożności.

Czytelnik, który uśmiecha się może w tym miejscu, zechce sobie przypomnieć wszystkie błędy, jakich dopuścił się jedząc jajko ksiądz Delille, zaproszony na śniadanie do pewnej wielkiej damy na dworze Ludwika XVI.

Julian starał się zrazu dojść do *non culpa*, to znaczy do stanu młodego seminarzysty, którego chód, sposób poruszania oczami, rękami nie zdradzają wprawdzie światowości, ale nie wskazują jeszcze istoty pochłoniętej myślą o drugim życiu i o zupełnej nicości tego świata.

Bez ustanku spotykał Julian takie zdanie wypisane węglem na ścianach: „Cóż znaczy sześćdziesiąt lat próby w porównaniu z wiecznością rozkoszy lub z wiecznością wrzącej oliwy w piekle!” Nie lekceważył ich już; zrozumiał, że należy je mieć ciągle przed oczami. – Cóż będę czynił przez całe życie? – myślał. – Będę sprzedawał wiernym miejsce w niebie. Jak zdołam im uwidocznić to miejsce? Za pomocą zewnętrznej różnicy między sobą a człowiekiem świeckim.

Po kilku miesiącach nieustannego wysiłku Julian jeszcze wyglądał na człowieka, który m y ś l i. Sposób poruszania oczami, składania ust nie zdradzał jeszcze wiary ślepej, gotowej we wszystko wierzyć i wszystkiemu dać świadectwo, choćby męczeństwem. Z wściekłością widział Julian, że najtępsi chłopcy przewyższają go w tej mierze. Ci, z zupełnie naturalnych przyczyn, nie mogli wyglądać na myślicieli.

Ileż mąk zadawał sobie, aby osiągnąć ten pozór żarliwej i ślepej wiary, gotowej przed wszystkim się ukorzyć i wszystko wycierpieć, którą spotyka się tak często we włoskich klasztorach i której tak pyszne wzory zostawił nam Guerchin w kościelnych malowidłach.

W uroczyste święta dawano seminarzystom kielbaski z kapustą. Sąsiedzi Juliana zauważyli, że jest nieczuły na to szczęście; była to jedna z pierwszych jego zbrodni. Koledzy widzieli w tym wstrętą i głupią obłudę; nic nie przysporzyło mu tylu wrogów. – Patrzcie mieszcucha, pyszałka – mówili – który udaje, że gardzi najlepszą wyżerką, kielbaskami z kapustą! fuj, paskudziarz! zarozumialec!

– Ach, tak, głupota tych młodych kmiotków, moich kompanów, jest dla nich ogromną przewagą – wzdychał Julian w chwili zniechęcenia. – Na progu seminarium nie muszą się otrząsać z mnogości świeckich myśli, które ja wnoszę i które mimo wszystkich starań biją mi z twarzy.

Z uwagą, zazdrością niemal studiował Julian najtępszych chłopskich synów przybyłych do seminarium. W chwili gdy im ściągano z grzbietu siermięgę, aby włożyć sutannę, wychowanie ich ograniczało się do bezgranicznego szacunku dla pieniędzy, zwłaszcza w gotowiźnie.

Dla tych seminarzystów, jak dla bohaterów powiastek Woltera, szczęście polega na tym, aby się dobrze najeść. Prawie u wszystkich odkrył Julian kult dla ludzi odzianych w c i e n k i e s u k n o. Pod wpływem tego uczucia oceniają oni wymiar sprawiedliwości, jaki można zyskać w naszych trybunałach, wedle jego wartości, a nawet poniżej wartości. Na co się zdało, powtarzają często, prawować się z g r u b ą r y b ą ?

Słowem tym określa się w dolinie Jura bogatego człowieka. Można stąd osądzić szacunek ich dla istoty najbogatszej ze wszystkich: dla rządu.

Nie uśmiechnąć się z szacunkiem na samo imię pana prefekta uchodzi w oczach chłopów z Franche-Comté za zuchwalstwo; owóz u biedaka zuchwalstwo pociąga za sobą rychłą utratę chleba.

Wzgarda, która dławiła Juliana z początku, zmieniła się w litość: rodzicom większości kolegów zdarzyło się nieraz wrócić wieczorem w zimie do chaty i nie znaleźć ani chleba, ani kasztanów, ani kartofli... – Cóż dziwnego – powiadał sobie Julian – jeżeli za szczęśliwego w ich oczach uchodzi przede wszystkim ten, kto zjadł dobry obiad, kto posiada dobrą odzież! Moi koledzy mają silne powołanie, to znaczy widzą w stanie duchownym nieprzerwaną trwałość tego szczęścia: mieć dobry obiad i ciepłe ubranie w zimie.

Julian usłyszał raz, jak młody seminarzysta, obdarzony snadź wyobraźnią, mówił do kolegi:

– Czemu nie miałbym zostać papieżem jak Sykstus V, który pasał świnie?

– Papieżami robią tylko Włochów – odparł przyjaciel – ale to pewna, że będą losować między nami posady wielkich wikariuszów, kanoników, może biskupów. Ojciec biskupa z Châlons był bednarzem: tak jak i mój.

Jednego dnia podczas lekcji dogmatyki ksiądz Pirard kazał zawołać Juliana. Nieborak cieszył się, że wyrwie się na chwilę z moralnej i fizycznej atmosfery otoczenia.

Julian spotkał u rektora to samo przyjęcie, które go tak zmroziło w dzień przybycia.

– Wy tłumacz mi tę kartkę – rzekł patrząc nań straszonym wzrokiem.

Julian przeczytał:

*Amanda Binet, w kawiarni „Pod Żyrafą”, przed ósmą. Powiedzieć, że przybywasz z Genlis i jesteś kuzynem mojej matki.*

Julian zrozumiał cały ogrom niebezpieczeństwa: policja księdza Castanède wykradła mu ten adres.

– W dniu, w którym przybyłem tutaj – rzekł patrząc na czoło księdza Pirard, nie mógł bowiem znieść jego straszliwych oczu – drżałem cały; ksiądz Chélan uprzedził mnie, że roi się tu od donosicielstwa i dokuczliwości, i że uczniów zachęca się do szpiegowania i denuncjacji. Niebo tak chce, aby ukazać młodym księżom życie takim, jak jest, i wszczepić im odrazę do świata i jego pokus.

– Ty mi będziesz tu plótł frazesy! – krzyknął ksiądz Pirard wściekły. – Ladaco!

– W Verrières – ciągnął spokojnie Julian – bracia bili mnie, kiedy im dawałem powód do zawiści...

– Do rzeczy! Do rzeczy! – wykrzyknął ksiądz Pirard nieprzytomny z wściekłości.

Nie zatrwożony bynajmniej Julian podjął opowiadanie:

– Skorom przybył do Besançon koło południa, byłem głodny, wszedłem do kawiarni. Serce moje zdejmował wstręt do tak plugawego miejsca, ale sądziłem, że śniadanie wypadnie mi

tam taniej niż w gospodzie. Dama, wyglądająca na właścicielkę, wzruszyła się moim nieśmiałym wejrzeniem. „Besançon pełne jest hultajów, rzekła, boję się o pana. Gdyby się panu zdarzyło co złego, zwróć się pan do mnie, przyślij do mnie przed ósmą. Jeśli odźwierny nie zechce spełnić pańskiego zlecenia, powiedz pan, że jesteś moim krewnym, rodem z Genlis...”

– Każę sprawdzić tę gadaninę! – wykrzyknął ksiądz Pirard, który nie mogąc wytrwać w miejscu przechadzał się po pokoju. – Ruszaj do celu!

Ksiądz udał się za Julianem i zamknął go na klucz. Chłopiec wziął się natychmiast do przetrząśnięcia walizy, na której dnie nieszczęsna kartka była starannie ukryta. Nic nie brakło w walizie, ale rzeczy były poprzewracane. A przecież miał zawsze klucz przy sobie! – Co za szczęście – myślał Julian – że w czasie mej ślepoty nie skorzystałem nigdy z pozwolenia wyjścia. Rozumiem teraz dobroć, z jaką ksiądz Castanède ofiarował mi je tak często. Może skusiłbym się zmienić ubranie i odwiedzić piękną Amandę, zgubiłbym się. Skoro ten plan zawiodł wówczas, aby nie zmarnować poszlaki, użyto jej do denuncjacji.

W dwie godziny później rektor zawołał Juliana.

– Nie skłamałeś – rzekł patrząc mniej surowo – ale przechowywać taki adres to nierozwaga, z której nie możesz sobie nawet zdać sprawy. Nieszczęsne dziecko! Za dziesięć lat jeszcze może ci to zaszkodzić.

## XXVII. PIERWSZE DOŚWIADCZENIE

Współczesność, wielki Boże! to Arka  
święta. Biada temu, kto jej dotknie.  
D i d e r o t

Czytelnik daruje nam, że z tej epoki życia Juliana niewiele przytoczymy ścisłych i jasnych faktów. Nie aby ich brakowało; przeciwnie; ale to, co ujrzał w seminarium, byłoby może zbyt czarne w stosunku do kolorytu, jaki staraliśmy się zachować w tej książce. Współcześni, nawet znosząc pewne rzeczy, doznają na ich przypomnienie wstrętu paraliżującego wszelką przyjemność, nawet tę, która płynie z czytania powieści.

Studia nad hipokryzją gestów szły Julianowi dość opornie; chwilami ogarniał go wstręt, zniechęcenie. Nie mógł osiągnąć sukcesu, do tego w karierze, która mu była wstrętna. Najmniejsza pomoc z zewnątrz wystarczyłaby, aby mu dodać otuchy, trudności nie były zbyt wielkie; ale czuł się sam, jak łódka wśród oceanu. – A gdybym nawet zwyciężył – powiedział sobie – całe życie spędzić w tym ohydny towarzystwie! Obzartuchy marzący jedynie o omlecie ze słoniną na obiad lub też tacy księża Castanède, dla których żadna zbrodnia nie jest zbyt czarna! Dojdą do władzy, ale za jaką cenę, wielki Boże!

– Wola ludzka jest potęgą, czytam to wszędzie, ale czy wystarczy, aby pokonać taki wstręt? Zadanie wielkich ludzi było łatwe: niebezpieczeństwo, mimo całej grozy, zdało się im piękne, a któż zdoła zrozumieć, z wyjątkiem mnie, ohydę tego, co mnie otacza?

Była to najcięższa próba w jego życiu. Tak łatwo by mu było zaciągnąć się do którego ze świetnych pułków stojących w Besançon! Mógł zostać nauczycielem łaciny, tak niewiele potrzebował, aby wyżyć! Ale wówczas żadnych widoków, żadnego pokarmu dla wyobraźni: to znaczy śmierć. Oto co mu się zdarzyło jednego z owych smutnych dni.

– Tak często pyszniłem się w duchu, że jestem różny od innych młodszych wieśniaków! Otóż dość długo żyję, aby zrozumieć, że r ó ż n i c a p ł o d z i n i e n a w i ś ć – powiedział sobie jednego rana. Tę wielką prawdę odgadł pod wpływem jednej ze swych najjaskrawszych porażek. Pracował cały dzień nad pozyskaniem względów pewnego ucznia otoczonego aureolą świętobliwości. Przechadzał się z nim po dziedzińcu słuchając z rezygnacją bredni przypowiadających o mdłości. Naraz zaciągnęło się na burzę, zahuczał grzmot. W tej chwili świętobliwy kolega wykrzyknął odpychając go brutalnie:

– Słuchaj, każdy musi myśleć o sobie, nie mam ochoty zginąć od pioruna: Bóg może cię zdruzgotać jak bezbożnika, jak Woltera.

Z zębami zaciśniętymi z wściekłości, z oczyma wzniesionymi ku niebu w błyskawicach, Julian wykrzyknął: – Wart byłbym, aby utonąć, gdybym zasnął podczas burzy. Spróbujmy zdobyć innego jakiegoś cymbała.

Zadzwoniono na wykład historii kościelnej.

Młodym kmiotkom, tak drżącym przed ciężką pracą i przed rodzicielską nędzą, ksiądz Castanède wykładał tego dnia, iż rząd, owa instytucja tak straszna w ich oczach, posiada istotną i prawą władzę jedynie dzięki pełnomocnictwu zastępcy bożego na ziemi.

– Stańcie się godni łask papieża świętością życia, posłuszeństwem, bądźcie jako kij w jego rękę – dodał – a każdy z was otrzyma świetną posadę, na której będzie władał samodzielnie, bez kontroli, posadę niewzruszoną, której dochody pokrywa w jednej trzeciej rząd, w dwóch trzecich zaś wierni, urobieni waszą wymową.

Wychodząc z klasy ksiądz Castanède zatrzymał się na dziedzińcu.

– O proboszczu można z całą słuszością powiedzieć, że wartość miejsca zależy od człowieka – rzekł do uczniów, którzy otoczyli go kołem. – Sam znałem zapadłe górskie parafie, które przynosiły więcej niż niejedno probostwo w mieście, i to w samej gotowiznie, nie licząc tłustych kapłonów, a jajek, a świeżego masła, tysiąca miłych drobnostek... Ksiądz jest tam bez kwestii pierwszą figurą; nie ma większego obiadu, aby go nie proszono, nie goszczono etc.

Ledwie ksiądz Castanède odszedł, uczniowie podzielili się na grupy – Julian nie należał do żadnej, zostawiono go jak parszywą owcę. W każdej gromadzie jakiś uczeń rzucał grosz w górę; jeśli zgadł, na którą stronę padnie, koledzy wnosili, iż niebawem otrzyma tłuste probostwo.

Później następowały anegdoty. Młody księżyk, ledwie od roku wyświęcony, ofiarowawszy oswojonego królika służącej starego proboszcza, uzyskał to, że ksiądz powołał go na wikarego, wkrótce zaś potem (proboszcz umarł rychło) zajął jego miejsce w dobrej parafii. Inny znów wcisnął się, jako następcą starego sparaliżowanego księdza, zabawiając go przy stole i krając mu z ręcznie kurczęta.

Seminarzyści, jak zresztą młodzi adepti wszelkich zawodów, przeceniają znaczenie tych środeczków działających na ich wyobraźnię swą niezwykłością.

– Muszę – powtarzał sobie Julian – włożyć się do tych rozmów.

Kiedy nie rozmawiano o kielbaskach z kapustą i o tłustych probostwach, rozmawiano o świeckim zastosowaniu zasad duchownych, o sprawach między biskupami i prefektami, między merem a proboszczem. W oczach Juliana rodziło się pojęcie jakby drugiego Boga, ale Boga o wiele groźniejszego i potężniejszego niż tamten: ten drugi Bóg to był papież. Powiadano sobie, zniżając głos, kiedy była pewność, że ksiądz Pirard nie słyszy, że jeśli papież nie zadaje sobie trudu mianowania wszystkich prefektów i merów we Francji, to dlatego iż powierzył ten trud królowi, mianując go starszym synem Kościoła.

Wówczas to Julian sądził, iż może wyzyskać ku swej chwale znajomość książki *O papieżu* pana de Maistre. W istocie zadziwił kolegów, ale znów obróciło się to przeciw niemu. Podrażnił ich, formułując lepiej niż oni sami ich własne mniemanie. Ksiądz Chélan był nieopatrny dla Juliana, jak był nieopatrny dla samego siebie. Wpoiwszy mu nawyk ścisłego rozumowania i odrazę do czczych słów, zapomniał go nauczyć, że u chudego pacholka narów ten jest zbrodnią; wszelkie logiczne rozumowanie ma w sobie coś obrażającego.

Wymowę Juliana poczytywano mu za nową zbrodnię. Mówiąc o nim koledzy zdołali wreszcie wyrazić jednym słowem wstręt, jaki w nich budził: nazwali go *M a r c i n e m L u t r e m*; zwłaszcza, mówili, z przyczyny owej piekielnej logiki, którą się tak pyszni.

Nie jeden młody seminarzysta miał świeżą cerę i mógł pobić Juliana urodą; ale on miał białe ręce i nie mógł ukryć niektórych nałogów wyszukanej czystości. Zaleta ta nie była zgoła zaletą w ponurym gmachu, do którego los go rzucił. Niechlujni chłopci, którzy go otaczali, okrzyknęli go rozpustnikiem. Lękamy się znużyć czytelnika tysiącnymi niedolami naszego bohatera. Najsilniejsi z klasy chcieli wprowadzić znęcanie się nad nim; trzeba mu było uzbroić się w żelazny cyrkiel i oznajmić, ale tylko gestem, że zrobi zeń użytek. Gesty trudniej wyzyskać w raportach donosicieli niż słowa.

## XXVIII. PROCESJA

Wszystkie serca ogarnęło wzruszenie.  
Zdawało się, że obecność Boga  
zstąpiła w te wąskie gotyckie uliczki,  
przybrane ze wszystkich stron i wysypane  
piaskiem dzięki staraniu wiernych.  
Y o u n g

Daremnie Julian silił się być małym i głupim, nie mógł pozyskać sympatii, nadto był inny. – A wszakże – powiadał sobie – profesorowie ci to ludzie bardzo sprytni, wybrani spośród tysiąca. W jaki sposób nie smakują w mojej pokorze? – Jeden tylko był na tyle uprzejmy, że wierzył we wszystko i wszystko dawał w siebie wmówić. Był to ksiądz Chas-Bernard, mistrz ceremonii przy katedrze, gdzie od piętnastu lat obiecywano mu miejsce kanonika; tymczasem wykładał wymowę kościelną w seminarium. W epoce swego zaślepienia Julian najczęściej celował na tym kursie; ksiądz Chas nabrał dlań sympatii i po lekcji nieraz ujmował go pod ramię, aby się z nim przejść po ogrodzie.

– Do czego on zmierza? – myślał Julian słuchając, jak przez całe godziny ksiądz opowiadał mu o bogactwach katedralnej szatni. Było tam siedemnaście ornatów haftowanych złotem, nie licząc żałobnych. Wiele rachowano na starą prezydentową de Rubempré; dama ta, licząca dziewięćdziesiąt lat, przechowywała od siedemdziesięciu lat co najmniej wyprawne suknie ze wspaniałych materii lionskich przetykanych złotem.

– Wyobraź sobie, chłopcze – mówił ksiądz zatrzymując się nagle i otwierając szeroko oczy – te suknie stoją same na ziemi, tyle w nich złota. Przypuszczają powszechnie w Besançon, że dzięki testamentowi prezydentowej skarbiec katedralny wzbogaci się o więcej niż dziesięć ornatów, nie licząc kilku kap na uroczyste święta. Ba! Więcej jeszcze – dodał ksiądz Chas zniżając głos – mam powody przypuszczać, że prezydentowa zostawi nam osiem wspaniałych pozłacanych świeczników ze srebra, nabytych, jak wieść niesie, we Włoszech przez księcia Burgundii, Karola Śmiałego, którego ulubionym ministrem był jeden z przodków tej damy.

– Dokąd ten człowiek zmierza z tą rupieciarnią? – myślał Julian. – Te zręczne przygotowania trwają już cały wiek, a za nic nie chce puścić farby. Musi mi strasznie nie ufać. Sprytniejszy jest niż wszyscy inni, których tajemne cele można przeniknąć w ciągu dwóch tygodni. Rozumiem, ten człowiek cierpi w swej ambicji od piętnastu lat!

Jednego wieczora, podczas lekcji, zawołano Juliana do księdza Pirard.

– Jutro mamy święto *Corpus Domini* (Bożego Ciała); ksiądz Chas-Bernard potrzebuje cię przy zdobieniu katedry; idź i bądź posłuszny.

Ksiądz Pirard przywołał go jeszcze i dodał z wyrazem współczucia:

– Od ciebie zależy, czy chcesz skorzystać ze sposobności i przejść się po mieście.

– *Incedo per ignes* (Mam ukrytych wrogów) – odparł Julian.

Nazajutrz wczesnym rankiem Julian udał się ze spuszczoneymi oczyma do katedry. Widok ulic i rozpoczynającego się ruchu dobrze nań podziałał. Na wszystkie strony zdobiono okna dywanami. Cały czas spędzony w seminarium wydał się Julianowi jedną chwilą. Myśl jego była w Vergy oraz przy pięknej Amandzie Binet, którą mógł spotkać, gdyż kawiarnia była opodal. Spostrzegł z dala księdza Chas-Bernard w bramie jego ukochanej katedry; był to zażywny człowiek o wesołej i szczerej twarzy. Ten dzień to był dzień jego triumfu.

– Czekałem na ciebie, drogi synu – zawołał, z daleka spostrzegłszy Juliana – bywajże mi! Ciężki będziemy mieli dzień i długi; pokrzepmy się pierwszym śniadaniem, drugie czeka nas o dziesiątej, podczas sumy.

– Pragnę, proszę ojca – rzekł Julian poważnie – nie być ani chwili sam; ojciec raczy zauważyć – dodał wskazując na zegar wieżowy – że przybywam o piątej bez jednej minuty.

– Ha! ha! Boisz się tych filutów z seminarium! Masz też o czym myśleć! – rzekł ksiądz Chas. – Czy droga jest mniej piękna, dlatego że w płotach, które ją otaczają, rosną ciernie? Podróżny idzie naprzód, a złośliwym cierniom pozwala tkwić w miejscu. Ale do roboty, chłopcze, do roboty!

Ksiądz Chas miał słuszość mówiąc, że praca będzie ciężka. Poprzedniego dnia odbywała się w katedrze wielka uroczystość żałobna; nie można było nic przygotować, trzeba było tedy w ciągu jednego ranka przybrać czerwonym adamaszkiem, do wysokości trzydziestu stóp, wszystkie słupy gotyckie tworzące trzy nawy. Biskup sprowadził z Paryża ekstrapocztą czterech tapicerów, ale nie mogli nastarczyć wszystkiego; zamiast zaś wspomagać dobrą radą niezręczność besansońskich kolegów zdwajali ją za pomocą drwin.

Julian zrozumiał, że trzeba wyleźć samemu na drabinę; wrodzona zwinność przydała mu się. Podjął się kierować pracą miejscowych tapicerów. Ksiądz Chas, zachwycony, patrzył, jak młodzieniec buja z drabiny na drabinę. Skoro wszystkie kolumny obleczono adamaszkiem, trzeba było umieścić pięć olbrzymich bukietów z piór na baldachimie nad głównym ołtarzem. Jest to bogate sklepienie ze złożonego drzewa, wspierające się na ośmiu kręconych kolumnach z włoskiego marmuru. Ale aby się dostać na środek baldachimu ponad tabernakulum, trzeba było przejść po starym drewnianym gzymsie, może spróchniałym, na wysokości czterdziestu stóp.

Widok tej niebezpiecznej drogi zagasił wesołość i koncepty paryżan; przyglądali się, rozprawiali, ale nie kwapili się wejść. Julian chwycił bukiety i wbiegł pędem na drabinę. Umoćcował je zręcznie w kształt korony, w samym środku baldachimu. Kiedy zeszedł z drabiny, ksiądz Chas-Bernard uściskał go.

– *Optime!* – wykrzyknął zacny ksiądz. – Opowiem to Jego Dostojności.

Drugie śniadanie upłynęło bardzo wesoło. Nigdy katedra nie wydała się księdzu Chas tak strojną.

– Drogi chłopcze – rzekł do Juliana – matka moja wynajmowała krzesła w tej czcigodnej świątyni, wychowałem się poniekąd w tym gmachu. Terror Robespierre’a zrujnował nas; ale w ósmym roku służywałem już do mszy w pokoju i dostawałem wikt w dzień mszy. Nikt nie umiał tak złożyć ornatu jak ja, żaden galon nie był załamany. Od przywrócenia obrządków przez Napoleona mam szczęście wszystkim zarządzać w tej czcigodnej świątyni. Pięć razy do roku oczy moje oglądają ją przystrojoną w uroczyste szaty. Ale nigdy nie była tak wspaniała, nigdy bryty adamaszkowe nie przylegały do filarów tak pięknie jak dziś.

– Wreszcie zdradzi mi swą tajemnicę – pomyślał Julian – zaczyna mówić o sobie, przejdziemy do wynurzeń. Ale mimo iż wyraźnie podniecony, ksiądz nie powiedział ani jednego



niebaczego słówka. – A wszakże on też wiele pracował, jest szczęśliwy, nie żałował sobie winka. Cóż za człowiek! Co za przykład dla mnie; należą mu się szlify. (To brzydkie wyrażenie przejął Julian od starego chirurga.)

Kiedy podczas sumy zadzwoniono na *Sanctus*, Julian chciał przywdziać komżę, aby towarzyszyć biskupowi we wspaniałej procesji.

– A złodzieje, mój synu, a złodzieje! – wykrzyknął ksiądz Chas. – Czyś zapomniał o tym? Procesja wyjdzie z kościoła, my we dwóch będziemy pilnowali. Możemy mówić o szczęściu, jeśli będzie brakowało tylko paru łokci tego pięknego galonu, który stroi dół filarów. To także dar pani de Rubempré; pochodzi od słynnego hrabiego, jej prapradziadka; czyste złoto, drogie dziecko – szepnął ksiądz do ucha Julianowi z widocznym podnieceniem – czyściutecznie! Polecam ci dozór w skrzydle północnym, nie wychodź stamtąd. Ja biorę na siebie skrzydło południowe i wielką nawę. Baczość na konfesjonały: z nich konfidenci złodziejscy wypatrzą chwilę, gdy obrócimy się plecami.

W tej chwili wybiły trzy kwadransy na dwunastą: natychmiast rozległ się wielki dzwon. Bił z całą siłą. Pełne i uroczyste dźwięki wzruszyły Juliana. Dusza jego uleciała ponad ziemię.

Zapach kadzidła i listków róży, które dziewczątka w bieli rzucały przed Świętym Sakramentem, odurzyły go do reszty.

Te uroczyste dźwięki dzwonu powinny obudzić w Julianie jedynie myśl o pracy dwudziestu ludzi, płatnych po pięćdziesiąt centymów i wspomaganych może przez piętnastu lub dwudziestu wiernych. Powinien był myśleć o zużywaniu się sznurów i belek, o niebezpieczeństwie samego dzwonu, który spada co dwa wieki, oraz zastanowić się nad sposobem zmniejszenia zarobku zakonników albo też spłacenia ich jakim odpustem czy inną łaską Kościoła nie nadwężając sakiewki.

W miejscach tych roztropanych myśli dusza Juliana, podniecona pełnią tych dźwięków, błądziła w urojonych przestrzeniach. Nigdy nie będzie zeń dobry ksiądz ni dobry administrator. Dusze ulegające podobnym wzruszeniom zdolne są co najwyżej wydać artystę. Tutaj ukazuje się w całym blasku zarozumiałość Juliana. Koledzy jego, nawykli zwracać uwagę na realność życia – ile że czują się otoczeni powszechną nienawiścią oraz przyczajonym, w ich mniemaniu, na każdym kroku j a k o b i n i z m e m – myśleliby, słysząc dzwon katedralny, jedynie o płacy dzwonników. Obliczyliby z matematyczną ścisłością, czy stopień wzruszenia tłumu wart jest kwoty wydanej na dzwonników.

Gdy w cudną pogodę procesja obchodziła z wolna Besançon, zatrzymując się przy wspaniałych stacjach wzniesionych przez władze, kościół utonął w głębokim milczeniu. Panował w nim mrok oraz miły chłód; jeszcze unosiły się zapachy kwiatów i kadzidła.

Cisza, samotność, chłód długich naw wprawiały Juliana w stan coraz słodszy marzenia. Nie mącił mu go ksiądz Chas, zajęty w innej części kościoła. Dusza chłopca nieomal opuściła śmiertelną powłokę, która przechadzała się z wolna po północnym skrzydle powierzonym jego pieczy. Czuł się spokojny, ile że przy konfesjonałach znajdowało się jedynie kilka prostych kobiet: wzrok jego biegł bez myśli przed siebie.

Wyrwał go poniekąd z roztargnienia widok dwóch kobiet bardzo wykwintnie ubranych; obie klęczały: jedna przy konfesjonale, druga tuż obok na klęczniku. Julian patrzył nie widząc. Jednakże bądź przez mętną świadomość obowiązków, bądź pod wpływem podziwu dla prostego, lecz szlachetnego stroju pań, zauważył, że w konfesjonale nie było księdza. – To szczególne – pomyślał – że te piękne panie, jeśli są nabożne, nie klęczą przy której ze stacyj; lub jeśli to światowe damy, że się nie umieściły na widoku, w pierwszym rzędzie balkonu. Jak ta suknia doskonale leży! Co za wdzięk!

Zwolnił kroku, aby się im przyjrzeć.

Osoba klęcząca przy konfesjonale odwróciła głowę na odgłos kroków Juliana wśród ciszy. Naraz wydała głośny krzyk i zemdląła.

Czuając, że mdleje, dama osunęła się na kolana i przegięła się w tył; przyjaciółka pośpieszyła jej z pomocą. Równocześnie Julian ujrzał biust zemdlonej damy: znany naszyjnik z dużych szlachetnych pereł uderzył jego oko. Cóż się z nim stało, kiedy poznał włosy pani de Rênal! Była to ona. Osobą, która starała się jej podtrzymać głowę i nie dać całkiem upaść, była pani Derville. Julian, nieprzytomny, rzucił się ku nim; pani de Rênal padając byłaby może pociągnęła przyjaciółkę, gdyby Julian ich nie podtrzymał. Ujrzał głowę pani de Rênal, bladą, zwisłą, bez czucia. Pomógł pani Derville umieścić tę śliczną głowę na wezglówiu wyplatane go krzesła, ukląkł obok.

Pani Derville obróciła się i poznała go.

– Oddał się pan! – zawołała z gniewem. – Niech ona już pana nie zobaczy. To pewne, że widok pański musi w niej budzić wstręt: była taka szczęśliwa, nim pana poznała. Postępowanie pańskie jest okrutne. Uciekaj, oddał się, jeśli ci została resztką wstydu.

Słowa te brzmiały tak stanowczo, a Julian czuł się w tej chwili tak słaby, że oddalił się. – Zawsze mnie nienawidziła – rzekł myśląc o pani Derville.

W tej samej chwili nosowy śpiew księży wracających z procesji rozległ się w kościele. Ksiądz Chas-Bernard zawołał kilkakrotnie na Juliana, który nie słyszał; wreszcie podszedł, aby go wyciągnąć zza filaru, gdzie Julian ukrył się w półżywy. Chciał go przedstawić biskupowi.

– Słabo ci się zrobiło, dziecko – rzekł ksiądz widząc go bladym i niezdolnym uczynić kroku – zbyt się napracowałeś. – Ksiądz ujął go pod rękę. – Chodź, usiądź na ławeczce przy kropielnicy za mną, ja cię zasłonię (stali w pobliżu głównych drzwi). Uspokój się, mamy jeszcze dobrych dwadzieścia minut, nim Jego Dostojność się zjawi. Staraj się przyjść do siebie; kiedy biskup będzie przechodził, ja cię podniosę; mimo swoich lat, silny jestem i krzepki.

Ale kiedy biskup nadszedł, Julian był tak drżący, że ksiądz poniechał zamiaru.

– Nie martw się – rzekł – znajdziemy inną sposobność.

Wieczorem kazał zanieść do kaplicy seminarium dziesięć funtów świec, oszczędzonych, jak mówił, dzięki staraniom Juliana i szybkości, z jaką je kazał gasić. Czysty wymysł! Chłopek sam był zgaszony; od czasu jak ujrzał panią de Rênal, nie wiedział, co się z nim dzieje.

## XXIX. PIERWSZE ODZNACZENIE

Znał swoją epokę, znał swój  
departament i jest bogaty.  
*Zwiastun*

Julian nie ocknął się jeszcze ze wzruszenia, w jakim pograżyło go spotkanie w katedrze, kiedy jednego ranka surowy ksiądz Pirard wezwał go do siebie.

– Ksiądz Chas-Bernard pisał właśnie do mnie za tobą. Jestem na ogół dość zadowolony z twego postępowania. Jesteś, mimo pozorów, nierozważny i roztrzepany; jednakże, jak dotąd, serce dobre, nawet szlachetne, zdolności niepospolite... W sumie: widzę w tobie iskrę, której nie należy zaniedbywać.

– Po piętnastu latach pracy przyjdzie mi prawdopodobnie opuścić ten zakład: zbrodnią moją jest, że zostawiłem seminarzystom wolność myśli i nie popierałem ani też nie tępiłem sekretnego stowarzyszenia, o którym mówiłeś mi przy spowiedzi. Nim odejdę, chciałbym coś uczynić dla ciebie; byłbym to zrobił dwa miesiące wcześniej, gdyby nie denuncjacja oparta na znalezionym u ciebie adresie Amandy Binet. Mianuję cię repetytorem Starego i Nowego Testamentu.

Julian, przejęty wdzięcznością, chciał paść na kolana i podziękować Bogu, ale szczerzy odruch wziął górę. Zbliżył się do księdza Pirard, ujął jego rękę i chciał ją podnieść do ust.

– Co to jest? – wykrzyknął rektor gniewnie. Ale oczy Juliana wyraziły więcej niż jego uczynek.

Ksiądz Pirard popatrzył nań ze zdumieniem, jak człowiek, który od wielu lat odwykł od spotykania szczerych uczuć. To zdradziło rektora; zmienionym głosem rzekł:

– Tak, drogie dziecko, przywiązałem się do ciebie. Bóg widzi, że mimo woli; powinienem był być sprawiedliwy, nie mieć dla nikogo miłości ani nienawiści. Droga twoja będzie ciężka. Widzę w tobie coś, co drażni pospólstwo. Będą cię ścigały zazdrości i potwarz. Gdzie bądź pomieści cię Opatrzność, wszędzie towarzysze będą cię nienawidzili; jeśli będą udawali życzliwość, to tylko po to, aby cię tym pewniej zdradzić. Na to jest tylko jedno lekarstwo: chroń się ze wszystkim do Boga, który, aby cię ukarać za twą pychę, zesłał na ciebie tę nienawiść. Niech twoje postępowanie będzie czyste, to jedyny ratunek dla ciebie. Jeśli będziesz się trzymał prawdy z niezłomną wytrwałością, wcześniej lub później wrogowie twoi będą pogiębieni.

Od tak dawna Julian nie słyszał przyjaznego głosu, że trzeba mu darować tę słabość: rozplakał się. Ksiądz Pirard wziął go w ramiona; była to chwila bardzo słodka dla obu.

Julian szalał z radości. Było to pierwsze jego odznaczenie, przynoszące olbrzymie korzyści. Aby je pojąć, trzeba być skazanym na miesiące całe bez chwili samotności, w bezpośrednim zetknięciu z dokuczliwymi i natrętnymi kolegami. Same ich krzyki wystarczyłyby, aby delikatniejszy ustrój doprowadzić do choroby. Hałaśliwa radość dobrze odkarmionych i dobrze odzianych chłopskich synów znajdowała dopiero wówczas pełny upust, kiedy krzyczeli, ile im tchu starczyło.

Obecnie Julian jadał sam lub prawie sam, w godzinę po innych. Miał klucz od ogrodu, mógł się przechadzać samotnie.

Ku wielkiemu zdumieniu spostrzegł, że go mniej nienawidzą, gdy on spodziewał się zdwojenia nienawiści. Tajemna chęć odosobnienia się, chęć aż nazbyt widoczna, która zyskała mu tylu wrogów, przestała być oznaką śmiesznej pychy. W oczach otaczających go gruboskórców było to słuszne poczucie godności. Nienawiść osłabia znacznie, zwłaszcza między młodszymi, którzy stali się uczniami Juliana i których traktował wielce uprzejmie. Stopniowo nawet zyskał stronników; stało się w złym tonie nazywać go Marcinem Lutrem.

Ale po co wymieniać jego przyjaciół, wrogów? Wszystko jest brzydkie, tym brzydsze, im intencja szersza. Oto są wszelako jedyni nauczyciele moralności, jakich ma lud; a co by się z nim stało bez nich? Czyż dziennik zdoła kiedy zastąpić proboszcza?

Od czasu nowej godności Juliana rektor Pirard uważał, aby z nim nigdy nie mówić na osobności. Była to ostrożność wskazana tak ze względu na przełożonego, jak na ucznia; ale zwłaszcza była to próba. Niewzruszoną zasadą surowego jansenisty Pirarda było: gdy dany człowiek wart jest coś w twoich oczach, stawiaj mu przeszkody we wszystkich jego życzeniach i zamiarach. Jeśli wartość jest istotna, zdoła zwyciężyć albo ominąć przeszkody.

Był to czas polowania. Fouqué wpadł na myśl, aby posłać do seminarium jelenia i dzika, niby od rodziców Juliana. Złożono zwierzynę w przejściu, między kuchnią i refektarzem; tam ujrzeni ją seminarzyści idąc na obiad. Ciekawość była ogromna. Dzik, choć martwy, budził lęk w najmłodszych: dotykali jego kłów. Cały dzień mówiono tylko o tym.

Dar ten, wznosząc rodzinę Juliana do wyżyn powszechnego szacunku, zadał śmiertelny cios zazdrości. Urok dobrobytu uświęcił jego wyższość. Chazel i najwybitniejsi koledzy zaczęli mu nadskakiwać. Maluczko, a byliby mu robili wyrzuty, że ich nie uprzedził o swej możliwości i tym samym naraził na możliwość chybienia szacunku pieniądзом.

Nadszedł pobór do wojska; Juliana zwolniono jako seminarzystę. Okoliczność ta wzruszyła go głęboko. – Oto więc minęła na zawsze chwila, w której przed dwudziestu laty zaczęłoby się dla mnie życie bohatera!

Przechadzając się po ogrodzie, usłyszał rozmowę dwóch murarzy naprawiających coś koło muru.

– I cóż, trzeba iść, nowy pobór!

– Gdyby to za n i e g o, niechby! Murarz zostawał oficerem, generałem. Ho! ho! Widzieli to ludzie.

– Aha, właśnie! Teraz same dziady idą. Kto ma za co, zostaje w domu.

– Biedak zostanie biedakiem, i tyle!

– Słuchaj no, czy to prawda, co mówią, że o n umarł? – wtrącił trzeci murarz.

– To ino bogacze tak mówią, kapujesz? Bali się j e g o.

– Cóż za różnica, hej! Jak to robota szła za tamtych czasów! I powiedzieć, że to własni marszałkowie go zdradzili: to trzeba być szelmą!

Rozmowa ta pocieszyła nieco Juliana. Oddalając się, powtarzał z westchnieniem:

Jedyny król, co w ludu ostał się pamięci!

Nadszedł czas egzaminów. Julian zdał świetnie; zauważył, że nawet Chazel stara się pokazać całą swą wiedzę.

Pierwszego dnia egzaminatorzy, mianowani przez słynnego wielkiego wikariusza de Frilair, bardzo byli nieradzi, iż pierwsze, a najwyżej drugie miejsce na liście muszą dawać temu Julianowi Sorel, o którym wiedzieli, że jest beniaminkiem księdza Pirard. Uczniowie zakładali się, że na ogólnej nocie Julian otrzyma pierwszy stopień, co przynosi z sobą zaszczyt obiadu u księdza biskupa. Pod koniec egzaminu, kiedy pytano z ojców Kościoła, zręczny egzaminator, zagadnąwszy Juliana o świętego Hieronima i jego sympatię dla Cycerona, wspominał o Horacym, Wergilim i innych świeckich autorach. Bez wiedzy kolegów Julian wyuczył się na pamięć sporo ustępów z tych pisarzy. Odurzony powodzeniem, zapomniał, gdzie się znajduje, i na ponowne pytanie egzaminatora wyrecytował z zapalem oraz rozebrał kilka ód Horacego. Pozwoliwszy mu brnąć przez dwadzieścia minut, naraz egzaminujący zmienił wyraz i ostro zaczął mu wyrzucać czas stracony na świeckie studia oraz bezużyteczne i występne myśli, jakimi nabił sobie głowę.

– Głupiom postąpił, ojczec, moja wina – rzekł Julian skromnie, rozumiejąc, iż padł ofiarą zręcznego podstęp.

Ta sztuczka egzaminatora wywołała oburzenie nawet w seminarium, co nie przeszkodziło księdzu de Frilair (owemu filutowi, który tak doskonale zorganizował sieć Kongregacji besansońskiej i którego raporty paryskie przyprawiły o drżenie sędziów, prefekta, a nawet generałów) pomieścić swą potężną ręką numer 198 obok nazwiska Juliana. Miał tę satysfakcję, że mógł dokuczyć swemu wrogowi, jansenście Pirard.

Od dziesięciu lat dokładał starań, aby mu odebrać rektorat seminarium. Ksiądz Pirard, trzymając się sam linii postępowania, którą wskazał Julianowi, był szczerzy, pobożny, daleki od intryg, oddany obowiązkom. Ale niebo w swym gniewie obdarzyło go żółciowym temperamentem, odczuwającym głęboko zniewagi i nienawiść. Żadna krzywda nie zacierała się w tej namiętnej duszy. Byłby sto razy podał się do dymisji, lecz sądził, że jest użyteczny na stanowisku, na którym Opatrzność go pomieściła. – Tamuję postęp jezuityzmu i bałwochwalstwa – myślał.

W porze egzaminów, od dwóch miesięcy blisko, nie mówił z Julianem; mimo to przechorował cały tydzień, kiedy otrzymawszy urzędowy wynik ujrzał numer 198 przy nazwisku ucznia, którego uważał za chlubę zakładu. Jedyłą pociechą dla tej surowej natury było otoczyć Juliana najściślejszym nadzorem: z radością ujrzał, że nie ma w nim gniewu ani żądy zemsty, ani zniechęcenia.

W kilka tygodni później Julian zadrżał otrzymując list z paryską pieczęcią. – Wreszcie – pomyślał – pani de Rênal przypomniała sobie swoje obietnice. – Jakiś pan, rzekomo Paweł Sorel, mieniący się jego krewnym, przysłał mu czek na pięćset franków. Dodawał, że jeżeli Julian będzie nadal tak gorliwie studiował klasyków, otrzyma co roku tę samą kwotę.

– To ona, to jej dobroć – pomyślał Julian rozczulony – chce mnie pocieszyć; ale czemu ani jednego przyjaznego słowa?

Mylił się: pani de Rênal, opanowana przez przyjaciółkę, panią Derville, oddała się całkowicie głębokiej skrusze. Mimo woli często myślała o szczególnym człowieku, którego zjawienie się zburzyło jej egzystencję, ale nie byłaby się odważyła doń pisać.

Gdybyśmy się posługiwali językiem seminarium, musielibyśmy uważać tę przesyłkę za cud, i powiedzieć, iż niebo użyło samego księdza de Frilair za narzędzie swej łaski.

Dwanaście lat wprzód ksiądz de Frilair przybył do Besançon ze szczupłym tłumaczkiem, który wedle kroniki zawierał całe jego mienie. Obecnie był jednym z najbogatszych posiadaczy w okolicy. W rozkwicie swej pomyślności kupił połowę majątku, którego druga połowa przypadła drogą sukcesji panu de la Mole. Stąd zaciekle proces między tymi osobistościami.

Mimo swej paryskiej świetności i dworskich urzędów margrabia czuł, że niebezpiecznie jest walczyć w Besançon przeciw wielkiemu wikariuszowi, o którym mówiono, że mianuje i usuwa prefektów. Zamiast wykołatać pod jakimkolwiek pozorem gratyfikację pięćdziesię-

ciotysięczną i zaniechać procesu o takąż sumę z księdzem de Frilair, margrabia uparł się. Uważał, że ma rację: dobra racja!

Owóż niech mi wolno będzie powiedzieć: któryż sędzia nie ma syna lub bodaj kuzyna, dla którego potrzebuje protekcji?

Aby oświecić najbardziej ślepych, w tydzień po wygranej w pierwszej instancji ksiądz de Frilair wziął powóz biskupa i osobiście zawiózł swemu adwokatowi krzyż legii honorowej. Pan de la Mole, trochę zbity z tropu zachowaniem się przeciwnej strony, osłupiał: czując, że adwokaci jego słabną, poradził się księdza Chélan, który zapoznał go z księdzem Pirard.

W epoce naszego opowiadania stosunki te trwały już od kilku lat. Ksiądz Pirard włożył w tę sprawę cały swój namiętny temperament. Stykając się bez ustanku z adwokatami margrabiego, zgłębił proces i uważając go za słuszny stał się jawnym rzecznikiem margrabiego przeciw wszechpotężnemu wikariuszowi. To zuchwalstwo, i to ze strony mizernego jansenisty, oburzyło księdza de Frilair!

– Patrzcie, czym są w rezultacie ci panowie ze dworu, którzy się uważają za tak potężnych! – mówił do swoich zaufanych. – Pan de la Mole nie wyjednał nawet nędznego Krzyża swemu pełnomocnikowi w Besançon i pozwolił, aby go w krótkiej drodze usunięto z posady. A jednak, jak słyszę, nie minie tydzień, aby ten szlachetny par nie wysiadywał krzesel w salonie każdorazowego ministra sprawiedliwości.

Mimo całej energii księdza Pirard i mimo, że pan de la Mole był wciąż w najlepszych stosunkach z ministrem sprawiedliwości, a zwłaszcza z jego kancelarią, wszystko, co mógł uczynić po sześciu latach starań, było to, że nie przegrał jeszcze ostatecznie procesu.

Pozostając w ciągłej korespondencji z księdzem Pirard dla sprawy, którą obaj prowadzili z zapalem, margrabia zasmakował z czasem w umyśle księdza. Stopniowo, mimo przepaści społecznej, korespondencja ich przybrała ton przyjacielski. Ksiądz Pirard zwierzył się margrabiemu, że chcą go szykanami zmusić do dymisji. Oburzony niegodną, jego zdaniem, sztuczką, jakiej użyto wobec Juliana, opisał margrabiemu jego historię.

Mimo że bardzo bogaty, magnat ów nie był skąpy. Nigdy nie mógł skłonić księdza Pirard, aby przyjął bodaj zwrot kosztów pocztowych, jakimi obarczył go proces. Chwycił sposobność przesłania pięciuset franków jego ulubionemu uczniowi.

Pan de la Mole sam sobie zadał trud napisania listu towarzyszącego przesyłce; to przypominało mu księdza Pirard.

Jednego dnia rektor seminarium otrzymał bilecik, który w naglącej sprawie wzywał go do gospody. Zastał tam intendenta margrabiego de la Mole.

– Pan margrabia polecił mi oddać do rozporządzenia księdza karete – rzekł intendencja. – Spodziewa się, że po przeczytaniu tego listu zechce ksiądz rektor za kilka dni wybrać się do Paryża. Czas, który mi ksiądz pozostawi, obrócę na objazd majątków pana margrabiego we Franche-Comté; po czym w dniu, który będzie księdzu dogadzał, pojedziemy do Paryża.

List był krótki.

*Otrząśnij się, drogi księżę, ze wszystkich prowincjonalnych utrapień i przyjedź odetchnąć swobodniej do Paryża. Posyłam ci mój powóz, który przez cztery dni będzie czekał Twojej decyzji. Ja sam będę Cię czekał w Paryżu do wtorku. Wystarczy jednego słowa, abym podpisał w Twym imieniu akt objęcia jednej z najtlustszych parafii w okolicy Paryża. Najbogatszy z Twych parafian nie widział Cię jeszcze, ale jest Ci oddany więcej, niż możesz przypuszczać: jest nim margrabia de la Mole.*

Sam o tym nie wiedząc, surowy ksiądz Pirard kochał to przepelnione wrogami seminarium, któremu od piętnastu lat poświęcał wszystkie myśli. List pana de la Mole był niby zjawieniem się chirurga, mającego dokonać bolesnej, ale koniecznej operacji. Dymisja była rzeczą pewną. Przyrzekł intendencjowi odpowiedź za trzy dni.

Dwie doby żył w gorączce niepewności. Wreszcie napisał do pana de la Mole oraz ułożył list do biskupa, nieskazitelny w swym duchownym stylu, mimo że przydługi. Trudno byłoby znaleźć wyrażenia bardziej nienaganne i oddychające doskonalszym szacunkiem. List ten, pisany z zamiarem skompromitowania księdza de Frilair wobec zwierzchnika, streszczał wszelako wszystkie przedmioty poważnych zarzutów, aż do pogłosek i dokuczliwości, które po sześćioletniej cierpliwej rezygnacji zmuszały wreszcie księdza Pirard do opuszczenia diecezji.

Kradziono mu drzewo w drewni, otruto psa etc.

Ukończywszy list ksiądz kazał zbudzić Juliana, który o ósmej już spał jak wszyscy seminarzyści.

– Wiesz, gdzie jest pałac biskupi? – rzekł doń w wytwornej łacinie. – Zanieś ten list Jego Dostojności. Nie będę ci ukrywał, że posyłam cię do jaskini wilków. Zmień się cały we wzrok i w słuch. Wystrzegaj się w odpowiedziach wszelkiego kłamstwa; ale pamiętaj, że ten, kto cię pyta, znalazłby może szczerą przyjemność w tym, aby ci zaszkodzić. Rad jestem, dziecko, iż mogę przed odejściem użyczyć ci tego doświadczenia, nie będę ci bowiem tał, że list, który niesiesz, zawiera dymisję.

Julian stał nieruchomy, kochał księdza Pirard. Daremnie wyrachowanie mówiło mu:

– Po ustąpieniu tego zacnego człowieka Stronictwo Serca Jezusowego usunie mnie z posady, a może wypędzi!

Nie mógł myśleć o sobie. Obracał w głowie zdanie, które chciał ubrać w grzeczną formę, i nie umiał.

– I cóż, chłopcze, nie idziesz?

– Bo, proszę ojca – rzekł nieśmiało Julian – powiadają, że przez cały czas rektoratu ojciec nic nie odłożył. Mam sześćset franków. Łzy nie pozwoliły mu mówić.

– I t o b ę d z i e z a p i s a n e – rzekł chłodno rektor. – Idź do biskupa, późno jest.

Przypadek chciał, że tego wieczora ksiądz de Frilair urzędował w biskupim salonie. Jego Dostojność był na obiedzie w prefekturze. Julian wręczył tedy list samemu księdzu de Frilair, którego nie znał.

Julian ujrzał ze zdziwieniem, jak ksiądz otwiera śmiało list adresowany do biskupa. Piękna twarz wikariusza przybrała wyraz zdziwienia połączony z żywą przyjemnością, po czym oblekła się w powagę. Podczas czytania Julian, uderzony jego imponującą fizjonomią, miał czas mu się przyjrzeć. Twarz ta miałaby jeszcze więcej powagi, gdyby nie spryt przebijający się w niektórych rysach, spryt, który łatwo przybrałby odcień fałszu, gdyby właściciel pięknej twarzy przestał się nią choć chwilę zajmować. Nos, bardzo wydatny, tworzył zupełnie prostą linię i na nieszczęście dawał wytwornemu profilowi podobieństwo z fizjonomią lisa. Ksiądz ten, tak widocznie zainteresowany dymisją księdza Pirard, ubrany był z wykwinem, który zachwyił Juliana: nigdy nie widział nic podobnego u żadnego księdza.

Później dowiedział się Julian o specjalnym talencie księdza de Frilair. Umiał zabawić biskupa, miłego staruszka stworzonego do życia w Paryżu i czującego się w Besançon jak na wygnaniu. Biskup miał słaby wzrok, a namiętnie lubił ryby: ksiądz de Frilair wyjmował mu ości.

Julian przyglądał się w milczeniu księdzu, który odczytywał po raz wtóry list z rezygnacją, kiedy nagle drzwi otwarły się z trzaskiem. Bogato ubrany lokaj przeszedł spiesźnie. Julian ledwie miał czas obrócić się ku drzwiom; ujrzał małego staruszka z krzyżem biskupim na piersiach. Skłonił się nisko: biskup przechodząc uśmiechnął się dobrotliwie. Piękny ksiądz udał się za nim. Julian został sam w salonie i mógł podziwiać do woli jego zbożny przepych.

Biskup, człowiek ciężko doświadczony, ale nie złamany na duchu długimi latami emigracji, miał przeszło siedemdziesiąt pięć lat i bardzo niewiele troszczył się o to, co się stanie za lat dziesięć.

– Kto jest ten seminarzysta, któremu tak sprytnie patrzy z oczu? – spytał. – Czy wedle moich przepisów nie powinien już spać o tej porze?

– Och, ten jest bardzo rozbudzony, ręczę za to. Wasza Dostojność, i przynosi nam wielką nowinę: dymisję jedyne go jansenisty, jakiego mieliśmy w diecezji. Wreszcie niewzruszony ksiądz Pirard zrozumiał.

– Ba! – rzekł biskup śmiejąc się. – Spróbujcie znaleźć kogoś godniejszego na jego miejsce. Żeby wam pokazać, jak go wysoko cenię, zaproszę go jutro na obiad.

Wielki wikariusz chciał natracić parę słów co do wyboru następcy, ale prałat, nie usposobiony do poważnej rozmowy, rzekł:

– Nim zamianujemy nowego, dowiedzmy się, czemu ten odchodzi. Zawołaj mi seminarzystę; prawda przemawia przez usta maluczkich.

Przywołano Juliana. – Stanę wobec dwóch inkwizytorów – pomyślał. Nigdy nie czuł w duchu więcej męstwa.

W chwili gdy wszedł, dwaj lokaje, ubrani lepiej niż sam pan Valenod, rozbierali Jego Dostojność. Nim prałat spytał o księdza Pirard, uważał za właściwe zagadnąć Juliana o nauki. Zaczął od dogmatów i zdumiał się. Niebawem przeszedł do klasyków: do Wergilego, Horacjusza, Cyncerona. – Te nazwiska – pomyślał Julian – zyskały mi numer 198. Nie mam nic do stracenia, starajmy się popisać. – Udało mu się; prałat, sam wyborny humanista, był zachwycony.

Podczas obiadu w prefekturze młoda panna, ciesząca się słusznym rozgłosem, deklamowała poemat o Magdalenie; to usposobiło biskupa do rozmowy o literaturze. Zapomniał rychło o księdzu Pirard i o wszystkich kłopotach, zagadawszy się z seminarzystą o tym, czy Horacy był biedny, czy bogaty. Prałat przytoczył kilka ustępów, ale niekiedy pamięć go zawiodła; natychmiast Julian ze skromną miną recytował całą odę. Najbardziej uderzyła biskupa naturalność Juliana; recytował kilkadziesiąt łacińskich wierszy tak, jakby opowiadał wydarzenia z seminarium. Długo mówili o Wergiliuszu, o Cynceronie. Wreszcie prałat nie mógł się wstrzymać, aby nie powinszować młodemu seminarzyście.

– Niepodobna lepiej opanować przedmiotu.

– Wasza Dostojność – rzekł Julian – znajdzie w seminarium stu dziewięćdziesięciu siedmiu uczniów o wiele godniejszych jego zaszczytnego uznania.

– Jak to? – spytał prałat zdziwiony tą cyfrą.

– To, co opowiadam Waszej Dostojności, mogę potwierdzić urzędowym dowodem. Przy dorocznym egzaminie, odpowiadając właśnie z przedmiotów, które zjednały mi w tej chwili pochwałę Waszej Dostojności, otrzymałem numer 198.

– A, to jest ów beniaminek księdza Pirard! – wykrzyknął biskup śmiejąc się i spoglądając na wikariusza. – Powiniennem był się domyślić. Ha, na wojnie, jak na wojnie! Nieprawdaz, dziecko – dodał zwracając się do Juliana – że obudzono cię, aby cię przysłać tutaj?

– Tak, Wasza Dostojność. Wyszedłem sam z seminarium jedynie raz w życiu, aby pomóc księdzu Chas-Bernard w przystrojeniu katedry w Boże Ciało.

– *Optime* – rzekł biskup. – Jak to, to ty złożyłeś dowód takiej odwagi, umocowując bukiety z piór na baldachimie? Co rok drzę, patrząc na nie; zawsze się obawiam, aby nie kosztowały życia człowieka. Moje dziecko, zajdziesz daleko; ale nie chcę podcinać twej przyszłości, która będzie niewątpliwie świetna, skazując cię na śmierć głodową.

Na rozkaz biskupa podano małą i biszkopty; Julian wziął się do nich żwawo, a jeszcze bardziej ksiądz de Frilair, który wiedział, że biskup lubi, aby przy nim jeść wesoło i z apetytem.

Prałat, coraz bardziej rad z zakończenia wieczoru, natrącił coś z historii kościelnej. Spozstrzegł, że Julian nie rozumie. Zagadnął o ducha państwa rzymskiego za cesarzów w epoce Konstantyna. Schyłkowi pogaństwa towarzyszył ten sam stan niepokoju i rozterki, który w XIX wieku trapił smutne i zwątpiałe dusze. Biskup zauważył, że Julian prawie nic nie słyszał o Tacycie.

Julian odpowiedział po prostu, ku zdumieniu prałata, że autora tego nie ma w bibliotece seminarium.

– Bardzom rad z tego – rzekł biskup wesoło. – Wywiodłeś mnie z kłopotu; od dziesięciu minut myślę, jak ci podziękować za miły wieczór, któregoś mi dostarczył, i to zupełnie nie-



oczekiwaniu. Nie spodziewałem się znaleźć takiego humanisty w wychowanku mego seminarium. Mimo że to dar niezbyt kanoniczny, daruję ci Tacyta.

Prłat kazał sobie przynieść osiem wspaniale oprawionych tomów i własnoręcznie wypisał na pierwszej stronie łacińską dedykację. Biskup szczyił się wytworną łaciną. W końcu rzekł poważnym tonem, który szczególnie odbijał od całej rozmowy.

– Młodzieńcze, j e ś l i b ę d z i e s z r o z s ą d n y, czeka cię z czasem najlepsze probostwo w diecezji, i to niezbyt daleko od biskupiego pałacu, ale trzeba być r o z s ą d n y m.

Kiedy Julian, obładowany książkami, wyszedł mocno zdziwiony z pałacu, była dwunasta.

Biskup nie wspominał ani słowa o księdzu Pirard. Julian zdumiony był zwłaszcza nadzwyczajną uprzejmością prałata. Nie miał pojęcia o takim wdzięku, połączonym z równie naturalną godnością. Odczuł żywo ten kontrast na widok ponurego księdza Pirard, który czekał go z niecierpliwością.

– *Quid tibi dixerunt?* (Co ci powiedzieli?) – zakrzyknął donośnie na widok Juliana.

Kiedy Julian płatał się nieco przekładając na łacinę słowa biskupa, eks-rektor rzekł swoim twardym głosem z niezręczną gestykulacją:

– Mów po francusku i powtarzaj wiernie słowa Jego Dostojności, nic nie dodając, nic nie ujmując.

– Osobliwy podarek biskupa dla seminarzysty! – mruknął przeglądając wspaniałego Tacyta, którego złożony brzeg zdawał się go przejmować wstrętem.

Wybiła druga, kiedy po bardzo szczegółowym sprawozdaniu ksiądz pozwolił swemu ulubieńcowi udać się na spoczynek.

– Zostaw mi pierwszy tom swego Tacyta z dedykacją Jego Dostojności – rzekł. – Tych kilka łacińskich wyrazów będzie dla ciebie gromochronem po moim wyjeździe. *Erit tibi, fili mi, successor meus tanquam leo quaerens quem devoret.* (Następca mój będzie dla ciebie, synu, niby lew szukający, kogo by pożarł.)

Nazajutrz rano Julian zauważył, że koledzy odnoszą się doń w szczególny sposób. To zdwoiło jego ostrożność. – Oto – pomyślał – następstwa dymisji księdza Pirard. Całe seminarium wie o tym, a ja uchodzę za jego faworyta. Musi być coś zelżywego w tym obejściu – ale nie mógł się niczego dopatrzeć. Przeciwnie, oczy wszystkich seminarzystów, których spotykał w sypialni, wolne były od nienawiści. – Co to ma znaczyć? Zapewne jakaś pułapka, trzymajmy się ostro. – Wreszcie mały seminarzysta z Verrières bąknął śmiejąc się: – *Cornelii Taciti opera omnia.* (Dzieła wszystkie Korneliusza Tacyta.)

Na te słowa wszyscy jęli na wypródki wieszować Julianowi nie tylko wspaniałego podarunku, ale zaszczytu dwugodzinnej rozmowy z Jego Dostojnością. Wiedzieli wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Od tej chwili ustała wszelka zawiść, zaczęto mu się łąsić niczemnie: ksiądz Castanède, który jeszcze poprzedniego dnia obchodził się z nim najbrutalniej, ujął go pod ramię i zaprosił na śniadanie.

Nieszczęśliwa natura Juliana: chamstwo tych gruboskórców robiło mu przykrość, unizomość sprawiała mu niesmak, a żadnej przyjemności.

Okolo południa ksiądz Pirard pożegnał uczniów, nie bez surowego napomnienia. – Pragniecie zaszczytów świata – rzekł – przewag społecznych, przyjemności, rozkazywania, lekceważenia praw i traktowania wszystkiego z góry, czy też pragniecie zbawienia wiecznego? Nawet najślabi umysłem pośród was potrzebują jeno otworzyć oczy, aby rozróżnić te dwie drogi.

Ledwie wyszedł, dewoci z Serca Jezusowego pobiegli zaintonować w kaplicy *Te Deum*. Nikt w seminarium nie wziął na serio przemowy eks-rektora. „Wściekły jest o dymisję”, mówili. Ani jeden nie był tak naiwny, aby uwierzyć w dobrowolne zrzeczenie się posady, która daje tyle stosunków z dostawcami.

Ksiądz Pirard zamieszkał w najlepszej gospodzie w Besançon i pod pozorem interesów, których nie miał, zamierzał spędzić tam dwa dni.

Biskup zaprosił go na obiad i, chcąc wyprawić psotę wielkiemu wikariuszowi, starał się dać mu sposobność błysnięcia talentami. Właśnie podczas deseru przyszła z Paryża nieoczekiwana wiadomość, że ksiądz Pirard otrzymał wspaniałe probostwo w N..., o cztery mile od stolicy. Zaczynając powinszował mu serdecznie. W całej tej sprawie widział doskonale rozegraną partię, która wprowadziła go w dobry humor i dała mu wysokie pojęcie o zdolnościach księdza. Wypisał mu po łacinie wspaniałe świadectwo i zamknął usta księdzu de Frilair, który pozwalał sobie na uwagi.

Wieczorem biskup dał wyraz swoim zachwycom u margrabiny de Rubempré. Wśród besańskiej arystokracji nowina ta sprawiła wielkie wrażenie; łamano sobie głowę nad źródłem tego nadzwyczajnego faworu. Wróżono już księdzu Pirard infulę. Najsprytniejsi przypuszczali, że pandę la Mole został ministrem, i pozwolili sobie tego dnia uśmiechnąć się z władczej miny, jaką ksiądz de Frilair przybierał w salonach.

Nazajutrz rano niemalże goniono za księdzem Pirard na ulicy. Kupcy wychodzili na próg, kiedy ich mijał udając się do sędziów w sprawie margrabiego: pierwszy raz spotkał się z grzecznym przyjęciem. Surowy jansenista, oburzony tym wszystkim do głębi, odbył długą naradę z adwokatami, których wybrał dla pana de la Mole, i odjechał do Paryża. Miał tę słabość, że paru przyjaciółom z kolegium, którzy go odprowadzili aż do bogatej karety, zwierzył się, że po piętnastu latach zarządu seminarium opuszcza Besançon z pięciuset dwudziestoma frankami. Przyjaciele uścisnęli go płacząc, po czym rzekli między sobą: – Pocziwina, mógłby sobie oszczędzić tego kłamstwa, to już nadto śmieszne.

Ludzie pospolici, zaślepieni miłością grosza, nie mogli zrozumieć, że właśnie w szczerości swojej ksiądz Pirard znalazł potrzebne siły, aby walczyć sześć lat przeciw Marii Alacoque, przeciw Sercu Jezusowemu, jezuitom i własnemu biskupowi.

## XXX. AMBICJA

Istnieje tylko jeden tytuł arystokratyczny,  
mianowicie książę; margrabia jest śmieszny;  
na słowo książę wszystko odwraca głowę.  
*Edinburgh Review*

Margrabia de la Mole przyjął księdza Pirard bez owych wielkopańskich manier, tak grzecznych, a tak lekceważących dla kogoś znającego się na tym. Byłaby to strata czasu, margrabia zaś miał za wiele ważnych spraw na głowie, aby móc pozwolić sobie na stratę czasu.

Od pół roku intrygował, aby narzucić królowi i narodowi pewne ministerium, które przez wdzięczność zrobiłoby go księciem.

Od wielu lat margrabia domagał się na próżno od adwokata w Besançon jasnego i zwięzłego sprawozdania w kwestii swoich procesów we Franche-Comté. W jaki sposób sławny adwokat miał je wyłożyć, skoro ich sam nie rozumiał?

Ćwiartka papieru, którą mu wręczył ksiądz, tłumaczyła wszystko.

– Drogi księżę – rzekł margrabia uporawszy się w niespełna pięć minut z formułkami grzeczności oraz kwestiami osobistymi – drogi księżę, wśród mej rzekomej pomyślności brak mi czasu na poważne zajęcie się dwiema małymi, a wszelako dość poważnymi sprawami: interesami i rodziną. Troszczę się w wielkich liniach o losy swego domu, mogę go wznieść wysoko. Dbam o swoje przyjemności, co powinno iść w pierwszym rzędzie, przynajmniej w moich oczach – dodał spostrzegając zdziwienie na twarzy księdza Pirard (mimo iż człowiek wytrawny, proboszcz zdumiał się słysząc, że starzec może tak szczerze mówić o swoich przyjemnościach).

– Oczywiście, praca istnieje w Paryżu – ciągnął wielki pan – ale gdzieś na piątym pięterku; z chwilą zaś gdy ktoś styka się ze mną, zaraz bierze mieszkanie na drugim, a żona jego wyznacza dni przyjęć; tym samym koniec z pracą, cały wysiłek obraca się na to, aby być lub udawać, że się jest światowym człowiekiem. To ich jedyna troska, z chwilą gdy mają chleb. Co do moich procesów, ściśle mówiąc, i to wzięwszy każdy proces z osobna, mam adwokatów, którzy się zabijają pracą; przedwczoraj jeden umarł mi na suchoty. Ale co do moich spraw w ogólności, czy uwierzyłbyś, księżę, iż od trzech lat zrezygnowałem ze znalezienia człowieka, który by pisząc dla mnie raczył zastanowić się bodaj trochę. Zresztą, wszystko to to tylko wstęp.

Szanuję cię, księżu, i śmiem dodać, mimo że widzimy się po raz pierwszy, kocham cię. Czy chcesz być moim sekretarzem z płacą ośmiu tysięcy franków lub dwa razy tyle? Zyskałbym na tym jeszcze, przysięgam; i zobowiązuję się zachować księdzu owo piękne probostwo na czas, kiedy by nam przyszło się rozstać.

Ksiądz odmówił, ale pod koniec rozmowy szczerzy kłopot margrabiego obudził w nim myśl.

– Zostawiłem w seminarium biednego chłopca, którego, jeśli się nie mylę, czeka srogie prześladowanie. Gdyby był po prostu zakonnikiem, już by się znalazł *in pace*. Dotąd ten młody człowiek zna jedynie łacinę i Pismo święte; ale możliwe jest, że kiedyś rozwinie wielkie talenty, czy jako kaznodzieja, czy jako pasterz dusz. Nie wiem, co będzie robił, ale jest w nim święty ogień, może zajść daleko. Zamierzałem go umieścić przy biskupie, gdybyśmy kiedy mieli na tym stanowisku człowieka podzielającego pański sposób patrzenia na ludzi i sprawy.

– Skąd ten młody człowiek?

– Podobno jest synem cieśli z naszych stron, ale raczej bym przypuszczał, że jest naturalnym dzieckiem jakiegoś bogatego człowieka. Widziałem, jak otrzymał list anonimowy lub pseudoanonimowy z przekazem na pięćset franków.

– A, to Julian Sorel – rzekł margrabia.

– Skąd pan zna jego nazwisko? – rzekł proboszcz, zdumiony, i w tej chwili zarumienił się.

– Tego nie mogę powiedzieć – rzekł margrabia.

– Zatem – rzekł ksiądz – niech pan spróbuje uczynić go swoim sekretarzem. Ma energię, rozum, słowem, warto zrobić próbę.

– Czemu nie? – rzekł margrabia. – Tylko czy to nie będzie człowiek zdolny przyjąć łapówkę od prefekta policji lub kogo innego, aby mnie szpiegować w moim domu? Oto jedyna wątpliwość?

Wobec korzystnych upewnień księdza Pirard, margrabia wyjął bilet tysiącfrankowy.

– Poślij to, księżu, Julianowi Sorel na drogę i niech przybywa.

– Widać – rzekł ksiądz Pirard – że pan margrabia mieszka w Paryżu. Nie zna pan jarzma, jakie ciąży na nas, biednych mieszkańcach prowincji, a zwłaszcza na księżach nie cieszących się łaską jezuitów. Nie wypuszczą bezwarunkowo Juliana, potrafią znaleźć tysiąc pozorów, odpowiedzą, że jest chory, że list zaginął etc.

– Poproszę ministra o list do biskupa – rzekł margrabia.

– Zapomniałem jednej okoliczności – rzekł proboszcz – młodzieniec ten mimo niskiego pochodzenia jest bardzo ambitny; jeśli się draśnie jego dumę, nie będzie zeń żadnego pożytku; stępieje.

– To mi się podoba – rzekł margrabia – będę go traktował jak kolegę mego syna. Czy to wystarczy?

W jakiś czas potem Julian otrzymał list pisany nieznanym charakterem i noszący pieczętkę z Châlon; wewnątrz znalazł przekaz pieniężny na nazwisko pewnego kupca z Besançon i polecenie natychmiastowego udania się do Paryża. List podpisany był zmyślnym nazwiskiem, ale otwierając go Julian zadrżał: do stóp jego upadł liść; był to znak umówiony z księdzem Pirard.

W niespełną godzinę wezwano Juliana do konsystorza, gdzie biskup przyjął go z ojcowską dobrocią. Nawiązując zręcznie do Horacego, powińszował chłopcu wysokich losów, jakie go czekają, spodziewając się w zamian, jako podziękowania, pewnych wyjaśnień. Julian nie mógł nic powiedzieć, choćby dlatego, że nic nie wiedział, co sprawiło, że prałat powziął dlań wielki szacunek. Jeden z młodszych księży odniósł się do merostwa, wskutek czego sam mer przyniósł paszport podpisany, ale z miejscem *in blanco* na nazwisko podróżującego.

Wieczorem, przed północą, Julian zjawił się u Fouquégo. Rozsądny młodzieniec więcej okazał zdziwienia niż zachwyty karierą przyjaciela.

– Wszystko to się skończy – rzekł zawzięty liberał – jakaś rządową posadą zmuszającą cię do postępów, które staną się żerem dzienników. Wieść o tobie dojdzie mnie wraz z twą hańbą. Pamiętaj, iż nawet, biorąc pieniądze, lepiej zarobić sto ludwików w uczciwym handlu drzewem, będąc swoim panem, niż otrzymać cztery tysiące franków od rządu, chociażby rządu króla Salomona.

Julian widział w tych słowach jedynie mieszczańską ciasnotę.

Nareszcie miał wypłynąć na wielką arenę. Marzył o Paryżu: wyobrażał sobie, że jest w nim pełno intrygantów i hipokrytów, ale równie uprzejmych jak biskup z Besançon lub z Agde – to przysłańiało wszystko. Wy tłumaczył przyjacielowi, że list księdza Pirard odbiera mu swobodę rozstrzygnięcia o swym losie.

Nazajutrz koło południa przybył do Verrières; czuł się najszcześliwszym z ludzi spodziewając się ujrzeć panią de Rênal. Udał się najpierw do swojego protektora, zacnego księdza Chélan. Ksiądz przyjął go surowo.

– Czy uważasz, żeś mi coś winien? – rzekł ksiądz nie odpowiadając na przywitanie. – Zjesz śniadanie ze mną, przez ten czas najmę ci innego konia i opuścisz Verrières n i e w i d z a c s i ę z n i k i m.

– U s ł y s z e ć z n a c z y u s ł u c h a ć – odparł Julian z miną seminarzysty, po czym była już mowa jedynie o teologii i klasycznej łacinie.

Wsiadł na konia, ujechał miłą, po czym, ujrawszy las i pewny, że go nikt nie widzi, zapuścił się weń. O zachodzie słońca odesłał konia; następnie zaszedł do wieśniaka, który zgodził się sprzedać mu drabinę i zanieść ją za Julianem do lasu nad Aleją Wierności w Verrières.

– To jakiś biedny dezertor albo przemytnik – pomyślał wieśniak rozstając się z Julianem – ale co mi tam! Zapłacił uczciwie za drabinę, a wszak i mnie zdarzało się to i owo w życiu.

Noc była ciemna. Około pierwszej Julian dźwigając drabinę wszedł do miasteczka. Zeszedł co rychlej w łóżysko potoku, który przerzyna wspaniałe ogrody pana de Rênal, ocembrowane murem dziesięć stóp wysokim. Julian przebył z łatwością potok przy pomocy drabiny. – Jak przyjmą mnie psy? W tym cała kwestia. – Psy zaczęły szczekać i puściły się pędem na niego; gwizdnął z cicha, zaczęły się łaścić.

Pnąc się z terasy na terasę, mimo że wszystkie furtki były zamknięte, dostał się z łatwością pod okno pani de Rênal, położone od strony ogrodu na jakie osiem, dziesięć stóp nad ziemią.

W okiennicach znajdował się mały otwór w kształcie serca, dobrze znany Julianowi. Ku jego zmartwieniu otwór był ciemny, nie oświecała go od wewnątrz lampka nocna.

– Wielki Boże – pomyślał – widocznie tej nocy pani de Rênal nie śpi u siebie! Gdzie ona może być? Cały dom bawi w Verrières, skoro widziałem psy; ale mogę się natknąć w tym pokoju na pana de Rênal lub kogoś obcego, wówczas co za skandal!

Najrozsądniej było wycofać się, ale Julian wzdrygał się przed tym. – Jeśli to ktoś obcy, umknę pędem zostawiając drabinę; jeżeli ona, jakie mnie czeka przyjęcie? Popadła w skrucę i w dewocję, to nie ulega wątpliwości; ale ostatecznie, musi pamiętać o mnie, skoro pisała. – Ten argument przeważał.

Z drżącym sercem, mimo to zdecydowany ujrzeć ją lub zginać, rzucił w okiennicę parę kamyczków; żadnej odpowiedzi. Oparł drabinę tuż koło okna i sam zaczął pukać w okiennicę, zrazu lekko, potem silniej. – Mimo że jest tak ciemno, może ktoś wygarnąć do mnie z fuzji – pomyślał. Ta myśl sprowadzała szalone przedsięwzięcie do kwestii odwagi.

– Albo pokój jest tej nocy pusty, albo osoba, która w nim śpi, musiała się obudzić. Z tym więc nie ma się co liczyć, chodzi tylko o to, aby nie usłyszał kto w sąsiednich pokojach.

Zeszedł, oparł drabinę, wszedł na nią z powrotem i wsunąwszy rękę w otwór w kształcie serca, znalazł szczęśliwie haczyk. Pociągnął i ujrzał z niewysłowioną radością, że okiennica się otwiera.

– Trzeba otworzyć z wolna i odezwać się.

Uchylił okiennicę na tyle, aby wsunąć głowę, i rzekł kilka razy z cicha: T o j a.

Wyteżył słuch: nic nie zmąciło ciszy pokoju. W kominku nie było lampki, nawet przy-  
ćmionej: zły znak.

– A jeśli strzela? – Zastanawiał się chwilę, następnie odważył się zapukać w szybę. Żadnej  
odpowiedzi; zapukał mocniej. – Gdybym nawet miał stłuc szybę, trzeba z tym skończyć. –  
Zastukał bardzo mocno; zdawało mu się, że widzi w mroku biały cień przesuwający się przez  
pokój. Wreszcie nie mógł wątpić: ujrzał cień zbliżający się niezwykle powoli. Naraz ujrzał  
twarz opartą o szybę, do której on przyciskał oko. Zadrżał, odsunął się nieco. Ale noc była tak  
ciemna, że nawet z tej odległości nie mógł poznać, czy to była pani de Rênal. Zląkł się pierw-  
szego krzyku: słyszał, jak psy krążą i warczą koło drabiny. – To ja – powtarzał dość głośno –  
swój. – Żadnej odpowiedzi, białe widmo znikło. – Otwórz, muszę z tobą mówić, nie męcz  
mnie tak – i pukał z całych sił do okna.

Rozległ się lekki suchy trzask, zasuwka puściła, pchnął ramę i wskoczył lekko do pokoju.

Biała postać cofnęła się, chwycił ją za rękę: była to kobieta. Cała odwaga Juliana pierz-  
chła. Jeśli to ona, co powie? Cóż się z nim stało, kiedy po lekkim krzyku poznał, że to pani de  
Rênal!

Chwycił ją w ramiona, drżała, ledwie miała siłę go odepchnąć.

– Nieszczęśliwy! Co robisz?

W słowach tych, wymówionych zdławionym głosem, Julian odczuł najszczerze oburze-  
nie.

– Przychodzę cię odwiedzić po czternastu miesiącach okrutnej rozłąki.

– Wychodź, opuść mnie natychmiast! Och, czemuż ksiądz Chélan zabronił mi pisać do  
ciebie! Byłabym zapobiegła tej ohydzie – mówiła odpychając go z niezwykłą siłą. – Żałuję  
mej zbrodni; niebo raczyło mnie oświecić. – Powtarzała przerywanym głosem: – Wyjdź,  
wyjdź stąd!

– Nie! Po czternastu miesiącach męki nie odejdę nie pomówiwszy z tobą. Chcę wiedzieć  
wszystko, coś robiła! Ach, dosyć cię kochałem, aby zasłużyć na to... Chcę wszystko wiedzieć.

Mimo woli pani de Rênal stanowczy ton jego głosu podziałał na nią.

Julian, który obejmował ją namiętnie i nie pozwalał się jej uwolnić, puścił ją. Gest ten  
uspokoił nieco panią de Rênal.

– Usunę drabinę, aby nas nie zdradziła, gdyby ktoś ze służby, obudzony hałasem, wyszedł  
do ogrodu.

– Och, wyjdź, wyjdź raczej! – rzekła we wspaniałym porywie gniewu. – Co mi ludzie! Ale  
Bóg widzi strasliwą scenę, na jaką mnie narażasz, i skarże mnie za nią. Nadużywasz nik-  
czemnie uczuć, które miałam dla ciebie, ale których już nie mam. Słyszysz pan, panie Julianie!

Wciągnął drabinę bardzo wolno, aby nie robić hałasu.

– Czy twój mąż w domu? – rzekł, nie aby ją drażnić, ale z dawnego nawyku.

– Nie mów tak do mnie, zaklinam, albo zawołam męża. Zbyt występna już jestem, że nie  
wypędziłam pana bez względu na następstwa. Zlitowałam się nad panem – rzekła siląc się  
zranic jego dumę i znając jego drażliwość.

To odtrącenie jego t y, ta brutalność, z jaką zrywała serdeczny węzeł, doprowadziły mi-  
łość Juliana do szału.

– Jak to! Czy możliwe, abyś mnie już nie kochała! – rzekł z akcentem, którego tak trudno  
słuchać bez wzruszenia.

Nie odpowiedziała. Julian płakał, po prostu nie miał siły mówić.

– Zatem jedyna istota, która mnie kochała w życiu, zapomniała o mnie zupełnie! Na co  
żyć?

Odkąd nie groziło mu już spotkanie z mężczyzną, cała odwaga opuściła go; wszystko  
pierzchło z jego serca, z wyjątkiem miłości.

Długo płakał w milczeniu. Ujął jej rękę, ona chciała ją cofnąć; mimo to, po paru konwulsyjnych niemal ruchach, zostawiła mu dłoń. Było zupełnie ciemno; siedzieli obok siebie na łóżku.

– Jakąż różnica, czternaście miesięcy temu a dziś – pomyślał Julian i łzy popłynęły mu obficie. – Tak więc rozłąka niweczy nieodzownie uczucia ludzkie!

– Zechciej mi pani odpowiedzieć, co się stało – rzekł wreszcie Julian, zakłopotany milczeniem. Łzy dławily jego głos.

– Zapewne – odparła pani de Rênal twardo i z odcieniem wyrzutu – szaleństwa moje w chwili pańskiego wyjazdu znane były całemu miastu. Był pan tak nieostrożny! W jakiś czas później, kiedy tonęłam w rozpacz, zaszedł do mnie czcigodny ksiądz Chélan. Długi czas silił się wydobyć ze mnie wyznanie. Pewnego dnia zawiódł mnie do owego kościoła w Dijon, gdzie przystępowałam do pierwszej komunii. Tam odważył się przemówić pierwszy... (Łzy przerywały pani de Rênal.) Cóż to za straszna chwila wstydu! Wyznałam wszystko. Zaczny człowiek był tak dobry, że nie okazał mi całego oburzenia, podzielił mą zgryzotę. W owym czasie pisywałam codziennie listy, których nie śmiałam ci przesłać; chowałam je troskliwie, a kiedy byłam zbyt nieszczęśliwa, zamykałam się w pokoju i odczytywałam je. Wreszcie ksiądz Chélan wymógł na mnie, że mu je oddałam. Niektóre, spokojniejsze, wysłałam do ciebie; nie odpowiedziałeś ani razu.

– Nigdy, przysięgam ci, nie otrzymałem w seminarium żadnego listu!

– Wielki Boże! Któż je przejął?

– Osądź mą boleść: do owego dnia, w którym ujrzałem cię w katedrze, nie wiedziałem nawet, czy żyjesz.

– Bóg mi uczynił tę łaskę, że pozwolił mi zrozumieć, jak bardzo grzeszyłam wobec Niego, wobec dzieci, męża – podjęła pani de Rênal. – Nigdy mnie nie kochał tak, jak myślałam wówczas, że ty mnie kochasz...

Julian rzucił się w jej ramiona zupełnie bezwiednie, nie panując nad sobą. Ale pani de Rênal odepchnęła go i mówiła z odcieniem stanowczości:

– Czcigodny mój pasterz, ksiądz Chélan, przedstawił mi, że zaślubiając pana de Rênal oddałam mu wszystkie me uczucia, nawet te, których nie znałam i których nie doświadczyłam nigdy przed tą nieszczęsną miłością... Odkąd złożyłam w ofierze owe tak drogie mi listy, życie płynęło mi, jeśli nie szczęśliwie, to przynajmniej spokojnie. Nie mać mi go, bądź mi przyjacielem, najlepszym przyjacielem. (Julian okrywał jej ręce pocałunkami, czuła, że płacze jeszcze.) Nie płacz, taką mi robisz przykrość... Powiedz mi teraz ty, co robiłeś. (Julian nie mógł mówić.) Chcę wiedzieć, jak tam żyłeś w seminarium – powtórzyła – potem pójdziesz.

Nie zastanawiając się, co mówi, Julian opowiedział zawiści i intrygi, z jakimi się spotkał zrazu, a potem jak od czasu nominacji życie jego ułożyło się spokojniej.

– Wówczas – dodał – po długim milczeniu, którym zapewne chciałaś mi okazać to, co aż nadto widzę dzisiaj, że mnie nie kochasz i że ci jestem już obojętny... (Pani de Rênal ścisnęła go za rękę.) Wówczas przysłałaś mi pięćset franków.

– Nigdy – rzekła pani de Rênal.

– List datowany był w Paryżu i podpisany Paweł Sorel, aby zmylić podejrzenia.

Wszczęła się dyskusja o możliwym pochodzeniu tego listu. Nastrój zmienił się. Bezwiednie pani de Rênal i Julian porzucili ton uroczysty, wrócili do tkliwej przyjaźni. Nie widzieli się, tak było ciemno, ale głos wyrażał wszystko. Julian objął ramieniem przyjaciółkę; gest ten krył w sobie wiele niebezpieczeństw. Próbowwała usunąć ramię Juliana, który wcale zręcznie starał się ją zagadać jakimś szczegółem. O ramieniu zapomniano, zostało, jak było.

Po wielu domysłach co do pieniężnego listu Julian snuł dalej swe dzieje. Uspokoił się nieco mówiąc o minionym życiu, które wobec chwili obecnej obchodziło go tak mało. Cała jego uwaga skupiła się na tym, jak skończy się jego wizyta.

– Musisz odejść – powtarzała raz po raz pani de Rênal stanowczo.

– Cóż za wstyd dla mnie, jeśli dam się odprawić z kwitkiem! To wspomnienie zatrułoby mi całe życie – myślał. – Ona nie napisze do mnie nigdy; Bóg wie, kiedy tu wrócę! – Wszystkie niebiańskie uczucia pierzchły z jego serca. Siedząc obok ubóstwianej kobiety, tuląc ją w ramionach, w tym pokoju, gdzie bywał tak szczęśliwy, w głębokiej ciemności, słysząc wyraźnie jej płacz, czując po ruchu piersi jej szlochanie, nieszczęśnik stał się chłodnym politykiem, niemal tak wyrachowanym i zimnym, jak kiedy w seminarium czuł się pastwą żarcików silniejszego kolegi. Julian przeciągał opowiadanie, malował swoje nieszczęśliwe życie, od czasu jak opuścił Verrières.

– Tak więc – powiedziała sobie pani de Rênal – po roku rozłąki, gdy ja zapomniałam o nim, on bez wszelkiego znaku mej pamięci myślał jedynie o szczęśliwych dniach w Vergy! – Szlochania jej wzmogły się. Julian zobaczył, że jego opowiadanie odniosło pożądany skutek, uczuł, że trzeba spróbować ostatecznego ciosu: przeszedł nagle do listu, który otrzymał z Paryża.

– Byłem się pożegnać z biskupem.

– Jak to, nie wracasz do Besançon? Opuszczasz nas na zawsze?

– Tak – odparł Julian z mocą – tak, opuszczam strony, gdzie zapomniała o mnie nawet ta, którą najbardziej kochałem; opuszczam je, aby nigdy nie wrócić. Jadę do Paryża...

– Jedziesz do Paryża! – krzyknęła pani de Rênal.

Głos jej zdławiony łzami zdradził jej bezmierne wzruszenie. Julian potrzebował tej zachęty; miał zdobyć się na krok, który mógł wszystko zgubić: przed tym wykrzyknikiem nie widząc pani de Rênal, nie wiedział zupełnie, jakie wrażenie osiągnął. Już się nie wahał; obawa wstydu wróciła mu zimną krew; wstał i rzekł chłodno:

– Tak, pani, opuszczam cię na zawsze; bądź szczęśliwa, żegnaj!

Uczył kilka kroków w stronę okna; już je otwierał. Pani de Rênal pomknęła ku niemu i padła w jego ramiona.

Tak więc w trzeciej godzinie rozmowy Julian uzyskał to, czego tak namiętnie pragnął przez dwie pierwsze. Ten nawrót tkliwości, uśpienie wyrzutów pani de Rênal, gdyby przyszły nieco wcześniej, byłyby dlań boskim szczęściem. Teraz, uzyskane podstępem, stały się tylko przyjemnością. Mimo prośb kochanki Julian chciał koniecznie zapalić lampkę.

– Chcesz więc – mówił – aby mi nie zostało żadne wspomnienie? Miłość, która płonie w tych cudnych oczach, ma być dla mnie stracona? Mam nie ujrzeć tej ślicznej białej rączki? Pomyśl, że cię opuszczam być może na długo!

Na tę myśl, od której rozplýwała się we łzach, pani de Rênal nie była zdolna niczego odmówić. Ale już na górze, na wschód od Verrières, ranek wyraźnie znaczył kontury świerków. Zamiast odejść, Julian, pijany rozkoszą, prosił panią de Rênal, aby mógł spędzić cały dzień, ukryty w jej pokoju, i odejść dopiero następnej nocy.

– Czemu nie? – odparła. – Ten nieszczęsny nawrót odjął mi wszelki szacunek dla samej siebie i dopełnia na zawsze miarę mego nieszczęścia. – To mówiąc tuliła go do serca. – Mąż zmienił się dla mnie, podejrzewa coś: sądzi, że sobie zadrwiła z niego w tej sprawie, ma żal do mnie. Jeśli usłyszysz najłżejszy szmer, jestem zgubiona, wypędzi mnie jak ostatnią nędznicę!

– Och, mówi przez twoje usta ksiądz Chélan – rzekł Julian. – Nie mówiłabyś tak do mnie przed odjazdem do seminarium; kochałaś mnie wówczas!

Julian otrzymał nagrodę za swą przytomność; kochanka zapomniała natychmiast o niebezpieczeństwie ze strony męża, aby myśleć o znacznie większym niebezpieczeństwie: o tym, że Julian może wątpić o jej miłości. Robiło się coraz jaśniej, pokój napełniał się żywym światłem. Julian odnalazł wszystkie upojenia widząc w swych ramionach, prawie u swoich stóp, tę uroczą kobietę, jedyną, którą kochał w życiu. Jeszcze przed paru godzinami tonęła w lęku przed straszliwym Bogiem i w miłości swoich obowiązków! Umocnione rokiem wytrwania postanowienie nie mogło się ostać wobec jego śmiałości.

Niebawem zrobił się w domu ruch. Pani de Rênal zaniepokoiła się czymś, o czym nie pomyślała dotąd.



– Ta nieznośna Eliza może tu wejść lada chwila, co zrobić z tą ogromną drabiną – rzekła – gdzie ją ukryć? Zaniosę ją na strych! – wykrzyknęła niemal radośnie.

– Ależ trzeba przejść przez pokój służącego – rzekł Julian, zdumiony.

– Zostawię drabinę na korytarzu, zawołam służącego i dam mu jakieś zlecenie.

– Przygotuj pozór w razie, gdyby służący przechodząc przez korytarz spostrzegł drabinę.

– Dobrze, aniele – odrzekła pani de Rênal całując go. – Ty uważaj, aby się skryć pod łóżko w razie, gdyby w mej nieobecności Eliza weszła tutaj.

Ta nagła wesołość zdumiała Juliana. – Tak więc – pomyślał -bliskość niebezpieczeństwa miast ją mieszać wraca jej wesołość, ponieważ daje zapomnieć o wyrzutach! cóż za szlachetna kobieta! Och, władać w takim sercu to prawdziwa chluba! – Julian był oczarowany.

Pani de Rênal ujęła drabinę; widoczne było, że jest za ciężka. Julian chciał jej pospieszyć z pomocą; podziwiał tę wytworną kibić, tak nie zdradzającą swej siły, kiedy nagle, bez pomocy, pani de Rênal chwyciła drabinę i uniosła ją, jakby to było krzesło. Zaniosiła ją szybko na korytarz na trzecim piętrze i ułożyła przy ścianie. Zawołała służącego i aby mu dać czas się ubrać, poszła do gołębnika. W pięć minut później, wróciwszy, nie zastała już drabiny. Co się z nią stało? Gdyby Julian był poza domem, niebezpieczeństwo to nie obesłoby jej wcale. Ale w tej chwili, gdy mąż spostrzegł drabinę, mogło to pociągnąć straszliwe następstwa. Pani de Rênal obiegła cały dom. Wreszcie znalazła drabinę na strychu, gdzie służący zaniósł ją i nawet ukrył. Dawniej szczegółna ta okoliczność byłaby ją zaniepokoiła.

– Cóż mi znaczy – pomyślała – co się może zdarzyć jutro, kiedy Julian już odjedzie? Czyż wszystko nie będzie dla mnie wówczas ohydą i wyrzutem?

Miała jak gdyby mętną myśl, że powinna się rozstać z życiem, ale cóż jej to znaczyło? Po rozłące, którą uważała za wieczną, wrócił do niej, oglądała go znowu, a to, co uczynił, aby się dostać do niej, zdradzało tyle miłości!

Opowiadając Julianowi wypadek z drabiną, mówiła:

– Co powiem mężowi, jeśli służący zaraportuje mu, że znalazł drabinę? – Zadumała się na chwilę. – Trzeba im będzie całej doby, aby odnaleźć wieśniaka, który ci ją sprzedał. – Rzuciła się w objęcia Juliana i, ściskając go konwulsyjnie, wykrzyknęła: – Och, umrzeć tak! – To mówiąc okrywała go pocałunkami.

– Ale nie trzeba ci dać umrzeć z głodu – rzekła śmiejąc się. – Chodź, ukryję cię w pokoju pani Derville, jest zawsze zamknięty. – Stała na czatach w korytarzu; Julian przebiegł spiesźnie. – Nie otwieraj, choćby kto pukał – rzekła zamykając go – zresztą mogłyby to uczynić jedynie dzieci wśród zabawy.

– Ściągnij je do ogrodu, pod okno – rzekł Julian – chciałbym się im przyjrzeć, mów co do nich.

– Dobrze, dobrze – odrzekła pani de Rênal odchodząc. Wróciła niebawem niosąc pomańcze, biszkopty i butelkę malagi; niepodobna jej było skraść chleba.

– Co robi mąż? – spytał Julian.

– Targuje się z chłopami.

Tymczasem wybiła ósma; w domu wszczął się wielki ruch. Gdyby pani de Rênal się nie zjawiała, szukano by jej wszędzie. Trzeba jej było opuścić Juliana. Wróciła niebawem, urągając wszelkiej ostrożności, z filiżanką kawy: drżała, by nie umarł z głodu. Po śniadaniu udało się jej ściągnąć dzieci pod okno pokoju pani Derville. Julianowi zdawało się, że wyrosły, ale nabrały czegoś pospolitego; może jego pojęcia się zmieniły. Pani de Rênal zagadnęła chłopców o Juliana. Najstarszy wspomniał dawnego nauczyciela z sympatią i żalem, młodszy zapomniał go prawie zupełnie.

Pan de Rênal nie wychodził tego ranka; wciąż się kręcił po domu, zajęty sprzedażą kartofli, które kupowali chłopci. Do obiadu pani de Rênal nie mogła ani chwili poświęcić więźniowi. Skoro zadzwoniono na obiad i podano do stołu, wpadła na myśl, aby ukraść dlań talerz ciepłej zupy. Kiedy niosąc ostrożnie talerz, zbliżyła się bez szelestu do pokoju Juliana, spo-

tknęła się twarzą w twarz ze służącym, tym samym, który rano ukrył drabinę. Szedł na palcach przez korytarz, jakby nadśluchując. Prawdopodobnie Julian niebacznie chodził po pokoju. Służący oddalił się, nieco zmieszany. Pani de Rênal weszła śmiało do Juliana; spotkanie to przejęło go lękiem.

– Boisz się! – rzekła. – Co do mnie, naraziłabym się bez zmruczenia oka na wszystkie niebezpieczeństwa. Lękam się tylko jednej rzeczy: chwili, gdy zostanę sama po twoim wyjeździe. – To mówiąc wybiegła pędem.

– Ha! – pomyślał Julian w zachwycie. – Wyrzuty są jedynym niebezpieczeństwem, jakiego się lęka ta wzniosła dusza!

Wreszcie nadszedł wieczór. Pan de Rênal wybrał się do kasyna.

Pani oznajmiwszy, że ma nieznośną migrenę, udała się do siebie, odprawiła Elizę i zerwała się natychmiast, aby wypuścić Juliana.

W tej chwili Julian doprawdy umierał z głodu. Pani de Rênal poszła do kredensu po chleb. Julian usłyszał krzyk. Pani de Rênal wróciła i opowiedziała mu, że wchodząc bez światła i zbliżając się do szafy, gdzie znajdował się chleb, dotknęła ramienia kobiety. Była to Eliza i ona to wydała krzyk słyszany przez Juliana.

– Cóż ona tam robiła?

– Kradła słodczyce lub może szpiegowała nas – rzekła pani de Rênal z zupełną obojętnością. – Ale na szczęście znalazłam pasztet i bochenek chleba.

– Co tu masz? – rzekł Julian wskazując kieszenie fartuszka.

Pani de Rênal zapomniała, że w czasie obiadu napeliła je chlebem.

Julian wziął ją w ramiona z upojeniem; nigdy nie wydała mu się tak piękna. – Nawet w Paryżu – majaczyło mu w głowie – nie mógłbym spotkać wspanialszego charakteru. Miała całą niezręczność kobiety nienawykłej do takich sytuacji, a równocześnie odwagę osoby, która lęka się jedynie niebezpieczeństw innej kategorii, o ileż straszliwszych!

Gdy Julian zajadał z apetytem, ona żartowała sobie z tej skromnej wieczerzy – unikała bowiem wszelkiej rozmowy serio – ktoś nagle wstrząsnął mocno drzwiami. Był to pan de Rênal.

– Dlaczego się zamknęłaś?! – krzyknął.

Julian ledwie miał czas wśliznąć się pod kanapę.

– Jak to! – rzekł pan de Rênal wchodząc. – Jesteś zupełnie ubrana, jesz kolację i zamknęłaś się na klucz!

W zwykłych okolicznościach pytanie to, zadane z całą małżeńską oschłością, zmieszałoby panią de Rênal. W tej chwili jednak czuła, że mężowi wystarczyłoby się schylić, aby spojrzeć na Juliana; pan de Rênal rozsiadł się na krześle, które dopiero co zajmował Julian, na wprost kanapy.

Migrena posłużyła jej za wymówkę. Gdy mąż opowiadał jej obszerną historię puli, którą wygrał w kasynie – dziewiętnaście franków, bagatela! – ona spostrzegła na krześle, o trzy kroki, kapelusz Juliana. Z zimną krwią zaczęła się rozbierać i w upatrzonej chwili, przechodząc spieszenie za krzesłem męża, rzuciła suknię na kapelusz.

Wreszcie pan de Rênal odszedł. Poprosiła Juliana, aby raz jeszcze opowiedział jej życie w seminarium.

– Wczoraj nie słuchałam cię – rzekła. – Gdy ty mówiłeś, ja myślałam tylko, jak się zdobędę na to, aby cię wyprawić.

Była strasznie nieostrożna. Mówili bardzo głośno. Mogła być druga po północy, kiedy przerwało im gwałtowne tłuczenie do drzwi. Był to znów pan de Rênal.

– Otwórz prędko, złodzieje w domu! – wołał. – Jan znalazł drabinę dziś rano.

– Wszystko skończone! – wykrzyknęła pani de Rênal rzucając się w objęcia Juliana. – Zabije nas oboje, on nie wierzy w złodziei. Umrę w twoich ramionach, szczęśliwsza w chwili śmierci, niż byłam za życia.

Nie odpowiadała na wołanie męża, który się wściekał, ścisnęła Juliana namiętnie.

– Ratuń matkę dla Stasia – rzekł Julian z rozkazującym spojrzeniem. – Wskoczę na dwór przez okno w alkierzu i schowam się w ogrodzie, psy mnie poznały. Zwiń moje ubranie i jak tylko będziesz mogła, wyrzuć je do ogrodu. Tymczasem pozwól mu wyważyć drzwi. Tylko żadnych wyznań, zakazuję ci: lepiej niech ma podejrzenia niż pewność.

– Nie skacz, zabijesz się! – to była jej jedyna odpowiedź i jedyna obawa.

Odprowadziła go do okna, następnie ukryła odzież. Wreszcie poszła otworzyć mężowi pniącemu się z gniewu. Przepatrzył bez słowa pokój, alkierz i znikł. Pani de Rênal rzuciła Julianowi ubranie; pochwycił je i zbiegł pędem ku rzece.

Biegając usłyszał świst kuli i równocześnie prawie strzał z fuzji.

– To nie pan de Rênal – pomyślał – zanadto źle ktoś strzela jak na niego. – Psy biegły obok Juliana w milczeniu; drugi strzał strzaskał widocznie łapę psu, który zaczął wyc żałośnie. Julian zeskoczył z terasy, przebiegł pod jej zasłoną jakieś pięćdziesiąt kroków, po czym zaczął uciekać w innym kierunku. Usłyszał nawołujące się głosy, ujrzał wyraźnie służącego, swego wroga, jak pali doń z fuzji; jakiś chłop strzelił również z drugiej strony, ale Julian już dobił do rzeki.

Ubrał się spiesźnie. W godzinę potem był o milę od Verrières na drodze do Genewy. – Jeśli się czegoś domyślą, będą mnie szukali na drodze do Paryża.